

Tow. Przyjeżdż

suk w Przemyśle.

5616

D

7.1

Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu.

~~5646~~

D

222





NOWE FOTOGRAFIE SPOŁECZNE.

I.



WYDAWNICTWA KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

	złr. ct.
Aer. Pierwszy romantyk. powieść	2 60
Dr. Antoni J. Nowe opowiadania, wydanie drugie	3 —
— Opowiadania historyczne, 1 tom	3 —
1) Pod polskięycem. 2) Książę Sarmacji. 3) Odwiedziny monarsze.	
4) Na kresach. 5) Dwór Tulczyński. 6) Losy pięknej kobiety.	
7) Tynna w końcu XVIII. wieku	5 60
— Gawędy z przeszłości, 2 tomy	— 60
Reiza. Wanda. Opera w czterech aktach	2 30
BIBLIOTEKA POLSKA. Każdy tom brosz. 1 złr. 80 ct., w opraw.	
T. I. II. Krasński Z. Pisma. Wydanie z przedmową Stanisł. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. — III. — VI. Mickiewicz Adam. Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII. — X. Zaleski B. Poezye. Wydanie przejrzone przez autora. — XI. Pamiętniki Polska. Wydanie nowe krytyczne, przejrzone przez Dra. Węclewskiego. — XII. Niemcewicz J. Jan z Teczyna. Powieść histor. — XIII. — XVI. Słowacki Juliusz. Dzieła. Wyd. przejr. przez prof. dra A. Małeckiego. — XVII. — XIX. El...y (Asnyk Adam.) Poezje. 3 tomy XX. — XXII. Małecki, A. Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wydanie drugie znacznie pomnożone, 3 tomy. — XXIII. J. Wyuleki, Pamiętniki. — XXIV. — XXV. Mickiewicz A. Dzieła. V. VI. XXVI. — XXVIII. Mickiewicz A. Korespondencja, 3 tomy. — XXIX. — XXXI. Kitowicz X. Pamiętniki i pisma historyczne, 3 tomy. XXXII. — XXXIII. Kitowicz X., Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 tomy. — XXXIV. — XXXVII. Ro nanowski. M., Pisma. 4 tomy (w druku). — XXXVIII. — XXXIX. Słowacki J. Listy, 2 t., wydanie II. znacznie pomnożone. Słowacki J. Pisma pośmiertne, wydanie II. 3 tomy.	
Bolesławita B. Hybrydy. powieść współczesna	2 40
— Król i Bondarywna. powieść historyczna	2 40
— Nad modrym Dunajem. Nowella	2 40
Bronikowski. Jan III. Sobieski i dwór jego czyli Polska w XVII. wieku, 2 tomy	4 20
Chłędowski J. Sylwetki społeczne	2 40
El...y Gałązka heliotropu. Komedia	— 60
Estreicher. W. Pol. jego młodość i otoczenie	2 80
Jeż J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnej	2 40
Kaczkowski K. gen. szt. lekarz wojsk polskich. Wspomnienia 1808—1831, wydał T. Orzechowski, 2 tomy	4 20
Kantecki K. Elżbieta, trzecia żona Jagielly	1 20
— Dwaj Krzemieniczanie. Wizerunki literackie, 2 tomy	3 60
Kubala L. Dr. Szkice historyczne, dwie serie każda po	3 40
— Jerzy Ossoliński, 2 tomy	6 80
Lemeke K. Estetyka. Wydanie drugie	6 40
Liske X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki	4 20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane przez L. Siemińskiego	2 80
Monumenta historiae polonicae. Pomniki dziejowe Polski, t. III. Wydanie nakład. Akad. Umiejętności	12 —
Niewiarowicz A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu	2 20
Pamiętnik damy polskiej z XVIII. wieku	1 80
Przyborowski W. Rubin Wezyrski. Powieść	1 80
— Księżniczka z Minsterbergu	1 50
Stadnicki K. Olgiard i Kiejstut synowie Gedymina, W. ks. Litwy	2 40
Sass Berlicz. Mozaika. Gawędy szlacheckie, 2 tomy	3 80
Sewer. Bratnie dusze. Powieść	2 40
Wileziński A. Kłopoty starego komendanta. Opowiadania, 3 tomy z ilustracjami	5 40
— Pamiętniki plotkarza, 2 tomy	4 20
— Medytacje kawalerskie	2 40
Wilkońska P. Na teraz. Powieść	2 40
Wspomnienia Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w cytadeli warszawskiej i na Syberji	2 60
Zieliński Wl. K. August II. i Aurora Königsmark. Powieść hist., 2 t.	2 60
Zwierciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus	3 20
Listy Jana III. króla polskiego, pisane do królowej Kazimiry w ciągu wyprawy pod Wiedniem w roku 1683.	2 80

NOWE
FOTOGRAFIE
S P O Ł E C Z N E

zebrane przez autora

KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA

W E T Z A W E T
N A Ś W I E C I E
R Z Ą D Y D Z I A D U N I A i B A B C I

I.

LWÓW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNCOWICZA i SCHMIDTA.
1885.



B-59128/1



1000174913

Liter 13 a

BIBLIOTEKA

LUBLIN

K 1160/56/6506

WET ZA WET

OBRAZEK Z ŻYCIA KRAKOWSKIEGO.

Spieszę się podzielić z pięknymi czytelnikami świeżutką nowinką, ale to tak prosto z igły wziętą historyjką, o której nikt jeszcze nie wie, historyjką, którą mam z bardzo autentycznego źródła.

Pocziwy Kraków już tak okrzyczany jest ze swojej starości, tak widocznie wyszafował się za młodych swoich czasów na wielkie czyny, godne pióra, pędzla i rylca, że może już na tych laurach drzemać sobie długie lata bezpiecznie. Dziś więc, jest to sobie jedyne miejsce prędkiego starzenia: prasowane drożdże i młodzież, świeża bryndza i Podolacy, nowe domy i akcye banków, sok malinowy i panny na wydaniu — jeżeli nie schwycisz zaraz na gorącym uczynku (nie wyjmując młodych mężatek), to zaraz konserwatywny Kraków każe je zabalsamować i odda na zachowanie do jednego z licznych muzeów, dla wiecznej rzeczy pamiątki.

Historyjkę tę, jak powiedziałem, mam z bardzo wiarogodnego źródła, wiarogodniejszego, niż

sama cesarsko - królewska „Wiener Abendpost“, bo z ust koncepisty, czy koncypisty, albo, jak w Warszawie nazywają, dependenta adwokackiego, Imci pana Tadeusza Rekursowicza.

Tylko nie myślcie sobie, że ten mój pan Tadeusz jest zwyczajnym koncepistą, który niedawno zdał rygoroza, pracuje u byle jakiego adwokata za dwadzieścia reńskich miesięcznie, jada obiad u Florkiewicza, lub, jak prosty słuchacz techniki, albo sub-buchalter banku, rozbija bilardy w kawiarniach. Nie — broń Boże, nie! Moje autentyczne źródło jest sobie już bardzo poważna osobistość, koncepista w siódmym roku praktyki u pierwszorzędnego mecenasa i to na tantiemie; osoba nawet z pozoru niefircykowata, z małą już łysiną na czubku głowy, z dwiema brodami i widocznem zacięciem na brzuszek, dający kwalifikację do zajęcia krzesła radcy miejskiego w magistracie.

Mój pan Tadeusz jada obiad o godzinie pierwszej w hotelu Drezdeńskim, i to nie przy okrągłym stole, a nie! — zanadto jest konserwatystą, aby się miał *blamować* publicznie z jakimiś demagogami z Królestwa. Po obiedzie chodzi na czarną kawę do Dyktarskiego, czytuje „Floh“ i „Kikeriki“ dla odświeżenia swego conceptowego materyału, jest na każdym koncercie w Ogrodzie Strzeleckim, i to w towarzystwie samych konsy-

liarzy sądów krakowskich — a jak deszcz pada, idzie samotnie na Krzemionki, oczywiście dla zdrowia, w spokojne miejsce, gdzie żadna zewnętrzna dystrakcja nie przeszkadza wewnętrznemu trawieniu obiadu, kosztującemu okrągłego guldena.

Wielkie byłoby nieszczęście, gdyby już nie wierzyć tak porządnemu człowiekowi, posiadającemu kilkanaście sztuk Ludwików, trzy akcye Czerniowieckie, jednego Rudolfa*), a zapewne i coś złotej renty, bo założyłbym się, że musi mieć złotą rentę, choć o niej nie mówi... musi mieć. Nie dodaje, bo to wynika z samej rzeczy, że taki porządny człowiek, jak pan Tadeusz, chodzi z książką do nabożeństwa na modną mszę do kościoła Panny Maryi, że zdejmuje kapelusz przed każdą figurą świętego — tylko przed pewnym pałacem w rynku jeszcze nie, choć przechodząc tamtędy, instynktownie wznosi już oczy do góry i robi giest ręką ku kapeluszowi.

Byłbym niesumiennym powieściopisarzem, gdybym zapomniał o jednej jedynej wadzie, której sobie pan Tadeusz dotąd nie może przebaczyć. Czasami, przy energiczniejszej rozmowie z klientami włościańskiego pochodzenia, a nawet z kolegami, wyrwie mu się czysto krakowskie wyra-

*) Nazwy akcyi kolei żelaznych austriackich.

żenie psia k... Co on się nie nakarał za to przyzwyczajenie gminne... wszystko napróżno — pokazuje się, natura w tym względzie mocniejszą jest od jego woli: psia k... zostało w słowniku jego prawniczym.

Teraz, kiedym się usprawiedliwił ze źródła pochodzenia mojej historii, zaczynam w imię Boże:

Przed dwoma tygodniami, pociągiem wieczornym, przyjechały z Warszawy trzy panie, dwie mądre, a jedna... Eh, cóż mi się też plecie! — dwie młode, a jedna stara. Przepraszam, i ta jeszcze nie tak stara, bo miała dużą pasową kokardę pod szyją, a wiadomo przecie, że stare kobiety takich czerwono-krzyczących kokard nie noszą, prócz pani adwokatowej... Nie, dalibóg, źle zaczynam, czysto po krakowsku: wdaję się zaraz w krytykę strojów... Nie — a temu wszystkiemu winien pan Tadeusz, który nie pisze powieści: więc, jak zacznie co opowiadać bez ładu i składu, to doprawdy tak samo, jakby bronił z urzędu przed sądem jakiegoś złoczyńcę.

Tak tedy przyjechały, sam nawet widziałem najmłodszą, bardzo animującej powierzchowności, Litwinkę, w granatowym burnusie z kapiszonem. Wystawcie sobie, brunetka, wysoka, niby Wenus, niby Junona, niby pani hrabina Ł. — słowem, piękność całą gębą, a co szczególniejsza, brunetka

o białej cerze, a z oczami szafirowo-zielonemi koloru wody morskiej, a z usteczkami, jak prawdziwy karmin. Co tu długo opisywać — piękność i kwita! Osoba wspaniała, z szykiem, nie żadna sobie tam jakaś... bo to zaraz znać, że coś lepszego, bo i ubranie, i wzięcie się, i chód, i trzewik, i wachlarz i to i owo, co się nie da określić, ale się, proszę państwa, czuje, że coś niezwykłego.

Ciekawa młodzież nasza, chociaż nie bardzo zna się na astronomii, jednak dostrzegła zaraz tę pierwszorzędną kometę na krakowskim horyzoncie. Byli niektórzy do tego stopnia zainteresowani, że chodzili umyślnie do szwajcara Saskiego hotelu, aby się dowiedzieć, co to są za jedne te panie — lecz ten nie umiał im więcej powiedzieć nad to, że przyjechały z Warszawy i zapisały się pod firmą: „Wielmożna Kulickiewicz z familią“, i że najstarsza pani do najmłodszej mówi: „Ludko“...

Doszedłszy do tego punktu, podług opowiadania pana Tadeusza, widzę, żem kompletnie źle zaczął; ci prawnicy mają szczególniejszy dar prowadzenia i autorów i czytelników, a zapewne i klientów, na manowce — nie ma więc rady, trzeba porzucić nasze trzy damy, a zacząć z innej beczki. Muszę was wprzód zaprowadzić na ulicę Sławkowską, na drugie piętro kamienicy,

w której mieszka niedawno udyplomowany doktor medycyny, chirurgii, okulistyki etc., słowem wszech nauk lekarskich, doktor *pour tout*, co sobie kto życzy... pan Paweł Proszkiewicz.

Ot masz tobie! lichy mi nadało wygadać się tak zaraz z góry kto on, co on, jak się nazywa, gdzie mieszka? Dopieroż to będą w naszym poczciwym miasteczku różne domysły, rozprawy i dociekania!

Trzeba wam wiedzieć łaskawe niekrakowskie czytelniczki, że my tu sobie w Krakowie jesteśmy jedną solidarną rodziną, a choć nie rozmawiamy nigdy z sobą na ulicy, i nibyto się nie znamy, to jednak los pojedynczego naszego członka żywiej obchodzi każdego, niż jego własny.

O ile ta solidarność dotyczy n. p. interesów publicznych, tego nie wiem, nie mając z temi sferami stosunków: lecz co się tyczy wzajemnego nicowania się — jesteśmy na stopie kompletnego równouprawnienia i czysto republikańskiej swobody. Książęce, hrabiowskie, szlacheckie i nieszlacheckie familie, kładziemy bez ceremonii na naszym anatomicznym stole, obok duchownych i adwokatów i urzędników i kupców i doktorów — i krajemy z zupełną swobodą. Starszym wiekiem, to jakoś pozwala się modlić, lub stawiać pasyansy bez kontroli, ale gdy idzie o ładną twarzyczkę młodej mężatki, o aspirantów do

stanu małżeńskiego — to byłoby grzechem nie wiedzieć co one są za jedne, z kim rozmawiają, lub za którego lichwiarza pieniądze mężowie ich sprawiają im suknie z ogonami. A niechno jeszcze taki bohater, czy bohaterka, wypłynie gdzieś na wierzch w korespondencyi gazetciarskiej lub w powieści? — w całym mieście powstaje huczek nie mały, i zaczynamy ich szukać między sobą do upadłego.

— Przecież go sobie z palca nie wyssał? — powie pani doktorowa. — Musiał brać wzorki z któregoś, ale z którego? — w tem cała tajemnica.

— Pozwól cioteczka — przerwie fertyczna Marynia — my tu zaraz dojdziemy. Najprzód powiada, że świeżo udyplomowany doktor... któż tu się w tych czasach doktoryzował?

— No... pan Adam.

— Ależ to nie może być pan Adam: on mówi, że małego wzrostu, blondyn, a pan Adam wysoki i brunet...

— Już wiem, to pan Feliks! — zawołała Jadwinia klaskając w ręce — nikt, tylko pan Feliks.

— Ależ Feliks nie potrzebuje mieszkać na Sławkowskiej ulicy, jego matka ma przecież swoją kamienicę w rynku.

— Proszę cię, Jadwiniu, nie przeszkadzajno, niech ja pomyślę, a zaraz dojdę...

Oj! nie dojdziecie, nie, moje szanowne panie! Oddaję wam tę sprawiedliwość, że macie dobre główki, wiele sprytu i domyślności kobiecej, ale darujcie, i nam też bajkopisarzom nie brak na przebiegłości. Jak potrzeba was zaciekawić, to potrafimy lepiej od was, lepiej od wszelkich doktorów prawa tak rzecz zagmatwać, tak pokręcić wszystko, urwać ztąd trochę, ztamtąd trochę — tak wreszcie wyprowadzić was na manowce, że choć oczywiście jest w tem wszystkim prawda, że choć zdaje wam się już... już mamy go — a tymczasem dalej pokaże się, że to ani ten, ani ta.

Więc nie suszcie sobie dalej swych pięknych główek, a słuchajcie co powiem o panu Pawle. Rzeczywiście, jest małego wzrostu, blondynek, przyjemnej powierzchowności, z wąsikami fantazyjnie zakręconymi do góry, a choć świeżej daty lekarz, to znów nie tak bardzo młody, jak sądzicie — i gdyby tylko miał jaką taką praktykę — mógłby się żenić.

Nie chce się przyznać pan Paweł, że mu minęła trzydziestka, goli się więc starannie, zostawiając tylko wąsy; zawsze to jakoś odmładza. Studya medyczne rozpoczął jeszcze w roku pańskim 1865, a gnany losem po różnych krańcach świata przez te lat ośm, zdecydował się, przed pięciu laty, dokończyć je w Krakowie.

Gdyby nie anatomia, już dawno byłby w legalny sposób zapełniał cesarsko-królewskie cmentarze Królestwa Galicyi wraz z Lodomerją i Wielkiem Księstwem Krakowskiem, — dwa razy bowiem zasiadał do egzaminów, i dwa razy został dla owej głupiej anatomii odpalony.

— Co to jest, panie — mówił mi po takiej aferze — szesnaście tysięcy samych nazw łacińskich umieć na pamięć, i pokazać g'dzie to wszystko leży! Mój drogi panie, żebyś miał głowę jak pudło, a w tem pudle dziewięćdziesiąt i dziewięć głów, to tego nie spamiełasz...

Być może, pan Paweł pomieściłby z czasem owe szesnaście tysięcy łacińskich nomenklatur, gdyby w tem pudle nie lokował innych rzeczy, prócz medycznych, to jest — gdyby nie był członkiem wszystkich stowarzyszeń miejscowych, nie gospodarzył na balach publicznych, nie należał do Muzy i nie śpiewał w chórach koncertowych.

— Powiedz mi Pawle — pytałem go raz — jak ty możesz śpiewać, kiedy nie masz ani głosu, ani ucha, i na nutach się nie znasz?

— Przepraszam — odpowiada mi urażony — głos mam wypróbowany przez dyrekcję Muzy, uszu dwa a nie jedno, a zresztą czyżto potrzeba wrzeszczyć w chórach, czy co? Otwiera się usta

z innemi, i kto tam w ogólnej harmonii mój głos rozpozna?

W chwilach wolnych od zajęć publicznych, praktykował gimnastykę na bilardach, czytywał dzienniki polityczne, robił z nich notatki, które reprodukował w korespondencyach do gazet czerwonego temperamentu, z amatorstwa pisywanych. Z zasady nie cierpiał konserwatyzmu, rzucał prawdę wszelkiej arystokracji, propagując przekonania liberalno-demokratyczne. Bieda tylko, że nie mógł w żaden sposób wkroczyć do redakcyi „Dyabła,” która artykuły jego uważała, jak na Kraków, za nadto czerwone.

— Ach, żeby tak można wystraszyć zład dwieście reńskich, zarazbym założył nowe pismo humorystyczne, pod tytułem: „Bizun Boćkowski”. Co to panie znaczy, mieć swój organ — można dojechać panie każdemu i napiętnować każdą zdradę i niktzemność! A te panie *Dyabły*, i *Harapy*, i *Muchy*, to wszystkiego się boją... tylko delikatnie dotykają... pędzelkiem — tchórze!

Pan Paweł, zwany w burzliwej przeszłości białym Pawełkiem, przy tyłu nieocenionych przymiotach, przy takiej ruchliwości, przynoszącej za szczyt młodemu Krakowowi, musiał nieustannie walczyć z biedą. Wprawdzie stryj jego Anzelm przysyłał mu dwadzieścia rubli miesięcznie, ale, że to był Litwin starego autoramentu, coś w ro-

dzaju budrysa karmiącego się boćwiną, przeto na wszelkie dodatkowe listy, wzywające gwałtownej pomocy, z zasady nie odpowiadał. Wyjątkowo, sposobem pożyczki, przysłał mu na koszt egzaminów dwieście rubli, ale jakby na nieszczęście pana Pawła, urządzono wtedy na cel dobroczynny żywe obrazy w Krakowie. Przyjął udział w tem przedstawieniu, sprawić sobie kostium „Pana Tadeusza” i kazać się w trzech odmiennych pozycjach odfotografować w tym stroju, było dziełem jednej chwili namysłu. Ślicznież bo ślicznie wyglądał na scenie pan Paweł, pokręcając wężą lewą ręką, gdy prawą trzymał na temblaku; piękne panie o mało sobie oczów nie wypatrzyły, pożerając wzrokiem tak dziarskiego ułana, ale okoliczność ta zdecydowała poznanie się z panem Goldfeldem, wekslarzem z krakowskiego rynku.

— No, gdzie podpisać? gdzie? — pytał prostując przed sobą stemplowany blankiet wekslowy — lubił albowiem pasyami podpisywać swoje nazwisko z różnymi figlasami.

— Niech pan Pawełek tak się nie spieszy! — hamuje go Goldfeld, przykrywając ręką blankiet. — Ten papier więcej wart, jak nie ma pański podpis...

— A to dlaczego?

— Ny, teraz za niego kaźden da trzydzieści centów, a jak pan podpisze, to i tego nie będzie...

— Co myślisz, że ja nie oddam? Słowo honoru, stryj mi przyszłe, napisałem do niego tak, że choćby miał serce z kamienia...

— Niech on ma i z piernika, to mi wszystko jedno; tymczasem niech tu wprzód podpisze ten pański kolega, Koszulka...

— Koszulko — poprawia Paweł.

— Ny ten, co jego ojciec jest obywatel od Przemysł...

Jakoż kolega Koszulko bez żadnych ceremonij, po przyjacielsku, podpisał.

— No, a teraz gdzie ja?

— Niech pan pisze tak na poprzek „angenommen Paweł Proszkiewicz“.

— Jakto ci kupcy — mówi podpisując Pawełek — są ludzie z gustem. Nie dość, że dają pieniądze, ale jeszcze każą pisać że to jest przyjemnie, — mają rację, to jest bardzo przyjemnie.

Nie tęgi w niemczyźnie nasz bohater, *angenommen* i *angenehmen*, brał za jedno, co jednak wyliczając gotówkę, wytłómaczył mu Goldfeld.

Pan Goldfeld od najdawniejszych czasów był jeneralnym dostawcą pieniędzy panom medykom, wiedział tedy bardzo dobrze, z jakiego przedmiotu najczęściej oni spadają, znał profesorów, ich

zwyczaje przy egzaminach, a wszystko to interesowało go daleko żywiej, niż samych kandydatów.

— A od tego profesor od chirurgie, co kraje nóg i rąk, umie pan Pawełek? — pyta, zapalając cygaro.

— Teraz nie zdaję z chirurgii.

— A dlaczego mi pan przed wekslem tego nie powiedział? Jak u pana Brück się przepada, to i mój pieniądz przepada. A od pana Teichman już?

— Właśnie zasiadam teraz...

-- Awa! — krzyknął przełęczniony wekslarz zrywając się z krzesła i wyjmując z pośpiechem podpisany weksel. — Oddaj panie Pawełek mój pieniądz!... ja nie chcę taki geszeft... ja rachował tylko pięć procentów (na miesiąc), ja miszlał co pan będzie zaraz doktor... a te anatomije... a te anatomije...

— Cóż tu ma pan Teichman i anatomia?

— A niech im diabli wezmą, ile ja na nich już stracił! Pan wie, ten Skórowski, spadł, Keller spadł, Sobieraj spadł.. a moje weksle także spadł...

— Dlaczego?

— Jakto dlaczego? — mówi gestykulując żywo Goldfeld — jak oni przepadli, to oni nie doktor, a jak nie doktor, to nie ma praktyk, a jak nie ma praktyk — to nie ma nawet na procentów.

— Bądź spokojny, panie Goldfeld, ja nie spadnę...

— Niech pan Pawełek 'pamięta, bo jak będzie spadać, to ja na poprawki nie dam i weksel będzie protestować u pana notaryusz... Awa ten anatomia, ten anatomia — dokończył drapiąc się w głowę przy wyjściu z pokoju.

Ogromna też była bieda, gdy lichwiarz, oczekując przed bramą gmachu uniwersyteckiego, z miny Pawełka już się domyślił upadku z anatomii. Do samego mieszkania prowadził nieszcześliwego delikwenta i kładł mu w głowę prawdziwie ojcowskie morały, i gniewał się i wymyślał na dzisiejszą młodzież i na te szesnaście tysięcy nazwisk łacińskich.

— Mówię ci, panie Goldfeld, o głupstwo poszło: nie mogłem znaleźć nerwu od zęba dolnej szczęki — ot patrzaj... tego. Diabliż go wiedzieli, że on się tam skręca gdzieś koło nosa; powiedz sam, czybyś się domyślił, że on idzie tu, tu do jamy ocznej... Wszystko inne umiałem, słowo honoru, umiałem... ale on ani chciał pytać dalej...

— Ja pójdę do tego Teichman, co on miszli, ja jemu powiem!

— Czyś zwaryował?...

— Na co on mię gubi już tyle razy...

Ledwie wytlómaczył Pawełek niestosowność tej interwencji wzburzonemu Goldfeldowi, któremu już nic innego nie pozostawało, jak wziąć w dal-

szą opiekę Pawełka i pchać go dopóty, dopóki za trzeciem zasiadaniem nie został procentującą się osobą, czyli — doktorem.

Od tej chwili lichwiarz był przekonany, że zaczęną się żniwa; szanowny opiekun stał się u niego codziennym gościem i usiadł mu na karku gorzej, niż ongi Egipcyanie na karkach protoplastów pana Goldfelda. Co kilka dni przypadały terminy wekslowe, więc zamieniano, przepisywano, doliczając procenta, aż wreszcie z dniem osiedlenia się przy Sławkowskiej ulicy, sformowała się okrągła suma trzy tysiące guldenów.

Tymczasem od tygodnia w miejscowym dzienniku szły co drugi dzień ogłoszenia, że taki to a taki doktor osiadł przy Sławkowskiej ulicy i że między trzecią a piątą po południu udziela bezpłatnie konsultacye ubogim chorym. Ale poradź-że tu co z nieoświeconym krakowskim ludkiem? Nikt, ale to literalnie ani jedna żywa dusza nie zajmowała przez pierwsze trzy dni z rzędu. Pan Paweł, jak to mówią, kamieniem siedział te dwie godziny w domu, wstrzymując się całemi siłami od poobiedniej drzymki, lecz gdy się przekonał, że ofiara ta nie idzie na pożytek bliżnim, a jemu zdrowie odbiera, czwartego dnia zdrzymał się w fotelu, w nadziei, że w razie potrzeby dzwonek zbudzi go potrafi, — piątego zaś położył się na sofie już wygodniej, i odtąd przez cały miesiąc w ten

sposób zużytkował swój talent medyczny na usługi cierpiącej ludzkości.

Mniejsza już o konsultacye, ale dziwną zaiste była obojętność Krakowa, żeby też nawet nie zobaczyć nowo urządzonego gabinetu pana doktora. Pan Paweł przecież miał gust i spryt nie lada, jeżeli z niczego potrafił zapełnić pokój podług dzisiejszych wymagań cywilizacyjno-medycznych. Nie mówię już o meblach, wziętych na kredyt, ale co się tyczy rozmaitych narzędzi, te z przerażającym cynizmem patrzyły przez szkła szafy na pokój.

Było tam wszystko, co tylko potrzebne do cięcia, krajania, świdrowania i piłowania; była machina elektryczna, machina jak piec, do próbowania siły płuc, pod kloszem mikroskop, na oknie rząd rurek z odczynnikami, a na biurku gruba paczka drukowanych papierków, przeznaczonych na recepty. Miseczka ze złotym piaskiem stała obok trąbki auskultacyjnej, a rozrzucone po wszystkich stołach broszury medyczne w różnych europejskich językach, wskazywały, że pan Paweł czyta, nie ograniczając się na kuracyi przepisanej w kalendarzu lekarskim na rok bieżący.

Nareszcie zdarzyła się sposobność panu Pawłowi do okazania swojej zręczności chirurgicznej. Sześcioletni Wicuś, syn miejscowego szewca, wpakował sobie ziarno grochu do nosa. Nasz eskulap

z niekłamany zapalem wziął się do ratunku, i rozkrwawiwszy dobrze nos chłopaka, po półgodzinnej ciężkiej pracy, wśród podziwu tuzina kumoszek, szczęśliwie dokonał operacyi.

— Widzi pani Mateuszowa — perorowała przekupka w sieni domu, od której Paweł kupował bułki — żeby nie nasz doktor, jużby ten groch wypuścił jutro korzenie do mózgu Wicusia, a z nosa toby mu codzień wyrastał taki groch, jak w polu...

— Eh, gdzieby tam...

— Co mi kuma gadasz — ofuknie przekupka — jak Pana Boga kocham, takby wam rósł i mógłby kwitnąć, żeby go nie zrywać...

Jednakże tą operacją nadzwyczaj był uszczęśliwiony Pawełek, i z wielkim zapalem rozповідаł wszystkim kolegom, jakie to niebezpieczeństwo groziło Wicusowi, gdyby nie zażądano jego pomocy; nawet przy wolnym czasie miał zamiar napisać rozprawę o tym wypadku, dla odczytania w gronie Towarzystwa lekarskiego. Innego jednak zdania był Goldfeld.

— Wielkie rzecz groch z nosa — mówi machając pogardliwie ręką — ja mojemu Szachne już dwa razy wyjmował takie groch... Wsadzić jemu niuch tabaki w nos, to on będzie kichnąć i groch wyleci... Ny, a co będzie z procentem?

— Nic nie będzie... przecież się odda... nie bój się. Wczoraj trzeci raz napisałem do stryja na Litwę... ale mówię ci napisałem mu tak, że go diabli wezmą...

— A jak nie przysze?

— Nie przysze — powtarza zamyślony doktor — hm... pojedę do Serbii.

— Jak to pojedę! — krzyknie Goldfeld — tam gdzie strzelają z kanonów?

— Naturalnie, niech raz u diabła zabiją człowieka i wszystko się skończy.

— Co pan Pawełek sobie miszli! A moje dług?

— Dobrze, dobrze, nie chcesz żebym jechał gdzie kanonów, to będę siedział w Krakowie, może przecie przyjdzie jaka cholera, albo co...

— Co to jest? — krzyczy jeszcze więcej przestraszony lichwiarz — jak pan może o takim nieszczęście mówić... niech Bóg broni od takich chorób... Mnie troje dzieci umarło na ten chorob... nie chcę nawet mówić, jak ten chorob się nazywa...

— Więc coś ci zrobię — rzecze zniecierpliwiony Pawełek. — I to nie, i to nie... chyba, że napiszę powieść... a mam w głowie śliczny planik. Uważasz, panie Goldfeld, nad brzegami Niemnu mieszka Prusak i handluje drzewem; ma śliczną córkę, Karolinę...

— Na co panu szukać tak daleko Karolinę, i to u handlarza drzewem? Teraz drzewem jest kiepski geszeft... niech pan koło Krakowa poszuka jakie bogate... albo i w mieście mało jest? Żeby pan był żyd, to jabym jemu nastreczył takie kobietę... nasze panny ze Stradom przepadają za doktor..

— Kiedy widzisz, panie Goldfeld, tu nie idzie o żonę dla mnie, ale dla mojego bohatera z powieści...

— Co pan będzie dla drugich szukać żon, niech pan lepiej dla siebie znajdzie, coby miała posag i mój dług zapłacić! U te polskie pany, to zawsze dla przyjaciela, dla sąsiada, dla bohatera jaki, a nie dla siebie. Panie Pawełek, panie Pawełek, niech pan ma litoszcz dla Goldfeld. Te wszystkie jego przyjaciół jest bardzo grzeczne, i ten pan Tadeusz od notaryusza jest bardzo grzeczne, a jak pieniądze dać — to daje żyd...

Pan Goldfeld, który nigdy w życiu nie czytał powieści, w żaden sposób nie mógł zrozumieć o co idzie Pawełkowi, lecz przyczepił się do tej myśli ożenienia i na niej budował już pewny odbiór swej należności.

Tonący, jak powiadają, i brzytwy się chwytła — otóż myśl ożenienia stała się tą brzytwą dla naszego bohatera. W przystępie desperacji, w braku pacjentów, powiedział sobie: „A do-

kądże ja to u milion diabłów będę taką biedę klepał! Pracowało się i pracuje tyle lat, zdobyło się stanowisko i naukę — no, a z tego nic. Hola panie losie, weźmiemy cię za rogi... muszę sobie wytrzasnąć jaką dulcyneę, ale z groszem, tylko z groszem!“

Jeżeli mu się całe życie nie wiodło, to co się tyczy małżeństwa, samo szczęście lazło mu w rękę, w postaci listu cioci Kuliczkiwiczowej, który mu na drugi dzień z rana doręczył listonosz.

Chwała Panu Bogu, widzicie czytelnicy, żeśmy przecie doszli do naszych dam z Litwy... no, teraz będzie lżej; jesteśmy na głównym gościńcu powieści. List ten datowany był z Częstochowy:

„Kochany mój Pawełku!

„Nie piszę ci wiele, bo zapewne jutro będziesz nas miał w Krakowie. Jedziemy z Joasią i Ludką do wód za granicę, choć dzięki Bogu jesteśmy zdrowe. Twój stryj Anzelm wyprawił nas umyślnie w te strony, żebyś poznał Ludkę; bo cóż ci będę w bawełnę obwijać, jest ładna i bardzo dobra dziewczyna, a stryj sobie życzy, pamiętaj, stary mi to powiedział.

„Nie wydaj mię też Pawełku, ale ci muszę napisać pod sekretem, że ta Ludka jest wielki flut, i słyszę, umawiała się z Joasią, że pójdą do ciebie na naradę, niby do doktora, aby cię

wprzód poznać i wybadać. Pamiętaj też, mój drogi Pawełku, mieć się na baczności, bo one z pewnością przyjdą. Ludki może nie poznasz, jak wyjeżdżałaś od nas, miała lat ośm, więc uważaj na kapelusz z czerwonym piórkiem, to będzie ona...”

— Dalibóg nie rozumiem co ta starowina pisze... nie nie rozumiem... Jadę z Ludką i tą drugą... stryj sobie życzy... Kto ta Ludka? formalnie nie nie wiem... A jednakże coś w tem musi być? Chcą przyjść niby na poradę — dobrze, niech przychodzą... z czerwonym piórem... — niech będzie i z czerwonym piórem...

Wśród takich rozmyślań naszego doktora, zjawia się nagle młody koncypient, Tadeusz, ten właśnie, któremu zawdzięczamy niniejszą historję.

— Pawełku! Pawełku! zrobił się ze mną fatalny skandal — woła, siadając z desperacją na fotelu i rzucając na podłogę trzymany w rękę bukiet kwiatów.

— Cóż ci się stało? — pyta śmiejąc się doktor. — Czy cię wyrzucili gdzie za drzwi?

— Mówię ci, jeszcze gorzej... sam się wyrzuciłem... jak Boga kocham, sam się wyrzuciłem. Straszne rzeczy, co się w tym Krakowie dzieje... i żyj tu teraz, i pracuj uczciwie... powiadam ci Sodoma i Gomora między temi kobietami... A że-

bym ci ja był duchem świętym przewidział... Znasz pannę Emilię?

— Znam, ta blondynka bez krwi, siostra doktorowej, ta, co to jej asystujesz...

— Ja asystuję, ja? Ot widzisz i ty przeciw mnie...

— Mój kochany — rzecze poważnie Pawełek — przecież mam oczy i widzę cię po spacerach, w teatrze, na koncertach..

— To i cóż z tego?... Ale to nie nazywa się asystowaniem. Bywam, no bywam...

— I powiadają, że się starasz o nią.

— A niechże mię diabli wezmą, jeżeli to prawda! — krzyknie zaperzony koncepista.

— Bywasz na kolacyach...

— Co mi za kolacye! — trochę szynki z musztardą, albo gorące kiełbaski i herbata jak woda! Śliczne mi kolacye, lepsze mam u siebie w domu... Ale czekajże, niech ci powiem wszystko: dziś, jak ci wiadomo, imieniny panny Emilii, no — uważasz, tego, jakoś wypadało powinszować, jako znajomej, gdzie się bywa... Przychodzę z tym oto bukietem, wszystko bardzo pięknie, ładnie, panna Emilia przyjmuje — oczywiście, powiedziało się jakiś komplement... aż tu, gdym już miał odchodzić, pan doktor łap mię panie za rękę i ciągnie na cygarko do swego gabinetu. Niezłe ma cygara wysuszone, zapalam tedy i gawędzimy.

— Panie Tadeuszu — pyta mię chytrze — pozwolisz mi pan być otwartym?

— A i owszem — mówię niby spokojnie, choć ciarki przechodzą po plecach, bo czuję, kroi się albo na pożyczkę, albo na podpis weksłu.

— Powiedz mi pan zatem, ale to szczerze, *w jakim celu* bywasz u nas?

Powiadam ci, zgłupiałem! A to mi ci psia k... zajechał, co?

— I cóż ty? — pyta śmiejąc się serdecznie Pawełek.

— Tak ci się panie załakłem, że cygaro wypadło mi z ręki, a do głowy poszło gorąco... To jest tego, mówię — w żadnym...

— A skoro w żadnym — powiada, puszczając moją rękę i zrywając się na nogi — to proszę pana, racz o nas zapomnieć. Siostry mojej żony nie pozwolę w ten sposób kompromitować...

— Ależ mówię tego... owszem, bardzo mi przyjemnie — bo widzisz, język mi się formalnie poplątał, a on ci panie gada z irytacją:

— Ja mój panie w ten sposób rozumiem częste bywanie, różne grzeczności, bukiety, spacer, jak każdy uczciwy ojciec lub opiekun panienki powinien rozumieć... to jest, że się stara...

— Daję panu słowo honoru, nie myślałem.

— To też proszę, daj pokój swoim grzeczno-

ściom, bo pannie może to w głowie zakręcić i ludzie myśla...

— Przyjemne towarzystwo... tego... mówię.

— Zechciej pan gdzieindziej szukać lekarstwa na nudy... są na to resursy... kawiarnie...

— A jeżeli tak, to i owszem — mówię, rejterując się ku drzwiom z kapeluszem. — Bardzo przepraszam, o! bardzo...

— Nic nie szkodzi, żegnam pana — dogaduje, ale taki zły, prowadząc mnie do drzwi gabinetu.

— Wypadam ci na schody jak z łaźni, aż tu panie słyszę za sobą: „Panie, panie, proszę pana!“ — woła pokojówka Franusia, goniąc mnie z całej siły.

— Czego chcesz?

— Pan zapomniał bukietu — mówi oddając mi takowy — pani kazała panu powiedzieć...

— Dobrze, dobrze — mówię jakby w gorączce i walę ci panie po trzy schody naraz i lecę do ciebie, jak widzisz, cały w ogniu... A to ci panie scena, he?... W jakim celu? No, proszę, ta blada bez krwi i bez brwi Emilka... to ci los, ja miałbym się żenić... Pańskości za miliony, a w posagu figa marynowana... Powaryowali psie... czy co?... Że ten osieł, doktor, dał się złapać jej siostrze, to ja tak samo mam być głupi? Oho! niedoczekanie wasze... Od dziś daję sobie najświętsze słowo, że moja noga nie postanie więcej w żadnym do-

mu, gdzie tylko są, albo gdzie były, albo mogą być panny jakie... O! o! o! nie głupim...

— Dziwna rzecz — odzywa się Paweł z oczami łez pełnemi od śmiechu — żeś ty się tak zalterował...

— Żeś się zalterował... tak... powtarza z przekąsem Tadeusz — dobrze ci się śmiać, a jakby ciebie tak przyłapali, he?

— Właśnie zdarza mi się coś podobnego; przeczytajno ten list od ciotki — masz, tylko uważnie czytaj i powiedz mi, czego ona chce...

— Cóż tu długo dumać — rzecze, kładąc po przeczytaniu list na biurku. — Chcą cię złapać tak samo jak mnie dla jakiejś Ludki. Czy znasz tę Ludkę?

— Dalibóg, że nie pamiętam. Któż tam zwraca uwagę na ósmioletnią dziewczynkę... Coś, coś przypominam sobie jakąś Ludwinę, czerwoną, pyzată, z grubemi nogami... jakaś krewna stryjenki, siostra, czy córka po siostrze...

— Że ciebie złapią to złapią — mówi lekceważąco Tadeusz — bo wy medycy w ogóle niby to pozytywiści, niby ateusze, ale do kobiet nie macie żadnego rozumu.

— Jeszcze do Litwinek...

— Ba, ba, dziękuję uniżenie! — przerywa mu prawnik. — Tem ci gorzej, szukajże tam czego gdzieś na Litwie. Tu ci, panie, i hipotekę mamy

na miejscu, no, i można się od żydków dowiedzieć, bo czegoś żydzi nie wiedzą, a nieraz, panie, tak ci otumania głupca... O nie, nie; anibym się wdał z jakimiś tam Litwinkami, albo z Warszawiankami... Jeżeliby już miało przyjść do czego, to tylko *bares geld*, panie dobrodzieju, zaraz z rączki do rączki...

— Słuchajże mię i nie trajkotaj bez sensu — mówi Pawełek, przeglądając list ciotki.

— Bo widzisz nie mogę strawić tego „w jakim celu“, ażeby on psia...

— Ciocia pisze, że bardzo ładna i dobra...

— Tak, tak, one wszystkie ładne, dobre, anielskiej łagodności, gospodarne, oszczędne, jak bez posagu. I Emilka bardzo, o! bardzo czułe ma serce: spotka ci obdartego chłopaka, zaraz mu daje centa... płacze rzewnemi łzami nad żebraczką z dzieckiem na ręku...

— Mój kochany — przerywa mu Pawełek — straszny bo z ciebie materyalista. Nic tylko pieniądz, hipoteka, tylko gotówka. Po co ci u licha ożenienie! Idź gdzie do kasy, czy do banku, i okradnij, a będziesz miał posag bez żony...

— Jaki mi poeta, literat — ofuknie z ironią pan Tadeusz. — Dlatego też siedzisz u żydów w niewoli, i powiadam ci, będziesz siedział do samej śmierci. Myślisz, że ty masz dobre serce,

a ja ci powiadam, że to jest niedołęztwo i lenistwo umysłowe...

— Dobrze, dobrze, zostańmy przy swoim: ja przy długach, ty przy Ludwikach, tylko co powiesz o tym projekcie, że chcą tu inkognito przyjść na oględziny.

— Głupstwo! — odpowiada prawnik — facecye! Po co cię mają oglądać? Teraz każda tylko goni za mężem, czy on taki czy owaki... A jeszcze te z Królestwa, to umyślnie przyjeżdżają do Galicyi na polowanie... Ho, ho, mądre to sztuczki... Mnie, panie dobrodzieju, nie złapią... No, proszę, i ta blada Emilka myślała... no, proszę.

— A wiesz co? — mówi po chwili namysłu Pawełek — przychodzi mi ochota zrobić im figla... Słuchaj Tadeuszu, przyjdź do mnie jak one tu będą, i udasz, że ty jesteś ja.

— Daj mi pokój! — a jak się przyczepią znowu i zapytają w jakim celu? Już dałem sobie słowo...

— Mój kochany, co ci to szkodzi, nie tutejsze... Tadeuszkule, zrób to dla mnie, ty jesteś cięty w języku jako adwokat.

— Co do tego, to się nie boję — rzeczy nadymając się Tadeusz.

— Kobiety ci, panie, znam na wylot, i umiem ci z niemi jak trzeba. Nieraz przyjdzie jaka do kancelaryi mojego starego i ma sprawę. A trzeba

ci wiedzieć, kobiety targują się gorzej od żydów... ja jednak znam się na tem, chwale, chwale bez końca i namówię do wszystkiego... Najciężej, aby tylko zmiarkować, co ona myśli i czego chce, a jak jej trafisz panie, to pojedziesz jak sznelcugiem... Dobrze, trzeba ukarać te Litwinki, daj znać a przyjdę, i choć to one mają być chytromudre, to ja ci panie zażyję ich... i uważasz, wybadam to, co nam potrzeba... no, no, spuść się na mnie.

Szanowni czytelnicy, po co mam robić z wami ceremonie i opisywać podróż tych pań z Częstochowy do Krakowa, skoro już na początku wygadałem się, że są tutaj. Na co mam zmuszać Pawełka do szukania przyjaciela po kawiarniach, gdy one zjawiają się przy Sławkowskiej ulicy, kiedy to i mnie i wam i bohaterom powieści będzie daleko wygodniej, jeżeli właśnie w tej chwili usłyszymy niezwykle hałas na schodach, prowadzących do mieszkania doktora.

— A co tam takiego? — pyta Pawełek, uchylając drzwi do sieni.

— A to ja panie doktorze — odpowiada stróż Jakób, nie mogąc sobie dać rady z wielką miotłą osadzoną na długim kiju.

— Czegóż się tak tłumisz?

— O... o... o... czego?... Toć ta wysłały mię

jakieś grafinie, co zajęchały tu przed chałupę i czekają...

— Pocóż cię wysłały?

— Pedzieli, żeby się spytać czy jest dochtor, i cy... jakoś to one gadały, ale zabacyłem... coś cy on daje... cy bierze... tak jakoś.

— Może, czy przyjmuje...

— To, to, to, rychtyg, cy przyjmuje.

— To lecże prędko i powiedz, że przyjmuje, tylko żywo.

— Duchem, duchem — mówi Jakób, zabierając na powrót swoją miotłę. Bo trzeba wiedzieć, że Jakób dopiero od trzech dni, prosto z Bińczyc, objął urząd stróża w kamienicy, a do tego kupił sobie za duże buty podkówkami okute, i dostał nową miotłę, której przez cały dzień z rąk nie popuszcza.

Jakób nie był przyzwyczajony do chodzenia po schodach, a tem bardziej w nowych i za dużych butach, przeprawa więc jego na dół, wśród formalnego rozbijania i siebie i schodów i ścian bocznych, trwała nadzwyczaj długo, tak, że nim on doszedł przed bramę, doktor miał czas przechylić się w oknie i zobaczyć, jak przybyłe grafinie wysiadają z fiakra.

— Wiesz Tadeuszu, to mogą być moje Litwiniki — rzecze prędko. — Jak Boga kocham, to one... jedna ma kapelusz z czerwonym piórkiem...

A niechże je, jak pospieszyły... Pamiętajże, żeś doktor Proszkiewicz.

— A ty co?

— I ja także doktor, ale Tadeusz Rekursowicz...

Nim zdołali nasi znajomi zrobić jaki taki porządek na stołach i biurku, już panie litewskie pokazały się we drzwiach.

— Czy tu mieszka pan doktor Proszkiewicz? — spytała litewskim akcentem starsza, bardzo przystojna, choć nieco za pulchna blondynka, podnosząc woalkę z twarzy.

— Jestem do usług pani dobrodziejki — odzywa się rozkosznie uśmiechnięty i cały w podskokach Tadeusz. — Proszę odpocząć, bardzo proszę, u nas schody tak niewygodne — mówi dalej, zapraszając je do zajęcia miejsca na kanapie, — Poważam się przedstawić paniom kolegę mojego, również lekarza, pan Tadeusz Rekursowicz...

— Ach, jak to szczęśliwie, że zastajemy dwóch naraz panów doktorów — rzecze dzwiecznym głosem ta druga z czerwonym piórkiem. — Możemy mieć formalne konsylium, prawda Joasiu?

— Siostra moja od dwóch lat cierpi gwałtowny ból głowy — mówi owa Joasia — a nasi lekarze nie mogli jej nic skutecznego poradzić.

— Postaramy się, pani dobrodziejko... zapewne to migrena — przerywa słodziutkim tonem Ta-

deusz. — Może pani dobrodziejka pozwoli usiąść bliżej okna.

— Zdejm kapelusz, Ludko!

Panna Ludwika, podniósłszy gęstą woalkę na czoło, odpięła szpilkę przytrzymującą kapelusz, a zdejmując takowy, podała Tadeuszowi.

— Któż to kapelusz kładzie na stole? pognieciesz pan kwiaty, proszę gdzie zawiesić...

— Dobrze, pani dobrodziejko, natychmiast — mówi usłużny Tadzio, szukając miejsca, gdzieby go ulokować.

— Proszę powiesić na lampie... ach, jak ci panowie są niezgrabni... tu, tu, na lampie...

Trochę skonfundowany taką śmiałością, umieścił kapelusz na globusie lampy, podsunął fotel ku oknu i spojrzawszy na swoją pacjentkę, poprawiającą loczki przed lustrem, formalnie oniemiał.

I było czego! Coś więcej idealnie pięknego, nie zdarzyło mu się widzieć w życiu. Pan Paweł, stojący z powagą przy drzwiach sypialnego pokoju, jeszcze się więcej zagapił — formalnie wytrzeszczył oczy, otworzył usta, a musiał mieć bardzo pocieszoną minę, skoro panna Ludwika nie mogła powstrzymać uśmiechu, spojrzawszy w jego stronę.

— Więc to pan jesteś doktor Proszkiewicz, pan? — pyta Tadeusza, siadając na fotelu i przenosząc figlarny wzrok z jednego doktora na dru-

giego. — Ach, mój Boże! czemuż pan nie odpowiadasz? czyśmy was oczarowały!...

— Rzeczywiście — bąka nasz koncypient spuszczać oczy — tak jest... ja...

— A pan, panie doktorze, pan Rekursowicz, wszak prawda?

Paweł tylko się uklonił, poczerwieniawszy jak wiśnia.

— Szczególniejsza rzecz — mówi dalej panna Ludwika — że u nas na Litwie doktorzy wcale inaczej wyglądają, prawda Joasiu?

— Ależ, duszko moja...

— Nasi doktorzy mają zwykle długie włosy, ciemne okulary i po większej części zaplamione klapy od paltotów... Prędzej już pan Rekursowicz wygląda na doktora... Przepraszam pana, czy pan żonaty?

— Nie, pani dobrodziejko — mówi uśmiechając się Tadeusz.

— Chyba że tak, bo zwykle uczeni i poczciwi mężowie lubią się zaniedbywać.

— Pani dobrodziejka żartuje...

— Mój Boże, dlaczego pan doktor robisz mnie jakąś dobrodziejką... jeszcze nikomu nie dobrego nie zrobiłam.

— U nas, proszę pani, taki zwyczaj...

— I u nas taki sam, ale dla zakonnice i osób już siwych, poważnych matron; a ja przecież, choć schorowana, nie wyglądam na taką.

— Rzeczywiście tego... przepraszam.

— Moja Ludko — przerywa starsza dama — zacznijże już mówić o swojej chorobie... zabierasz panom czas...

— I owszem, niech pan doktor bada. Od czego mamy zacząć? czy od języka, czy od pulsu, czy od pukania? A może panowie lubicie się wśluchiwać co się tam wewnątrz dzieje?

— Przyjdzie i do tego, właśnie mój kolega, jako doktor sercowy, jest mistrzem w słuchaniu — rzecze Tadeusz — ja zacznę od egzaminu ustnego.

— Och, co do tego, to moja siostra gotowa dysputować i kilka godzin — rzecze śmiejąc się pani Joanna — ostrzegam pana doktora, że lubi zbaczać od przedmiotu...

— I owszem, będziemy szczęśliwi...

Tymczasem Pawełek, widząc, że do niego nie zwraca rozmowy pacjentka, machinalnie zaczął szukać kapelusza, niby z zamiarem wyjścia.

— Czy pan myśli nas zostawić? — pyta panna Ludwika figlarnie, uderzając wachlarzem o kolano.

— Sądzę, że na chorobę pani rada mojego kolegi będzie aż nadto wystarczającą.

— Przepraszam, niech pana pozory nie mylą... Zresztą mam dwie choroby, jedną fizyczną, drugą moralną, a że pan doktor jesteś specjalistą w słuchaniu...

— Rzeczywiście, kolega mój jest doktor poeta...

— To wyborne, wyborne, proszę, zostań pan, cierpię także na apatyę...

— Więc od czego zaczniemy — rzeczy już uspokojony Tadeusz — czy od fizycznej, czy od moralnej?

— Cierpię ból głowy, czasem bardzo dokuczliwy, ot tu najczęściej w skroni. Proszę, niech pan dotknie, ot tu, tu — mówi biorąc rękę Tadeusza i przykładając do czoła. — Czujesz pan, jak tam puls bije?

Jestem przekonany, że nic nie czuł, będąc zażenowany niezwykłą śmiałością panienki.

— Przepraszam pana doktora — odzywa się pani Joanna do Pawełka — że będę go prosiła o małą informację. Jesteśmy pierwszy raz w Krakowie i zupełnie obce, a potrzebujemy porady prawnika. Po babce naszej, zmarłej przed miesiącem we Lwowie, otworzył się spadek...

— Czy można zapytać panią o nazwisko babki? — wtrąca Tadeusz, zainteresowany tą rozmową.

— Urodzona Kupajtyłło, a ostatecznie wdowa po hr. Kotulińskim.

— Ależ to kolosalny spadek! — rzecze prędko koncepyent. — Kamienica we Lwowie, trzy wsie na Podolu, gotówki parę kroć; wiem, wiem, słyszałem...

— A bodajże cię diabli wzięli — szepnął sobie, spojrzawszy z wyrzutem na Pawelka — potrzebna mi ta mistyfikacya; co tu robić, szkoda takiego interesu.

— Tak nam donoszono — mówi obojętnie Ludwika.

— A pani dobrodziejka ma papiery?

— Wszystko w porządku, tylko trzeba je legalizować w Wiedniu w ambasadzie rosyjskiej. — Jest plenipotencya od siostry Komarowskiej, od matki, od męża, bo tylko dwie zostały po niej córki...

— A co mię też podleciało — mówił do siebie Pawelek — robić takie figle — ot głowa, głowa... I widocznie okoliczność ta zirytowała go do tego stopnia, że odezwał się cierpko do kolegi:

— Mój drogi, nie zajmujże pani na próżno... ale badaj chorobę...

— Jednak radzę udać się do mecenasa Wrześniowskiego...

— No, teraz już nie wiem z kim mam do czynienia — mówi Ludwika zwracając się do Pawła. —

Panie doktorze, proszę tu bliżej, może się prędzej porozumiemy...

— Przepraszam... rzeczywiście tego — nie wypada dwie sroki naraz...

— Bardzo ładnie, o! bardzo grzecznie... więc mnie pan tu bierzesz za jedną srokę? Daruj panie doktorze, ale jak na Kraków, porównanie to nie bardzo...

— Mój kolega miał na myśli rzecz, a nie osoby — tłumaczył Paweł — sukcesy i chorobę...

— Więc niechże rozprawia z Joasią o tej sukcesyi, a pan, panie Rekursowicz, wszak prawda?

— Tak jest...

— Bądź łaskaw, zajmij się tą sroką litewską, podług wyrażenia pana doktora.

— Czy mam zacząć od moralnej?

— Naturalnie, wszak to pana specjalność.

— Więc cóż pani jest?

— Nic.

— A zatem?

— A zatem źle, bo powinno być coś...

— Doprawdy, takiej choroby nie rozumiem — rzecze wesoło Pawełek, spoglądając w oczy swej pacjentki. — Może pani doświadcza bólu, albo przyspieszonego bicia serca?

— Właśnie chciałabym czegośbądź doświadczać. I całe moje nieszczęście, cała choroba, czy apatya, że bije sobie tak regularnie, jak staroświecki

zegar wujaszka, ośmdziesiąt pięć razy na minutę, ani mniej, ani więcej...

— Takim sposobem, chyba pani pragniesz nabawić się jakiej choroby, aby się zmienił ten takt sercowy?

— To, to, to! zmiłuj się, panie doktorze, pomóż mi zachorować — jednostajność taka właśnie jest powodem mojej apatii...

— I na to chcesz pani użyć lekarstwa?

— Naturalnie, jeżeli już bez niego się nie obejdzie... Cóż pan tak się uśmiechasz, panie doktorze? czy to jest nieprawdopodobnem?

— Owszem podobnem... Tylko jaka choroba, takie musi być i lekarstwo...

— Naprzykład?

— Moralne...

— Zgadzam się na moralne, byle nie homeopatyczne. Nie lubię tych cackań się i drobnych działków... Ciekawa też jestem słyszeć w tym względzie radę pana doktora?

— Apatya każda leczy się szybko wstrząśnieniem silnem.

— Zgadzam się... Otóż właśnie ja chcę takiego silnego wstrząśnienia, czegoś nadzwyczajnego...

— Niech pani dobrodziejka — wtrąca przeglądający papiery Tadeusz — pojedzie do Wieliczki zwiedzić kopalnię... to są rzeczy bardzo nadzwyczajne... ogromne pieczary z soli... Daję pani słowo

honoru — dodaje widząc wątpliwość panny Ludwiki — z czystej soli...

— Dziękuję panu — będę korzystać z rady pańskiej...

— A ja gotów towarzyszyć paniom... znam doskonale saliny, byłem już dziewięć razy...

— Tembardziej będzie mi przyjemniej, że damy panu sposobność być dziesiąty raz... Ale panie doktorze — kontynuujmy dalej naszą rozmowę — rzecze spoglądając figlarnie na Pawelka.

— Sądzę, już sprawa załatwiona — mówi uśmiechając się dwuznacznie młody doktor — kopalnie soli...

— Ależ na miłość boską, mnie soli nie brakuje, w razie potrzeby mam zapas lepszej niż wielicka, mam prawdziwą attyką.

— O już co się tyczy dobroci, to daruje pani — odzywa się z całą powagą Tadeusz — nie ma lepszej jak wielicka, bo wszyscy przyznają...

— Do rosołu, czy do jaj na miękko?

— Ale gdzież tam, do wszystkiego...

— I do apatyi serca?

— Przepraszam, przepraszam, do serca... trzeba innej... klin klinem pani dobr...

— Jak to pan rozumiesz?

— Drugiego serca również z apatyą...

— Szanowny panie Proszkiewicz — wszak prawda, pan nazywa się Proszkiewicz, czy tak?

— Tak.

— Pan jesteś homeopatą... po minie zaś pana Rekursowicza widzę, że jest innego zdania, prawda panie?

— Owszem, kolega mój trafnie rzecz osądził, tylko nie z tego stanowiska.

— Soli?

— Ależ nie, tego klina... czy tam drugiego serca...

— Na miłość Boską, tłumaczże się pan jaśniej... Cóż mam robić... proszę powiedzieć wyraźniej!

— Zakochać się... — wymęczył ten wyraz z ogromnem zarumienieniem się Pawełek...

— Bardzo zwyczajna rada, przyznam się panu. Zakochać się, poczem naturalnie pójść za męża... notabene, aby tylko nie za doktora.

— Naturalnie, nie za doktora — wtrąca ożywiony Tadeusz, zapomniawszy, iż odgrywa tu rolę lekarza...

— Ciekawym, dla czego nie za doktora? — pyta z pewnem zaszepieniem Pawełek.

— Bo doktorzy są najnudniejszymi mężami na świecie... Mam jedną koleżankę z pensyi, która wyszła za męża za doktora, to mówię panom, kobieta ta obok wielkiej miłości swego męża, cierpi prawdziwie medyczne katusze. Niech tylko kaszlnie — już ją skazuje na leżenie przez dwa dni w łóżku — wszystkiego nie może, wszystkiego

jej nie wolno... Kiedy wody chce się napić, no, tej prostej wody, to mąż zaraz sam jej nalewa i pokazuje ile może wypić... Deszcz pada, nie da jej wyjść z domu; wiatr wieje — owija jej szyję czterołokciowym szalem i ubiera w flanelowy kaftanik... Z pięknej, wesołej kobiety, zrobił jakieś prawdziwe czupiradło, pod kapelusz każe jej brać czepek na uszy... wyciętej sukni... broń Boże nigdy...

— Że tam jakiś dziwak tak postępuje z żoną — mówi śmiejąc się Paweł — czyż wszyscy mają być tacy?...

— Wszyscy doktorowie są nudni, jako mężowie... nie w ten, to w inny sposób, zawsze nudziarze...

— Ma pani rację — dorzuca Tadeusz...

— Jak to? pan mówisz sam przeciwko sobie...

— To jest... tego... niby przeciw sobie...

— Przynajmniej jesteś pan otwartym człowiekiem.

— Tak, tak, jak brama Floryańska.

— Wybornie... udało się panu!... prawda, jak ta odwieczna brama... masz pan rację... brakuje tylko panu świętego Floryana na piersiach...

— Za to, pani dobrodziejko, mam inny medalik... zawsze noszę... serca Jezusowego...

— Pan jesteś nabożnym? pan, doktor?...

— Trzymam się tradycyi i wiary przodków... kto z Bogiem i Bóg z nim...

— Jaka to szkoda, żeś pan doktorem medycyny — rzekła jakby do siebie panna Ludwika, wydawszy lekkie westchnienie...

Pan Tadeusz zerwał się bardzo energicznie z krzesła, i już, już chciał się przyznać, że nie jest doktorem, lecz surowy wzrok i ogromny mars na czole kolegi wstrzymał go od tego.

— Ludko, serce — odzywa się z kanapy pani Joanna, składając album z fotografiami, które oglądała — kończę już swoją konsultację, zabierasz czas panom.

— Kiedyśmy jeszcze nie doszli do żadnego rezultatu...

— Sądzę, pani, że i nie dójdziemy — mówi grzecznie Pawełek — siostra pani jest w bardzo wesołym usposobieniu żartowania z naszej rady...

— Panie doktorze — jak można tak sądzić o mnie? — rzecze spoglądając z wyrzutem na Pawełka — seryo mówię panu, jestem chora...

-- Ja też na seryo zaleciłem pani kurację...

— Kiedy pan wyglądasz na obrażonego!... Proszę, daruj mi taki sposób traktowania; my Litwinki lubimy być naturalne... chyba, że nudzi pana moja paplanina... i chciałbyś nas się pozbyć...

— Proszę mi wierzyć — rzecze z dystynkcyą Paweł — że gabinet mój doktorski nie widział jeszcze przyjemniejszej i dowcipniejszej pacjentki, i że pragnąłbym, aby ta wizyta przeciągała się bez końca...

— Ja bo, przyznam się pani dobrodziejce, przepadam za naturalnością... Co to jest męczyć się jak u nas w Krakowie nad wynajdywaniem przedmiotu rozmowy z kobietami. Zaczniiesz o teatrze, ani be — zaczniiesz o literaturze, i znowu ani me... Przyznam się pani, nie czytam tych głupstw dzisiejszych... szkoda oczu... wszystko to kłamie... Teraz że wojna, zaprenumerowałem sobie „Nową Pressę“, to ci panie gazeta... a te nasze krakowianki, lwowianki... tylko się kłóca, wymyślają sobie...

— Jak mi to pochlebia, że pan lubisz naturalność...

— Rzeczywiście, pani dobrodziejko... że wszystkie czułości, sentymenta, na co się zdały... zdrowie dobre niech będzie, apetyt dobry, humor dobry, a przytem oszczędność, ale umiarkowana, jakiś zapasik...

— To zupełnie tak jak ja... prócz tej nieszcześliwej apatyi — mówi śmiejąc się Ludwika.

— Ja i na tę mam lekarstwo...

— Zmiłuj się pan, powiedzże mi...

— Ot idę na Krzemionki na spacer...

— Cóż to za Krzemionki?

— Miejscowość z pół mili za Krakowem — idę tam i jak się zmacham porządnie, to potem spię jak zabity... A w śnie za to jedzie się gdzieś za granicę...

— Pan lubisz podróże...

— Kosztują, to prawda, ale czegoż sobie człowiek ma żałować. Nie lubię tracić na karty, na książki, na śniadanka, na obrazy czy konie, a ja, proszę pani, mam przyjemność, że poznam kawał świata... i radzę pani toż samo... nic, tylko podróże...

— I nic nie czytać, nie kształcić się?

— Dlaczego, i to można, tylko nie żadną filozofię, ani tam jakieś studia historyczne. Naprzykład, lubię pisma humorystyczne, lubię wesołą komedijkę jaką, człowiek się uśmieje i potem spi...

— Otóż ma pani najpraktyczniejszą radę — rzecze śmiejąc się Pawełek.

— Ja już to dawno praktykuję i nic nie pomaga, zakochać się nie mogę...

— To obwiązać serce mokrym ręcznikiem i powiedzieć mu, żeby spało... a może dostanie pod takim kompresem potów...

— Widzę, że ja już dzisiaj nie wydobędę od pana lepszej, serdecznej rady — rzecze panna Ludwika, wstając z fotelu i szukając swego kapelusza. — Dlatego spodziewam się, że panowie

zechcą nas odwiedzić w hotelu, a wtedy pomówimy seryo o mojej chorobie... Mam pewną tajemnicę do odkrycia, która może ułatwi panu kurację, panie doktorze.

— Z całą przyjemnością służyć im będę — rzecze Paweł, ściskając podaną rączkę.

— Całe południe jesteśmy w domu...

Damy powstały, żegnając młodych panów, Tadeusz uprzedził Pawła, podając rękę Ludwice, zatem Pawłkowi została pani Joanna, którą wśród admiracyi stróża i przekupki, odprowadził do samej dorożki.

— Jeżeli to panu nie zrobi przeszkody w wybieczce na te Krzemionki — mówi żegnając Tadeusza Ludwika — racz pan nas odwiedzić w rannych godzinach.

— A już mam przyrzeczenie pana — wtrąca pani Joanna — że nam zarekomenduje adwokata...

— Szkoda, wielka szkoda, że to pan jesteś doktorem — szepnęła mu Ludka, kiedy ją wsadzał do fiakra.

*

*

*

— A niechże ciebie Pawełku diabli porwą z twoją mistyfikacją! — krzyknie zaperzony kon-

cypient. — Wydarłeś mi przynajmniej tysiączek guldenów z kieszeni.

— W jaki sposób?

— A cóż, muszę je zaprowadzić do mojego starego o tę sukcesję, i wezmę dwadzieścia procentów... kiedy mogłem wziąć wszystko. Jakiż ja głupi, że się dałem namówić. To mi pauna, ha! — śliczności, jak Boga kocham, hrabina, co ja gadam, księżna... A wiesz ty, ile ona będzie miała?

— Co mię to obchodzi...

— Najmniej sto tysięcy guldenów, ja już wybadałem. Spadek ci idzie na dwie, to jest matkę ich i ciotkę... a ich znowu tylko dwie: ojciec nie żyje, więc czwarta część czysto dla Ludki. Ciotka podobno stara panna.

— Widzę, Tadeuszu, jesteś zaintrygowany...

— Mówię ci, zakochany, dalibóg, po same uszy... Czy to Emilka, co? No, powiedz sam, gdzie jej do panny Ludwiki? I to ci panie gotówką, zaraz... pewne, jak bułka za grosz... A tobie, jak się podobala?

— Jakaś dziwaczna, zanadto śmiała...

— Wierzę, wierzę, tobie nie takiej potrzeba. Ty lubisz delikatne, nadpowietrzne sylfidy, kandydatki do suchot, poetyczne. A to ci panie kobieta praktyczna, bardzo mi się podobala, o bardzo... Przy wsiadaniu powiedziała mi: „Szkoda,

że pan jesteś doktorem...“ — Cóż, pójdziemy do nich?

— A jużciż trzeba.

— No, a jakże z temi przemianami?

— Trzeba się przyznać, i rzecz skończona.

— Ja bo mam doskonałą wymówkę — rzecz, zacierając ręce Tadeusz — uprosiłeś mię, i po przyjaźni musiałem, a ty co?

— Ja powiem, że mam takiego przyjaciela, który aby siebie uniewinnić, gotów całą winę zwalić na mnie.

— niesprawiedliwy jesteś Pawełku! Co, nie wierzysz w moją przyjaźń?

— Słyszałem przecie...

— To widzisz, tak się mówi, ale ja dla ciebie wszystko jestem gotów... naturalnie co mogę. I mówię ci, jak się wezmę do Goldfelda, to ci go panie z tych twoich weksli tak okroję, że mu nie dasz więcej, jak połowę.

— Dziękuję za taką łaskę.

— I nic od ciebie za prowadzenie sprawy nie wezmę, słowo honoru, ani centa... tylko ma się rozumieć stemple, wpisy, kopie...

— Nie, mój drogi, nie będę cię trudił: com winien i com podpisał, to zapłacę.

— Śmieszny jesteś z tym twoim honorem... wszak żyd cię obdarł...

— Za mojem zezwoleniem... Ale dajmy temu pokój... takie są moje przekonania...

— Wiesz co — mówi, żegnając serdecznym pocałunkiem kolegę pan Tadeusz — jak to Pan Bóg zawsze za jedno złe, zaraz daje nagrodę i pociechę. Żeby nie Emilia z tym bukietem, nie byłbym u ciebie... Śliczna sobie ta Ludwika... ależ to cud... jestem zachwycony... No, bywaj zdrów...

Wychodząc, zabrał ów bukiet z sobą, i już we drzwiach zapytał:

— Słuchajno, czyby to nie wypadało posłać im, co?

— Sądzę, zawczasie... tak mało się znamy... — odpowiada Paweł, zamykając drzwi.

Dlaczego zawczasie — duma sobie koncy-pient, zdążając na ulicę — ładny bukiet, dałem półtora guldena... szkoda go tak zmarnować... Eh, może i nie dawać, ten bukiet nie ma już szczęścia — mówi sobie dalej, przypomniawszy ranne „w jakim celu“. — Ba, ba, ba... niechnoby mi się te zapytały „w jakim celu?“ I owszem, i owszem... powiedziałbym... wiedziałbym co powiedzieć... A może Bóg da, że i powiem... Widziałem, obie się brały do mnie, a ta Ludka, jakie to pieszczotliwe imię Ludwinia, Ludeczka... Trochę ona, jakby to powiedzieć, ekscentryczka... jakieś niby fanaberye... ale dwakroć, panie... No!

i psia k... ładna bo ładna... Już widzę, zaczyna iść człowiekowi... i pójdzie... dlaczego nie ma iść? Przecież jestem coś lepszego od wielu innych, którym idzie; ma się coś gotówki, było się za granicą, panie, i w Peszcie, i w Marienbad, i w Pomeranii; jest co powiedzieć, z czym się odezwać... A ten Pawełek... jaka z niego rura! Zły, widzę, nos spuścił na kwintę... a ma się za wykształconego, pisze... Nie tędy bratku, nie tędy idzie się do serca kobiecego! — Ja ci panie inaczej... pięknie, grzecznie, aby tylko zmiarkować co ona chce... a żem zmiarkował — to nie ma co gadać. Ho! ho! masz spryt Tadeuszu, oddaj sobie sprawiedliwość, że masz.

Wśród tak rozkoszno błogich rozmyślań, przypomniał sobie Tadeusz, że trzeba wyszukać kogoś, któryby zaniósł ów bukiet paniom do hotelu. Wzrok jego padł na Jakóba z fajką w ustach, zamiatającego z wielkiem namaszczeniem bramę swej kamienicy.

— Słuchajno przyjacielu, nie mógłbyś odnieść tego bukietu tym paniom, które dopiero ztąd wyjechały...

— Oloboga, co nie mam zanieść, ino kaj?

— Do Saskiego kotelu, wiesz; zresztą pójdź za mną, ja ci pokażę... tylko odwiąż ten fartuch i włóż jaką porządniejszą kapotę.

— Duchem wielmożny panie — odpowiada, chwytając fajkę i biegnąc pod schody do swej komórki. — Widzi pan, że ja mam przyodziewek jak się patrzy — mówi, wychodząc za chwilę w białej sukmanie i w wysokim kapeluszu na głowie.

— No, masz ten bukiet i chodź prędko za mną.

Koncypiant puścił się szybko ulicą, a Jakób za nim, stukając przeraźliwie nowymi butami po bruku tak, że wszyscy przechodzący spoglądali na niego.

Hotel Saski, jak wiadomo, jest przy Sławowskiej ulicy; więc stanąwszy przed bramą, Tadeusz obejrzał się na swego pośłańca.

— Jakóbie, a ta miotła na co?

— A jakże pan chciał... toć to moja miotła! Gospodarz mi przykazali, coby ja się nikaj nie ruszał bez miotły, bo ja sobie jestem stróż...

— A odnieśże mi zaraz to do kamienicy! Cóżes ty zwaryował, walić tak do pań z miotłą i bukietem?...

— Eh, na co ta robić taki sztuk drogi... poślawię ja za wrotami *fotelu*...

— Stawiaj, stawiaj — mówi Tadeusz — niech i tak będzie. A rozpytawszy szwajcara, pod którym numerem stoją takie a takie panie, informuje Jakóba.

— Pójdiesz na pierwsze piętro, ten pan ci pokaże które drzwi, i oddasz ten bukiet, rozumiesz?

— Baczę...

— I powiesz, że to od tego pana doktora... Czekał, może mam bilet... Tam do diabła, kiedy ja, to nie ja...

Jakób, który przez cały czas rozmowy patrzył jak w tęczę w twarz koncypienta, ogromnie się zdumiał, dowiedziawszy się, że ten pan, to nie jest ten pan.

— No, to idź już tak bez biletu i powiedz.. A niechże cię, jakże tu powiedzieć, żeby one wiedziały, że to odemnie... Czekałno...

— O... o... o... wielga rzecz powiedzieć, toć ja potrafię i sam. Nierazem ci ja chodził do nasego pana Ulijana Kirchemajora...

— Ale widzisz, bo to trzeba umieć...

— A cóż ta umieć; rzeknę, pan mi dali. coby oddać jaśnie wielmożnej grafini te kwiatki...

— Właśnie to będzie głupio...

— No, to zagadam jeszcze lepiej, nie bój się pan, Jakóba nie trza uczyć; pan też kazali się bardzo pięknie pokłonić jasnej grafini i przysłali...

— Ale któż ten pan, cymbale, któryż pan?

— No, ten od *metereusa* (miało to znaczyć notaryusza). Albo ja to pana nie znam... Toć kiej

nasi robili donacyę na grunt, ja tam pana widział...

— Słuchajże, powiesz tak: ten pan doktor starszy, co był u doktora... nie, nie; powiedz lepiej, że nasz doktor z kamienicy, ale nie ten z jasnymi włosami... uważasz...

— Uważam...

— Przysyła i prosi, aby pani przyjęła...

— A nie gadać tego, co się kazali bardzo pięknie ukłonić...

— Jak tam chcesz, ale będziesz wiedział, co?

— Cóżbym znowu nie wiedział; czy mi to pierwszyna do panów gadać, czy co? Póki się było na swoim gospodarstwie, to do pana Ulijana ino ja z gromady chodziłem...

— No, to dobrze, idź, a jak się sprawisz dobrze, dostaniesz szóstkę na tytoń.

— A niech też tu wielmożny pan da pozór na moją mietłę, hań, za temi wrotami, bo jakby mi chwycił jaki paper, toby się i ta szóstka nie opłaciła...

Dla samej ciekawości, jak wypełnił swoje poselstwo stróż Jakób, pójdźmy za nim na pierwsze piętro i wejdźmy pod numer czwarty, gdzie właśnie mieszkały nasze damy litewskie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków — odpowiada panna Ludwika. — A cóż to powiecie mój człowieku?

— Ten pan dochtor kazali się bardzo pięknie jasnym grafiniom pokłonić, przysyłają takie kwiatki, coby je jasne grafinie wzięły.

— Jaki doktór? — pyta, zbliżając się do Jakóba panna Ludwika, a za nią i pani Joanna.

— A ten dochtor, co jest nasz a nie nasz...

— Nic nie rozumiem — mówi Ludka, hamując śmiech wobec komicznej postawy i drapania się w głowę Jakóba.

— Jak to, wasz a nie wasz? — rzecze pani Joanna.

— A jużci, tak jest, bo oni tak kazali pedzieć, że oni są dochtor nie nasz, ale są od *metereusza*, co jest na Grodzkiej ulicy. Oni pedzieli, że oni to nie są oni...

— A cóż oni są?

— Bóg ich ta wie...

— Jakże wygląda ten pan?

— O... o... o... nijaki sobie panocek... z wąsikami...

— A nazywa się?

— Kaj zabaczyłem... dyć prawda... to on są ten dochtor, co nie mają białych włosów.

— Gdzież ten pan jest?

— A haniok na dole, pilnują mojej mietły za wrotami.

— Mój człowieku, tyś się chyba upił i pleciesz

koszałki opałki — daj nam pokój i idź z panem Bogiem.

— O... o... o... laboga, cóż to jasna grafini mię nie poznaje, czy co? Dyć ja jestem Jakób, stróż z tej kamienicy, co jasne grafiny były niedawno... co ja je prowadził do naszego pana dochtora.

— Więc on ci dał ten bukiet?

— Ale kajta on, to ten drugi, nie nasz...

— Także doktór?

— A juści, pono dochtor ino nie od ludzi...

— To od czegoż on, od bydła, czy od koni?

— Ale kajta! on jest od dokumentów dochtor, co u metereusza pisze tranzakcye o grunt... taki czarniński... on ta był u naszego, jak jasne grafinie były...

— Wyborny, wyborny! — zawołała Ludka, kłaskając w ręce i odbierając bukiet. — Więc powiadasz, że pilnuje twojej miotły na dole? •

— A juści, bo to nowiuska miotła, kupił gospodarz na Szczepańskim kiejsik, i dali szóstkę i trzy grajcary, a patyk to ja kupiłem sam, i dałem z wielkim targiem pięć grajcarów...

— No, to podziękujże panu i masz tu na piwo — rzecze Ludka, dając mu w rękę kilka centów.

— Bardzo też pięknie dziękuję jasnej grafini; choć ja ta piwa nie piję, ale se zakurzę cyganka... Niech będzie pochwalony..

— A co, nie mówiłam, że on nas zmistyfikował, co? — rzecze panna Ludwika do siostry, oglądając bukiet. — Ja zaraz poznałam, że oni zamienili role z sobą. Poczekajże, panie Pawle, dokuczę ci ja za to... Tylko spojrzałam na ich zmieszane miny, już wiedziałam, że tu jest coś... Zresztą, przecie doskonale pamiętam owego Pawełka, który się bawił ze mną, przyjechawszy z Wilna na wakacje: włosy miał białe jak len, a brwi czarne...

— Muszę uwierzyć, że tak jest... serce nie zawodzi, prawda Ludko?... A i ten pocziwiec Jakób, widział go u tego... jak on to nazwał, notaryusza...

— Meterusza...

— Doskonały sobie Krakowiak, ależ na scenę go gdzieś do teatru, wyborny...

— Wytłómacz mi tylko Joasiu — przerywa Ludwika — zkad on wiedział, że to my?

— Widzę, że wpadasz na to samo, co ten stróż mówił, że on, a nie on.

— Musiał wiedzieć... ktoś go uprzedził... A... a... a... jestem w domu! To ciotka kochana pisała mu z Częstochowy... pamiętam, pytała się lokaja w hotelu, jakiej marki potrzeba do listu za granicę... Niezawodnie go uprzedziła...

— A i teraz, gdzie ona się podziła? tylkośmy wróciły, zaraz wymknęła się niby na nieszpory...

Gdzież mogą być we środe nieszpory? — pewnie pobiegła do Pawła.

— Widzisz, że nas zdradzono, ale poczekaj panie doktorze, mam ja na ciebie sposób... że ja mu dokuczę, to dokuczę...

Tymczasem na dole, w sieni hotelu, odegrała się druga, również interesująca scena. Gdy Jakób poszedł na górę z bukietem, niecierpliwy Tadeusz, oczekując jego powrotu i skutku misyi, z przyspieszonym biciem serca przechadzał się po traktarze przed hotelem. Korzystając z jego nieobecności, miejscowy stróż z rudymi faworytami, coś również w rodzaju Jakóba, ale w poprawnej już edycji, słysząc ostatnie słowa kolegi, dotyczące owej miotły, postanowił zrobić mu figla i cichaczem wyniósł ją z za bramy.

— No i cóż Jakóbie? — pyta niecierpliwy Tadeusz, zobaczywszy spuszczonego się ze schodów Jakóba.

— Wszyćko dobrze! kazały bardzo pięknie panu podziękować.

— I wzięły?

— A cóż nie miały wziąć... ta młodsza to zaraz powąchała...

— Powiedziałeś tak, jak ci mówiłem?

— Eh, wielmożny pan to widzę Jakóba ma za baj bardzo... cóż mi to pierwszyczna gadać z grabiniami!...

— No, to masz, przyjacielu, co ci obiecałem — rzecze uszczęśliwiony koncypient, wciskając mu dziesiątkę do ręki i klepiąc go po ramieniu.

Jakób się skłonił uszczęśliwiony podwójnym datkiem, lecz w tej chwili spojrzawszy za drzwi bramy, zbladł jak ściana.

— A gdzie moja miotła! — krzyknie, poruszając drzwiami. — O rety! ktoś chwycił...

— Musi być, poszukaj dobrze...

— Szukajże pan, szukaj... no, jest, jest... niechże pan patrzy... A bodajże wciornascy wzięli z taką robotą, bodaj! No, widzicie, moi ludzie, kazać tu komu pilnować...

— Cicho bądź — mówi zawstydzony Tadeusz, bo na ten krzyk rozpaczy biednego Jakóba, pokazał się portyer we drzwiach i kilku stangretów z głębi dziedzińca zdążyło ku bramie.

— Dobrze panu gadać, cicho bądź, a gdzie moja miotła? Mówiłem, jak komu dobremu, daj też pan pozór.. no i jakże pan dał... co ja też teraz będę robił, ha!

— Kup inną, a nie krzycz!... masz... i daj mi święty pokój — szepcze Tadeusz, dobywając portmonetki.

— Ale... kup... — powtarza sobie zakłopotany Jakób, szukając po wszystkich kątach zguby. — Naści kup... myśli pan, że to tak łatwo taką miotłę kupić... Nalatał ja się dosyć i gospodarz

się nalatali... A bodajże temu ręka uschła, co wziął... No, no, żebym ja był duchem świętym wiedział, co mię takie nieszczęście spotka, wyrzekłbym się i szóstki i bukietu i wszystkiego... Oj! będzie też gospodarz krzyczeć, będzie...

Tadeusz drapnął przytuliwszy uszy, Jakób narzekał i szukał, a hotelowy stróż, stojąc z daleka i pykając z *porcynelki*, podnosił co chwila, niby do obtarcia nosa, niebieski swój fartuch, a właściwie, żeby ukryć śmiech przed oczami zafraśowanego Jakóba.

— Możecie wy wzięli, co? — pyta go miłośiernie.

Stróż kolega tylko wzruszył ramionami.

— Powiedźcie prawdę... miotłę kupić, to kupię nową, nie ma co rzec — ale takiej przyrychtowanej do mojej ręki, nie dostanę. Możecie wy, powiedźcie...

— Żebyście kupili gorzałki, to możebym wyróżył kaj ona jest...

— Dlaczego nie mam kupić?... Ino powiedźcie.

— A dacie kwartę?

— Bodajby i kwartę — odpowiada, skrobiąc się po głowie Jakób.

— No, to chodźta chłopcy do szynku — mówi stróż do stojących stangretów — a miotła się znajdzie. Walek! — rzeknie do swego chłopaka — wynieś no tę miotłę, co hań w wozowni stoi.

— Ja zawsze gadam swoje — peroruje już na ulicy Jakób — że te nasze ciarachy to do niczego! Głupiej miotły mu nie zostaw... a niby to uczone, piszą mądrze tranzakcyę... niby nas chłopów za nic mają...

*

*

*

Nie mamy potrzeby słuchania dalszych wywodów o zdolnościach owych ciarachów, co się tyczy pilnowania miotły, jakie się toczyły między interesowanymi w pobliskiej szynkowni, a za to wróćmy się do naszego doktora Pawła, który z zakłopotaną miną chodzi i chodzi po swoim gabinecie i myśli i krzywi się i ciągnie bez liłości owe ułańskie wąsięta.

Licho mi też nadało urządzać taką głupią zabawę! Fe, doktor niby, a taki dzieciak i letkiewicz ze mnie... Ta Ludka, rzeczywiście śliczności dziewczyna... ktoby to się domyślił, że z tej pyzatej i czerwonej Ludki wyrośnie taka piękność... Ot, głupstwo się zrobiło... trzeba się przyznać... a że się obraża, nie ma co wątpić. No, i ten majątek nie do pogardzenia... Co to dziś znaczy sto tysięcy reńskich... sto-ty-się-cy... bagatela! Można nie jechać do Serbii, kpić z praktyki, spłacić Goldfelda i założyć sobie dziennik, ale jaki dziennik! — nie tygodniowy jakiś świstek, ale poli-

tyczny dziennik i rznąć prawdę na złość tym arystokratom. Dopierożby się wściekali ci Stańczyki!... No, już mniejsza o pieniądze, mniejsza wreszcie o dziennik! — jednak, że ładna i miła — to miła. Co to za oczy, te nasze czysto litewskie oczy z małymi sińcami? Jak spojrzała na mnie, to mi aż serce zadygotało!... I nie głupia... o nie... hm... szkoda!

Kiedy się tak biedzi nasz doktor, naraz otwierają się drzwi i poważna, czarno do figury ubrana osoba wchodzi nagle do pokoju.

— Pawełku, serce moje! — woła, rzucając mu się na szyję — tyle lat, tyle lat cię nie widziałam!

— Ciocia Wiktorya, ciocia najdroższa! — krzyknie, całując jej ręce z niekłamanem uczuciem radości.

— Ach, mój Boże! jakżeś mi ty moja duszko wyrósł, wymężniał... wyładniał.

— I zestarzał się, droga ciociu...

— A nie, nie, ślicznie wyglądasz... Ale powiedz mi, bo jestem niespokojna — rzecze, siadając na kanapie — odebrałeś mój list z Częstochowy?

— Odebrałem.

— I widziałeś je? prawda, były u ciebie... poznałeś?... Patrzejże, jakie to przebiegłe swawolnice; tylko przyjechały, zaraz niby to po ręką-

wieczki, a poleciały do ciebie. Widzisz, bały się, mój serdeńku... Ludka jest zachwycona — mówi, całując go znów w głowę... — Powiada, nadzwyczaj miły człowiek, a jaki stateczny, wcale nie trzpiot, ani postrzelony, jak stryj Anzelm cię opisywał.. Mówi, to rozsądny, praktyczny mężczyzna... żadnych fanaberyi... Tylko, co to jest? — rzecze, przyglądając się przez okulary Pawłkowi — przysięgała się, że ty masz czarne włosy... No, przecież masz jasne... Cóż jej się przywidziało? — pamiętam i ojciec był blondyn i matka blondynka zkadźeby u Pana Boga mogły urość czarne?

— Bo widzi ciocia — przerywa zmartwiony Pawełek — zrobiło się głupstwo.

— Cóż takiego? nie słyszałam o żadnem — czyś sobie pomalował?

— Był tu mój kolega wtedy...

— Wiem, wiem, mówiły mi o tem; ale Ludka powiada, ten drugi, także podobno doktór, to jakaś narwana sztuka, jakiś poeta, czy marzyciel...

— Naprawdę, tak mówiła?

— Cóż ci to szkodzi, mój serdeńku, niech sobie będzie.

— Ale bo widzi ciocia, ten drugi, to ja.

— Cóż znowu? ty, to ty — a on...

— Kiedy mnie przyszła myśl głupia...

— Słucham, słucham, ale się nie obawiaj.

— Zamienić nasze osoby... on zarekomendował się jako Paweł Proszkiewicz.

— A to znowu co za historia? — zawoła oburzona ciotka.

— Chciałem im zrobić figiel za figiel..

— Błazen jesteś! — mówi, zrywając się nagle z kanapy zaperzona od gniewu starowina. — Dobrze mówił stryj Anzelm, że tobie brakuje jakiejś klepki. Trzeba być... już nie wiem czem trzeba być... zepsułeś wszystko... Ona tamtego pod niebiosa wynosi. I cóż teraz będzie?

— Nie, moja ciociu — rzecze z płaczliwą miną Pawełek — pójdę, przeproszę...

— To wszystko na nic się nie zdało! wszystko przepadło. Oto mi doktor, oto mi poważny człowiek! Idź precz, brzydaku! — mówi, odsuwając od siebie całującego ją po rękach Pawełka.

— Moja ciociu, jak ona mi nie przebaczy, ja sobie w łeb palnę. Ludka jest zachwycająca... jestem w niej zakochany, nie widziałem jeszcze równie pięknej, równie rozumnej i miłej pani. —

— A widzisz... no i potrzeba to było tych psich figlów... kiedy ty będziesz miał rozsądek i statek?

— Moja ciociu, dopomóż mi.

— Jak tu dopomódz, kiedyś sam popsuł... już jej teraz nie wytłómaczysz... tamten się podobał...

— Jak Boga kocham, tak idę do Wisły i topię się — rzeczy z desperacją Paweł.

— Głupi jesteś! — zawoła ciotka z gniewem. — Cóż to?... Dawałeś sobie życie, żebyś go sobie śmiał odebrać, ty heretyku, bezbożniku, masonie jakiś... Ubieraj się i pójdz ze mną, chociaż ja wiem, że wszystko na nic się nie zdało — kobiety są fatalistki i niczem ich nie przekonasz, jak im się kto nie podoba... A ubieraj że się... Myślałam żeś się przecie ustatkował, zapewniałam stryja Anzelma; namówiłam, żeby im kazał jechać...

— A przecież i tak byłyby jechały o tę sukcesję...

— Jaką sukcesję?

— No, po babce; mówiły przecież, pokazywały papiery po babce, która niedawno zmarła we Lwowie...

— W imię ojca i syna... ty duszko moja już umrzesz sowizdrzałem, jak Pana Boga kocham...

— Ależ, ciociu, słyszałem...

— Dajże mi święty pokój z tem wszystkim! — Zkąd babka, jaka, czyja, gdzie, we Lwowie? ależ tobie się przekręciło naprawdę. Ubierajże się prędzej i chodź... A jaki to z ciebie niedołęga — mówi dalej, widząc że roztargniony Pawełek otwiera szafę i zamyka, przymierza jakieś tużurki i zdejmuje. — A jaki to nieporządny!

Czegoż tak zostawiasz po krzesłach to ubranie?... Powieśże, fe... prawdziwy flejtuch!... Miałam też co trzymać do chrztu, miałam; żebym była przeczuła, że ty takim będziesz!... Oj trzeba ci żony koniecznie takiej jak Ludka, a i ona przecie moja chrzestnica... dałaby ona ci za taki nieporządek... Poczekajże, gdzież ten twój halsztuk? a toż na kark ci z tyłu idzie, masz szpilkę... przypnij... Oho, dobrze mówi stryj Anzelm: „co się łyse urodzi, to i łyse zginie“, dobrze mówi... pamiętam, nie miałeś ani jednego włoska.

Otóż w ten sposób musztrując Pawełka i gderając mu nad uszami, szanowna ciotka Wiktorya wyprowadziła go na ulicę, wzięła pod rękę i pędziła co tchu do Saskiego hotelu.

— Macie go, macie, tego obrzydliwego sówizdrzała! — rzecze wchodząc do pokoju.

— Ależ ciociu, my nie ubrane! — krzyknie Ludka, chowając się w negliżu za fotel.

— No wyjdźże i poczekaj sobie w kurytarzu! — Cóż to, nie rozumiesz jeszcze tego, że nie wchodzi się do pokoju kobiet, kiedy się ubierają?

Jak niepyszny, a przytem odurzony komendą ciotki, wyszedł rzeczywiście z pokoju na kurytarz, gdzie caluteńki kwadrans odbywając przechadzkę tam i napowrót, miał czas przygotować się do oczekującej go roli.

— Już można, pójdź! — mówi, uchylając drzwi staruszka.

— Panie darują — rzecze, kłaniając się z zakłopotaną miną uśmiechniętym damom — tej dzisiejszej mistyfikacyi.

— Bardzo ładnie, bardzo — odzywa się pani Joanna, gdy Ludka, trzymając ów bukiet Tadeusza, zdaje się całkiem zajęta rozróżnianiem kwiatów, jakie go składają.

— Zrobiło się nedorzecznosc, przyznaje, ale też i panie trochę temu winne...

— Ciekawa jestem w czym? — zapytuje Ludka, nie odwracając oczu od bukietu.

— Dlaczegoż było udawać nieznajome i chore?

— Któż panu powiedział, że ja nie jestem chora? Czy przedstawiłam się panu za kogo innego? — rzecze, oblewając Pawła obrażonem spojrzeniem.

— Jak to pstro w głowie, oj pstro! — dorzuca ciotka. — A niby to skończony człowiek, podróżował wiele, mieszka w wielkiem mieście... Patrzał, tamten taki grzeczny, już przysłał bukiet... to mi jest mężczyzna i wie, czem może zrobić przyjemność kobietom...

— Prawda, że piękny bukiet? popatrz pan — mówi Ludka.

— Bardzo ładny...

Pawełek od razu poznał ten bukiet, który tak niefortunna odegrał rolę z panną Emilią i już miał chęć opowiedzieć jego historię, lecz wstrzymał się, zauważywszy, iż byłby to rodzaj denuncyacji na szkodę przyjaciela.

— Powiedz mi pan — rzecze znów panna — kto jest ten pan?

— Kandydat na adwokata — przyjaciel mój, Tadeusz Rekursowicz.

— Bardzo miły chłopiec, prawda Joasiu? Przyrzekł nam towarzyszyć do Wieliczki... powinszować panu takiego przyjaciela.

Nie było co powiedzieć przeciw temu; różne są na świecie gusta — musiał zatem wysłuchać Pawełek częstych zwrotów rozmowy do tego samego przedmiotu, jakim był dla Ludki pan Tadeusz.

— Sądzę, że mu pan to powtórzysz, jako przyjaciel?

— Nie wiem, czy to będzie bezpiecznie — odrzekł młody doktor, gdy ciocia daje mu nieme znaki, aby tego nie czynił.

— A jakież pan widzi w tem niebezpieczeństwo?

— Bardzo wielkie, jeżeli taka zachęta wychodzi z ust pani.

— Mam to przyjąć za komplement?

— Za najświętszą prawdę,

— Aha! dlatego też pan, unikając tego niebezpieczeństwa, wolałeś użyć zastępcę?

— Nie znałem pani...

— Jeszcze lepiej, jeszcze grzeczniej ze strony pana... Zapomnieć swojej przyjaciółki z lat dzieciennych, wyprzeć się jej znajomości... Moi panowie, jak to wy wszyscy zbyt lekką macie pamięć, a żeby jeszcze i ta nie obowiązywała, to urządzacie małe *qui pro quo*, rodzaj zabawki, cokolwiek niższego rzędu niż doktorskiej... I to się nazywa u pana serdeczne, przyjacielskie, po dwunastu latach niewidzenia, przywitanie!

— Widzisz, Pawełku, nie mówiłam, co? Wstyd ci teraz, rumień się, o jeszcze lepiej się rumień... tak, niech ci łzy stoją w oczach... powinieneś jak bóbr płakać za to głupstwo.

Rzeczywiście, dotkliwe wymówki panny Ludwiki oddziaływały tak żałośnie na serce pana Pawła, że mimowolnie oczy mu zasły łzami. Lecz po chwili, postanowił zakończyć tak męczącą wizytę.

— Pozwolą panie pożegnać się — mówi, zabierając się do wyjścia,

— A jakże będzie z konsultacją lekarską? — pyta niby obojętnie panna Ludwika.

— Nie mogąc zaufać swoim wiadomościom, co się tyczy tak skomplikowanej choroby, jaka jest

u pani, sędzę, że najlepiej będzie poprosić którego z profesorów...

— I rzeczywiście, pan sobie nie ufa?

— Przynajmniej tam, gdzie to dotyczy pani...

— Ach, prawda, jestem cała niebezpieczeństwem dla pana.

— Ludko, serce — rzecze ciotka — lepiej niech zawezwie kogoś do narady.

— Dobrze, jeżeli pan tak łaskaw, czekamy jutro o jedenastej... — a podając mu rękę na pożegnanie, dodaje już we drzwiach — tylko też weź pan już prawdziwego doktora...

Zirytowany do żywego, wybiegł nasz bohater z hotelu i aby ulżyć sercu, a przytem wysapać się i wydąsać do woli, puścił się bez myśli i celu po plantacyach w kierunku Wisły.

Trudnoby nam po porządku opisywać całą mozaikę myśli przebiegających w tej chwili po mózgu szanownego doktora, jak trudno uchwycić malarzowi te mieniące się barwy słonecznego światła, oblewające przy zachodzie słońca tytaniczne kształty obłoków. Widzieliśmy tylko, że biegł bez pamięci z osuniętym na tył głowy kapeluszem, że machał laską coraz energiczniej, że rozmawiał z sobą, zaciskał zęby i patrzył tak dziwnie przed siebie, że przechodzący po plantach żołnierze usuwali mu się z drogi, a przestraszone dzieci chowały się za spodnice swych nianiek.

— Panie Pawełek, panie Pawełek — daje się słyszeć za nim znajomy głos Goldfelda.

— Czego pan chcesz?

— Czy to prawda, co przyjechała ta córka handlarza od drzewa z nad Niemna?

— Daj mi pokój, nie wiem o żadnej córce...

— Ny, ten Tadeusz mi powiedział, co jest, ale takie *fein* jak grafiną; co one bierze sukcesye ze Lwów... co one stoją w Saski hotel...

— To i cóż z tego?

— Jedna jest panna, a pan Pawełek wie, co jemu żona potrzeba... a ona taka bogata a wa! jeden stokroć guldenów.

— Mój panie Goldfeld, nie nudź mię i żonę, i grafinę i tym krociem guldenów — ja nie nie chcę...

— Wielge rzecz, że pan nie chce; ale Goldfeld chce za swoich weksłów? Czego się gniewać, ja panu Pawełek dobrze rzyczę...

— Mówię ci, daj mi pokój! jestem zły jak diabeł...

— No, no, niech się pan Pawełek nie gniewa, ja z przeproszeniem mam małe prośbę.

— Słucham, tylko mów prędko, bo nie mam czasu.

— Jak one te sukcesye odbiorą ze Lwów i chciałyby kupić jakie papiery, albo ruble, niech ja sprzedam...

— Ależ ja nie wiem o żadnej sukcesyi?

— No, no, no, to też jak będzie, bardzo proszę panie Pawełek, niech pan o Goldfeld pamięta... niech ja zarobię...

Ledwie że pozbył się natrętnego wekslarza, i rozpuściwszy znów wodze żalowi, przeprawił się za Wisłę, pędząc samotnym brzegiem gdzieś daleko, aż za Zwierzyniecki klasztor.

Kobiety zręczne, a z sercem, rozmaitych sposobów używają dla okazania swej niełaski i dokuczania mężczyznom. Jedne rozpływają się we łzach i spazmują, drugie milczą uparcie, inne jak rozsrożony Jowisz rzucają pełną garścią pioruny, inne wreszcie szydzą, delikatnie wprawdzie, lecz z wytrwałością godną lepszej sprawy. A dziwna rzecz, umieją tak szybko ocenić charakter mężczyzny, do którego metoda ma być aplikowana, że jakkolwiek dokuczają, to zawsze po za tem dokuczeniem zostawiają niedomkniętą furtkę, przez którą przebaczenie precisnąć się może. Cała sztuka w tem, aby trafić na tę furtkę...

Nasz doktor należał do rzędu tych mężczyzn, którzy woleliby, aby ich natychmiast obito, niż szydzono tak delikatnie, podając dawki co godzina, aż do skutku. Dlatego dąsał się, wpadając w pasyę, a swoją drogą czuł winę, lecz nie mógł odgadnąć sposobu, jakimby ją mógł zmazać.

W stanie więc wysokiego rozdrażnienia, późno już wrócił do mieszkania, a choć położył się do łóżka z zamiarem przespania tego nieszczęścia, to szafirowo-zielone oczy panny Ludwiki do tego stopnia oblewały go szyderczo-wabiącym spojrzeniem, że dostawał drżenia serca, którego nawet zimne okłady uspokoić nie mogły.

W tem nagle ktoś poruszył dzwonkiem w przedpokoju.

— Kto tam?

— To ja, Marysia, od pani gospodyni — mówi cieniutkim głosem przezedrzwi — stróż Jakób nagle zachorował i pani też kazała prosić pana doktora...

— A gdzież on jest?

— Leży na dole w szlafbanie, prawie bez życia.

— Dobrze idę natychmiast.

Ubrawszy się naprędce, pan Paweł zabiera podręczny pugilaresik z narzędziami i zbiega do bramy. Koło stękającego przeraźliwie Jakóba stoi już kilka kobiet z zafrasowaną miną: jest szewc z podwórza trochę podcięty, bo trzymając świecę nad chorym, kapie mu bez ceremonii na nos stearyną, jest i młoda właścicielka domu, bardzo ujmująca tłuszciszka, z zastraszonemi oczami.

— Panie doktorze, ratuj go! — rzecze z błagalnem spojrzeniem — zdaje mi się, on umiera.

Rzeczywiście, rozciągnięty w skrzyni Jakób w białej świetlnej kapocie, leżał bez czucia; Pawełek przystąpił do niego, według wszelkich reguł praktykowanych w klinice, rozpiął kapotę, posłuchał, popukał, wziął za puls i tyle wiedział, co wszyscy otaczający.

— Rozebrać go i ułożyć spokojnie...

— Ale nie ma niebezpieczeństwa? — pyta strwożona gosposia.

— Trudno osądzić, gorączka silna, oddech przyspieszony...

— Ja miotły nie dam, oj, nie dam! — bąka chory Jakób — wciórnascy z taką robotą.. co mi tam bukiet... ty ciarachu stróżuj... pókim dobry...

— Widzi pan, majaczy, co?

— Maligna — mówi Paweł — rzeczywiście nie dobrze.

— Ino ciągle gada o tej miotle — wtrąca przekupka — a tak się ciska, jakby się z kim bił...

— Niech pani będzie spokojna i idzie na spoczynek, rozbierzemy go i będziemy robić co można. Może będzie tyfus... może jaka inna zapalua choroba, zapiszę mu miksturę, a jutro zobaczymy.

Wypadek ten kompletnie zaabsorbował pana doktora: poleciwszy ułożyć w skrzyni chorego, wezwał przekupkę na górę, zapisał lekarstwo, rozpowszechniając jak mu takowe zadawać — a po

jej odejściu zadumał się naprawdę nad tą szczególniejszą, a tak gwałtowną chorobą. Był to pierwszy pacjent Pawelka, a objaw choroby tak dziwnie niezwykajny, że wyjmując z szafki książkę po książce, czytał, medytował, notował do godziny trzeciej w nocy. Nic: tylko tyfus z zapaleniem mózgu — skoukludował, kładąc się na spoczynek, ułożywszy sobie już porządną plan kuracji.

Musiała być godzina dziewiąta z rana, kiedy go zbudziło silne kołatanie do drzwi; zerwał się więc na równe nogi i pobiegł w szlafroku otworzyć.

— Jakże się ma chory? — pyta, chowając się za drzwi, w tem przekonaniu, że Marysia idzie z raportem. Lecz proszę sobie wyobrazić jego zdumienie, gdy zamiast Marysi, wchodzi najprzód do pokoju miotła, a za nią rozczochrana głowa Jakóba...

— Jakóbie! — krzyknie przestraszony — co ty robisz?

— A cóż robię... idę zamiatać...

— Ty, zamiatać? Czyś zwaryował! — mówi, sądząc, że Jakób w malignie.

— Oloboga, cóż też się stało panu dochtowowi! — Dyć to dziesiąta godzina, a pan i śpi i śpi...

— Ależes ty chory, Jakóbie!

— Eh, kaj ja ta chory, ino wcora się ta trochę z temi fornalami. z Saskiego fotelu zabałamucilem, bo ten psia wiara stróż chwycił mi miotłę i trza się było wykupić... ten postawił, ten postawił i ino...

Pan Paweł należał do grona tych dobrodusznych lekarzy, co jeszcze święcie wierzą w nieomyłność medyczną i w stosy książek nadrukowanych w Berlinie, albo też w Wiedniu. Okoliczność zatem wyzdrowienia Jakóba, wbrew oczywistym symptomatom tyfus znamionującym — bardzo go zasmuciła. Wstyd mu było przyznać się do własnej nieznajomości, a wstyd ten powiększył się jeszcze, gdy schodząc do bramy, jak na złość spotkał się oko w oko z młodą właścicielką domu.

— A cóż panie doktorze — rzecze mu z figlarnym uśmiechem — nasz chory nie umarł?

— Proszę pani, u tych ludzi, to prawdziwie końska natura...

— Jestem przekonana, że zdaje się panu, on tylko pozornie wyzdrowiał, co? Oj! panowie doktorzy, oj, panowie — kończy, grożąc mu paluszkiem.

— Trudno było wiedzieć, że on tylko pijany...

— A jednak szewc, lokator, od razu mi mówił... Pokazuje się, że i szewcy czasami mają niezłą dyagnozę...

Za to przekupka, rezydująca z bułkami w sieni, była zupełnie innego zdania.

— Co mi asan będziesz gadał, pijany, pijany — mówi do szewca — niby to ludzie z pijaństwa nie umierają. Co wy wiecie, kiedyście sami mieli w czubku; ale ja co innego, com mu lekarstwo wlewała do gęby. Tak ci miał zaciśnięte zęby, że musiałam mu trzonkiem od łyżki wywahać i zaraz po pierwszej łyżce już mu ulżyło... Nie ma co gadać! niech Bóg da zdrowie naszemu doktorowi; inny by wam z tego zrobił chorobę na dwa tygodnie, a on ci dał takie lekarstwo, że *od razu* jakby ręką odjął..

Konsylium w hotelu Saskim wypadło tak, jak wszystkie wypadają konsylia, gdy ładne panie mają chęć przejechać się do wód za granicę. Stosownie do życzenia panny Ludwika, znalazła się jakaś odpowiednia choroba, obecnie wprowadzie malutka, lecz w przyszłości mogła być groźną — zatem, jednogłośnie zaaplikowano kąpiele w Krynicy, picie wody Bilińskiej i wiele ruchu.

Podczas badania chorej i następnie po odejściu przyzwanego profesora, nasze Litwinki nadzwyczaj ceremonialnie obchodziły się z Pawełkiem — a co dziwniejsza nawet, ciocia Wiktorya, tak wczoraj energiczna, dziś przybrała również poważną, choć mniej obojętną minę.

Właśnie była to niedziela, a usługna młodzież, bo zjawił się i znajomy pan Tadeusz, proponowała przechadzkę do strzeleckiego ogrodu. Dla nas w Krakowie ogród ten, z muzyką wojskową, jest sobie poprostu neutralnym salonem, gdzie prezentujemy jedni drugim wszystkie nowe suknie i kapelusze i gdzie krytykujemy otwarcie różne kokardy, uczesanie włosów i malaturę twarzy. Słuchając hucznej muzyki, liczymy skrupulatnie wypitą ilość kufelków piwa, wiemy kto jadł kwaśne mleko, a kto zamrożony śnieg z malinowym sokiem, nazwany tu lodami — narzekamy na ciężkie czasy i zbytki żon cudzych. Podczas takich koncertów, każda kieszeń nasza robi się szklaną i wszyscy z prawdziwą satysfakcją liczymy co się w niej znajduje — nawet serca kobiece stoją otworem, jak publiczna hypoteczna księga, w której wyczytać łatwo wszelkie intabulowane i nieintabulowane skłonności i inne serwituta czasowe lub zobowiązania wieczyste.

Pojawienie się nowych i nieznanych dam litewskich w towarzystwie miejscowych kawalerów — było powodem publicznej ciekawości. Tadeusz, nie odstępując panny Ludwiki, tryumfował, prowadząc ją w te ulice, gdzie najpewniej mógł spotkać znajomych konsyliarzy sądowych, a choć panna Emilia rzucała na niego piorunujące spoj-

zenia, nie mu to nie przeszkadzało być dowcipno złośliwym przy opisywaniu różnych osobistości Krakowa.

Panna Ludwika, zajęta również wyłącznie Tadeuszem, szanownemu doktorowi zostawiła na ofiarę ciotkę Wiktorę z Joanną, które pokilkakroć całą mocą wstrzymywały się od ziewania.

— Panowie dawno się znacie z panem doktorem? — pyta Ludwika towarzysza swego, gdy się nieco od reszty osób oddalili.

— O już kilka lat, jesteśmy najserdeczniejszymi przyjaciółmi.

— Czy on zawsze taki roztargniony?

— Niestety, bardzo ma lekko w głowie; kocham go, bo rzeczywiście na to zasługuje i chciałbym wpłynąć na niego, ale trudno, proszę pani...

— Szkoda chłopca...

— Prawda, że szkoda, serce jak najlepsze, tylko że nie dba o siebie... Niech tylko dostanie zkaąd jaki grosz, to natychmiast topi on się w jego rękę. Każdemu koledze, czy chce, czy nie chce, gotów pożyczyć i gotów podpisywać weksle; u niego wszyscy są dobrzy, wszyscy zacni, uczciwi... A teraz proszę pani, świat inny... tylko się wdać z tą młodzieżą dzisiejszą. Ja, co prawda zapłaciwszy już dwa razy po sto reńskich, trzymam się tej zasady: przyjaźń przyjaźnią, a interes in-

teresem; za nikogo, nawet za rodzonego brata bym nie ręczył...

— Bardzo słusznie — mówi panna Ludwika — człowiek przede wszystkim powinien pamiętać o sobie...

— Święte słowa pani powiedziała, ale to jakby mi je pani z ust wyjęła. Dziękuję za taką przyjaźń i za dobre serce, jeżeli, nie jedząc ani pijąc, mam za kogoś płacić... ja, pani dobrodziejko, w pocie czoła pracuję... bez pieniędzy, dziś ciężka sprawa na świecie. A co do Pawełka, to powiem pani, pod sekretem, odkąd go znam, zawsze w długach u żydów.

— Nie może być!

— I to powiem pani, otwarcie — mówi ciszej, oglądając się za siebie — grubo... Żal mi chłopca bo jedyny na przyjaciela.

— A praktyka, jakże mu idzie?

— Eh — rzecze, machnąwszy ręką — nic nie ma! Mówią koledzy, że bardzo zdolny, ale on wdał się w literaturę, niby coś pisze, jakieś niedowarzone korespondencye, ludzi sobie ponarażał. Ja wprawdzie tego nie czytałem, bo prócz książek prawnych, z zasady nic nie czytam, ale mówili mi inni, że gwałtem świat chce reformować...

— A jeżeli to prawda, co pisze?

— Może być, że i prawda, ale po co, proszę pani, zadzierać z ludźmi? Nie mówię, gdyby był niezależny, a no, to co innego. Ja, pani, mam inną metodę: pięknie, grzecznie ze wszystkimi — i przez to nie mam nieprzyjaciół. U nas, naprzykład, źle patrzą na każdego, gdy nie jest pobożnym. Ja też idę sobie co niedziela z książką od nabożeństwa do kościoła, stoję naprost ambony, żeby mię kaznodzieja widział i wielka rzecz, że się tam pomodłę jakie pół godziny: zaszkodzić mi to nie zaszkodzi.. A on to zaraz wdaje się w jakieś rozumowania, szydzi ze mnie, że jestem hypokrytą — ale mi z tem dobrze... Dzięki Bogu, za miesiąc już otwieram kancelaryę adwokacką na siebie i nie boję się o praktykę. No i nie jestem bez grosza...

— Bardzo rozumnie, pokazuje się, że jesteś pan człowiekiem praktycznym — mówi Ludka.

— Tak, proszę pani, dziś kapitał jest siłą... Dlatego też, jak uzbieram setkę lub dwie, zaraz ci kupuję Ludwika...

— Dobrze, że nie Ludwikę, bo byłabym w obawie — rzeczce wesoło panna — a proszę racz mię objaśnić, dlaczego pan masz taką predylekcyę do Ludwików?

— To są, proszę pani akcye kolei galicyjskiej Karola Ludwika... Śliczny papier... pewny... Niedawno stały po 197, kupilem, a teraz już warte

225. Mówią mi, sprzedaj — ale ja nie. I paniom radziłbym, po odebraniu tej sukcesyi, kupić Ludwiki... one jeszcze pójdą w górę.. Mam kilka naście czerniowieckich, ale to już nie to...

— Żeby były jakie Tadeusze — mówi, patrząc nań z uśmiechem Ludwika — możebym kupić, choćby tylko przez wdzięczność, że pan tak szanujesz mojego patrona...

— Tem bardziej teraz, gdym poznał tak piękną osobę, noszącą jego imię, przepadam za Ludwikami — dokończył, zadowolony wielce ze swego frazesu, pan Tadeusz.

Tymczasem zbliżyła się i reszta towarzystwa, usiedli więc przed werandą, a grzeczny pan Tadeusz zaproponował paniom lody. Damy się wymawiały, ale usłużny kawaler nie odstąpił i pobiegł do bufetu.

— Kuzynku — rzecze, śmiejąc się Ludka do Pawła — czego masz taką nieszczęśliwą minę? Wyglądasz, jakby cię na krzyż przybijano.

— A jak czule przewraca oczami — dodaje ciotka.

— Widocznie jest zakochany — wtrąca pani Joanna.

— Czy naprawdę, kuzynku, jesteś zakochany?

— Nie, pani, ja myślę...

— Otóż, ciekawa jestem, co kuzyniek myśli, czy nad jaką nową pracą literacką?

— Już widzę, wypaplał przed panią Tadeusz...

— O! wiele rzeczy ciekawych mi powiedział! Przyznaj kuzynku, że masz w nim serdecznego przyjaciela...

— Bardzo żałuję, że nie mogę mu się odwdziżyć tem samem uczuciem.

— Dlaczego?

— Bo już nie jestem zdolny do żadnych uczuć...

— Nie pleć! — zawoła z irytacją ciotka — jaki mi Bajron, desperat...

— Moja ciociu, cóż ja temu winien, że jestem jak lód.

— Gdybyś kuzynek powiedział przynajmniej jak lody, to jeszcze byłbyś do czego przydatnym... możnaby cię zjeść.

— Znać zaraz osobę praktyczną.

— Rzeczywiście, nie zapieram się i co się tyczy ludzi, to oceniam ich podług wartości.

— Tym sposobem, gotowaś mnie pani przeznaczyć na zjedzenie bez apetytu...

— A czy to nie powinno panu być przyjemnem? Pamiętasz kuzynek, kiedy to bawiliśmy się razem dawno, bardzo dawno, na wsi u jego rodziców... przyrzekałeś oddać mi życie... Ależ, na miłość Boską, czego się tak kuzynek rumienisz i bledniesz! Nie obawiaj się, nie będę korzystowała z tych przysiąg... uspokój się, panie

doktorze, jeszcze nie zabieram się do zjedzenia pana...

— Można w rozmaity sposób zjadać...

— Wiem i to, wiem: w kotletach, w pieczeni, nawet posiekać na zrazy, i nie zaręczam...

— Ludko, serce — rzecze ciotka — co też ty wygadujesz!

— Nawet słowami — mówi dalej jakby do siebie Pawełek.

— No, to już dam panu pokój. Mój kuzynek od czasu widać, jak został doktorem, zrobił się bardzo drażliwym na żarty, gdy idzie o jego osobę... Naprawdę, my Litwinki, musimy się wydawać panu bardzo zabawnymi, a przynajmniej bardzo oryginalnymi istotami...

— Ja bo przepadam za oryginalnością — rzecze Tadeusz, prowadząc za sobą służącego z lodami.

— Mówiliśmy tu o jedzeniu — wtrąca pani Joanna.

— To... to... to... — przyznaję się paniom, że wszystkiego potrafię sobie odmówić, ale co do jedzenia, nigdy sobie nie żałuję... Zdrowy pokarm daje trzeźwość umysłową, utrzymuje porządek w organizmie...

— Chroni od sentymentalizmu — dorzuca Ludka.

— Tak, tak, pani dobrodziejko — sprowadza równowagę rozumu z sercem.

— I stanowi najtrwalszą podstawę szczęścia — kończy z całym przekonaniem panna Ludwika, zadając lody.

— W ślimaczej skorupie — rzecze półgłosem oburzony Paweł.

Damy nie rzekły ani słowa na ten argument, a doktor zadumał się na seryo, pakując bezmyślnie do ust sporą gałkę od laski. — Kochany stryjasek miał też po co przysyłać tu taką wędlinę litewską — myślał — szkoda tej anielskiej postawy dla tak prozaicznej duszy... I jeszcze śmie mi przypominać dawniejsze przysięgi... wtedy była rozkosznem dzieckiem, a dziś to dziecko przemieniło się w prawdziwą półgaskę. Nie, nie... o innych ja marzyłem ideałach...

Trzeba szczególniejszego zdarzenia, że w parę dni potem, potrzebując informacyi prawnej, wstąpiłem do znajomego mi jeszcze z Karlsbadu pana Tadeusza Rekursowicza. Mieszka on przy ulicy Floryańskiej, na pierwszym piętrze, odnajmując od jakiegoś majora dwa pokoje od frontu, i co dziwniejsza, że przychodzącego po radę bezpłatną, przyjął mnie nadzwyczaj grzecznie.

— Ach! żebyś pan mógł wstrzymać tę sprawę: za miesiąc otwieram moją kancelaryę.

— Bardzo winszuję panu, ale, jak widzisz pan z toku rzeczy, nie mogę zwlekać...

— No, zapewne — mówi roztargniony, chodząc po pokoju i nie spiesząc się wcale z udzieleniem informacji. Naraz, zatrzymawszy się przy starej kanapie, pyta: — Proszę pana, jako człowiek familijny, znasz się pan na meblach... czy może być co z tej kanapy?

— Dlaczego nie... dać nowe pokrycie...

— I będzie wyglądać porządnie?

— Sądzę, że będzie... robota widzę niezłą.

— Bo widzi pan dobrodziej, jestem tego... prawie, prawie na ukończeniu...

— Czego?

— Zmiany stanu.

— Wiem, otwierasz pan na siebie kancelaryę...

— Prócz tego...

— A... a... a... — mówię, śmiejąc się — widziałem na koncercie, asystowałaś pan prześlicznej brunetce z niebieskimi oczami... wszyscy mówią tylko o tej pani...

— Nie może być? — zawoła rozkoszuje uśmiechnięty — proszę kochanego pana, siadaj... może cygarko... mam wyborne Trabukos... Prawda, że to coś osobliwego, ta pani, co?... Otóż, muszę się pochwalić, jesteśmy z sobą bardzo... o! bardzo blisko..

— I dlatego chcesz się pan meblować?

— Naturalnie — już szukam mieszkania, bo to trzeba panu wiedzieć, jest ciepła Litwinka, panie

dobrodzieju... odbiera dwakroć sukcesyi po ciotce... słyszałeś pan, po hrabinie Kotulickiej ze Lwowa... to jej wnuczka...

— Nic nie słyszałem — mówię zaciekawiony — ale, powiedz mi pan, gdzie wynalazłeś taką gwiazdkę...

— Panie dobrodzieju, szerokoby o tem mówić: ale jak Pan Bóg co komu przeznaczy, to samo szczęście lezie w ręce. — I opowiedział mi całą historję ze szczegółami, którą dopiero co opisałem czytelnikom.

— Pawełek się wścieka, mówię panu.

— Ale, bo też sprzątnąłeś mu pan takie cacko z pod nosa prawie...

— Tak, panie, tak — mówi, zacierając ręce — już teraz człowiek wypłynie. Pracowało się, kształciło lat tyle, a zawsze z Panem Bogiem... otóż i Pan Bóg wynagradza...

— A zatem tylko powinszować panu — rzeknę podając mu rękę — ale że czas mi drogi, proszę racz mi powiedzieć, jak tu zrobić z tym aresztem?

— Mój drogi panie — odzywa się z całą otwartością — odłóż pan tę egzekucję na miesiąc... dłużnik nie ucieknie...

— Ogłosi bankructwo...

— To cóż, przyjdziemy do konkursu... Ja, panie dobrodzieju, całą sprawę przeprowadzę jak najle-

piej... Dziś, sam pan widzi, ani czasu ani głowy nie mam do tego... Przepraszam kochanego pana — mówi, ściskając czule moje ręce — ale, jeżeli już tak panu pilno, idź pan do naszego Wrześniowskiego... on najlepiej poradzi...

A bodajże cię diabli wzięli, pomyślałem sobie, wychodząc od tego sobka — kilka słów objaśnienia żałował wymówić bezpłatnie i odesłał mnie do adwokata, z którym współkę prowadzi.. tak to, tak ludzie umieją korzystać nawet z przyjaciół...

Nareszcie zbliżał się dzień oznaczony do wyjazdu naszych Litwinek do Krynicy. Pawełek, widząc się coraz bardziej zaniedbanym przez pannę Ludwikę, odwiedzał je o tyle, o ile zwykła grzeczność wymagała. Jednak ta pozorna obojętność musiała go wiele kosztować, bo posmutniał bardzo, zmizerniał i ztetryczał do niepoznania. Za to praktyka, dzięki rekomendacyi przekupki z bramy domu, zaczęła mu iść potrosze. Niefortunna kuracya Jakóba, mimo to, zrobiła mu sławę leczącego bardzo szczęśliwie pijaków, ztąd coraz częściej między trzecią a piątą zjawiały się podrapane kumoszki, windujące gwałtem na drugie piętro podchmielonych węglarzy i tragarzy kleparskich, żądając dla swoich mężów takiego samego lekarstwa, jak dla stróża Jakóba,

który po tej awanturze ani chciał spojrzeć na wódkę.

— Żeby to i mojemu mógł tak wielmożny doktor obrzydzić to gorzałczysko — błagała młoda i bardzo przystojna brunetka, przedstawiając tęgiego i zasmolonego węglarza. — Już sobie rady dać nie mogę z tym człowiekiem; dzień w dzień tylko pijany i gęby nie może oderwać od tej blachy.

— No, widzicie ją państwo — odzywa się zataczający małżonek — od blachy... od blachy... A cóż to ja ci na porter pójde, albo na wino do Hawelki. he? Stać mię to na to, he? Na blachę mię stać, to idę na blachę... Cóżem ja ci to pan jaki, albo profesor, albo hrabia... Gdzież pójde, ani do Fuchsa?...

— Tylko do czerwonej kamienicy — mówi żona.

— Baj baja... co też pan doktor słucha tej jakiejś... na to człek pracuje, aby miał, na co go stać...

— Moja kobieto, cóż ja ci poradzę — rzecze Paweł do narzekającej — niech się wyspi... Doktor niesie pomoc tylko chorym...

— Prawda, wielmożny doktorze, kaźden zniesie, co mu przypada: ja że sobie jestem węglarz, jak się patrzy, to niosę kosz z węglami...

— Cicho mi bądź, ty pijaku!

— Stul... bo jak cię zamałuję! — krzyknie mę-
żulko, zamierzając się w wahadłowy sposób do
uderzenia, lecz straciwszy równowagę, kładzie się
z łoskotem u stóp Pawłka.

Kobieta jednak tak prosiła o lekarstwo, że
biedny doktor chcąc ich się pozbyć, zapisał też
samą miksturę, co Jakóbowi przy spodziewanym
tyfusie... Cóż chcecie? — Kobieta gwałtem wlała
to spiacemu do ust i od tego czasu mąż ani zaj-
rzał do czerwonej kamienicy... Powiedział kolegom,
że doktor zadał mu takie lekarstwo, że więcej już
wódki pić nie może.

*

*

*

W wigilią wyjazdu Litwinek, już późnym
wieczorem nasz doktor powstał z krzesła aby je
pożegnać...

— Panie Pawle — rzecze Ludka, zostawiając
dłużej niż zwykle swą rękę w jego dłoniach —
tęskno nam będzie bez pana w Krynicy.

— Gdybym mógł — odpowiada zimno — to-
warzyszyłbym paniom z największą przyjemnością.

— Powiedz pan, gdybym chciał... No, pomyśl
pan jeszcze do jutra, przywykłyśmy już do jego
towarzystwa... zresztą potrzebować mogę jego rady
lekarskiej...

— Och! co do tego, to jestem spokojny; pani jesteś tak praktyczną i systematyczną osobą, że rada takiego letkiewicza, jak ja, mogłaby najgorsze skutki spowodować... Życzę dobrej nocy paniom — kończy Pawełek, kłaniając się z uszanowaniem.

— Joasiu -- rzuć do siostry Ludka — wieczór mamy tak piękny, że szkoda go przesiedzieć w hotelu — pójdźmy na pół godziny na plantacye.

— Zgoda, idziemy...

— To i ja z wami — dodaje ciotka.

A nie uciekajże kuzynku! Na pożegnanie zadaj sobie jeszcze ten trud... proszę zaczekać, ubierzemy się za chwilę.

Jakkolwiek nie wielką miał ochotę Paweł do tej wieczorowej peregrynacji po plantacyach, jednak zatrzymał się przy drzwiach.

— Proszę, podaj mi pan rękę — mówi Ludka, gdy zeszli na dół. — Czy się mnie pan boisz, czy chcesz być koniecznie niegrzecznym?

Machinalnie więc podawszy jej rękę, szedł milcząco doktor przez całą Sławkowską ulicę, należał bowiem do rzędu tych dziwaków, którzy najwięcej zaczynają się gniewać wtedy, gdy druga strona ustępuje... Maltretowani, schylają głowę z pokorą, lecz przeczuwszy u drugich po-

korę, nabierają wtedy odwagi i zaczynają się drożyć.

— Na miłość Boską — rzecz już zadąsana panienka, wyprzedziwszy nieco postępujące za nimi kobiety — mówże pan co? Śliczny mi z pana kawaler... czy nie masz pan nic do powiedzenia?

— Daruj pani, ale rzeczywiście nie mam...

— Nawet mnie, przyjaciółce z lat dzieciennych?

— Tem bardziej pani...

— Zaciekawiasz mnie, kuzynku, dlaczegoż mnie tem bardziej...

— Pojęcia nasze są tak dziś różne, niełaska pani dla mnie tak widoczną — rzecz cokolwiek drżącym głosem doktor — że milczenie moje powinno być najlepszą zabawą dla pani.

— Widzę, że ciocia ma rację, nazywając pana bajronistą. Przekonywam się teraz, że w sercu pana mieści się całe gniazdo jakiegoś zwątpienia, rozczarowania, apatyi i innych tego rodzaju czarnych sentymentów... Ależ rozbudź się pan trochę... no, proszę. ocknij się! — mówi, potrząsając jego rękę.

— Czy pani doznałaś kiedy zawodu? — pyta się żywiej z pewną goryczą w głosie.

— Albo to raz! Dziś nawet doświadczyłam jednego z największych...

— Słucham pani — przerywa jeszcze żywiej Paweł.

— Prejsowa nie skończyła mi bareżowej sukni i muszę na taki upał jechać w tej czarnej kaszmirowej... I mam zaraz desperować o to, nachmurzać się, milczyć jak grób... Za pozwoleniem, czego pan wysuwasz swoją rękę... cóż, chcesz mnie rzucić na ulicy?... Zapowiadam, że nie puszczę pana, póki się nie dowiem historyi tego zawodu...

— Otóż, dowiedz się pani — mówi już z powagą Pawełek — że złamałem sobie lancet...

— Tak, to rozumiem — widzisz pan, już jesteśmy na drodze porozumienia... Bodajto otwartość! — mówi, śmiejąc się wesoło panna Ludwika — zupełnie jak między przyjaciółmi...

— Panno Ludwiko — rzecze, zatrzymując się z irytacją doktor — powiedz mi pani, czemu pastwisz się nademną? czego chcesz odemnie?

— Ja się pastwię?! wyborny pan jesteś! — Ale proszę, idźmy dalej... czego się pan zatrzymujesz, pomyślą nasi, że się kłócimy... Wytłómacz mi się pan zaraz, co znaczą te jego wyrazy: „pani się pastwisz“.

— Skoro pani tego żądasz, to daruj, jeżeli będąc otwartym, powiem jej to, co może się nie podobać...

— To, to, to właśnie, jestem zaciekawiona...

— Dlaczego pani igrasz ze mną jak kot z myszą?

— Jeszcze nic nie rozumiem... Wprawdzie bardzo lubię koty, szczególnie młode, gdy swawolą, ale tak samo lubię i myszki.. Zkądże więc takie przyrównanie do kota...

— Pani nie chcesz mnie rozumieć?

— Może i nie chcę, może chcę, żebyś pan wyraźniej powiedział, co myślisz...

— A jak nie powiem?

— Eh! powiesz pan, jak zacznę prosić — a zresztą jestem obrażona, więc musisz się wytłomaczyć — tak, sądzę, postępują ludzie porządni i uczciwi...

Nastąpiła chwila milczenia, doktor przyspieszał kroku widocznie, cały roznerwowany tak, że postępując obok niego Ludka, wyraźnie czuła przez rękę gwałtowne uderzenia jego serca.

— No i jakże, nie wyjdziemy z tego zaczarowanego koła zagadek?

— Doprawdy, pani mnie przyprowadzić chcesz do rozpacz... proszę, powiedz mi, kto pani jesteś... czyba szatan kusiciel, a nie kobieta?

— Ach to już najkompletniejszy Bajron przez pana mówi — rzecze Ludka. — Otóż uspokoję pana co do mojego szatańskiego pochodzenia: jestem tylko kobieta i to kobieta umiejąca więcej czuć, niż panu się zdaje; obdarzona lepszą pamięcią, niż pan sobie wyobrażasz... a przytem kobieta

rozumiejąca swoje godność, a zatem zdolna do karania niewczesnych żartów pewnych młodych przyjaciół swoich...

— Więc to ze strony pani tylko zemsta? — zawoła, drżąc cały ze wzruszenia Pawełek.

— Już ukończona...

— I to faworyzowanie Tadeusza?

— Było dalszym ciągiem metody badania serca i charakteru dawnych naszych przyjaciół. Nie udało się incognito, dzięki niewstrzeżliwości ciotki — potrafiłam więc powetować sobie tę klęskę winny sposób. Pan Tadeusz okazał się tu najlepszym sprzymierzeńcem i wygadał na pana wszystko to, co chciałam wiedzieć... Obmawiając — chwalił, i jeżeli kiedy wybaczysz mi, panie Pawle, ten podstęp — jemu podziękuj...

— Ludwiko droga! — szepnie, przyciskając z rozkoszą jej rękę do swej piersi — więc ty mnie kochasz?

— Tak samo jak przed dwunastu laty...

— Ależ to niebo dla mnie... Zlituj się, mów, mów jeszcze, ja nie wierzę mojemu szczęściu — to chyba sen... ja zwaryuję, mnie się śni w oczach...

— A ty, Pawle? — szepnie mu do ucha.

— Ja, ja? ja jestem nędznik... niegodzien dotknąć ustami kraju twej sukni... Ja jestem sowsdrzał bez czei i wiary...

— Hola Pawełku... tylko bez tych frazesów, ja lepiej wiem kto ty i co ty jesteś, tylko...

— Kocham cię do szaleństwa, bóstwo ty moje...

— Znowu frazesy — przerywa, dając mu klapsa po ręce. — Po cóż to: do szaleństwa... po cóż to: bóstwo, zlituj się... nie możesz powiedzieć, jak mówi każdy czujący godność swą i siłę mężczyzna...

— Ludko droga, ja kocham, kocham jak ostatni niewolnik...

— A pfe, nie bądź dziecinny, Pawle, ja chcę widzieć w tobie kochającego męża, opiekuna, przewodnika i przyjaciela...

— Za pozwoleniem, panowie młodzi! — woła, goniąc za nimi już przed samym zamkiem ciotunia. — Cóż wy sobie myślicie, że mamy tu nocować gdzie na ławce... Słyszycie, bije dwunasta!... My z Joasią już nie możemy nogami powłóczyć...

— Cioteczko kochana — zawołał, dusząc w uściskach panią Wiktoryę Pawełek — jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi... Ludka mnie kocha...

— Dziwi mnie, z kąd jej to tak nagle przyszło do głowy — mówi ciotunia, wydobywając się z żelaznych objęć Pawełka — bo żeby to na mnie trafiło, tobym ci wręcz powiedziała: „idź precz brzydal!” A dajże mi raz pokój, czyś

zwaryował? Patrzcie państwo, na nic mi pogniótl kapelusinę...

— Pani Joanno, a pani mi przebaczysz tę mistyfikację dziecinną?

— Ja się nie gniewałam, drogi Pawełku... niech wam Bóg błogosławi!

— O moi państwo! tylko też dajcie pokój z tem błogosławieństwem na ulicy — rzeczce poczciwa staruszka, odciągając panią Joannę. — Widzę, ten letkiewicz zaraził was swoją fiksacją... Prę-dzej, prędzej do domu, bo w końcu gotowa nas policya zabrać do aresztu, że takie hałasy wyprawiamy po nocach...

*

*

*

Pożegnawszy przed hotelem swoje damy, uszczęśliwiony nad wszelki wyraz Pawełek biegł do swego mieszkania, przeskakując po trzy schody naraz. Za nim, stukając przeraźliwie butami, cały zaspany, gramolił się Jakób, niosąc karafkę wody w ręce.

— A to też lekuśkie nogi ma pan dochtór — rzeczce, otwierając drzwi pokoju. — Myślałem, co wielmożnego pana coś złego niesie na górę.

— Bo widzisz, Jakóbie, jestem tak kontent, że mógłbym fruwać z radości po powietrzu...

— Oj, bo to prawda — rzecze, stawiając karafkę na stole i zabierając się do usłania łóżka...

— Co, nie wierzysz, nie? — chybaś nigdy nie widział szczęśliwych ludzi.

— Bogać tam nie widziałem! A nasz Mendel, prepinator z Binczyckiej karczmy, to sobie szczęśliwy człek, co ino... Luda u niego zawsze pełno, a pieniądze to mu jak lód płyną za wszystko. Ale nasz Mendel, to nigdy tak nie skacze, jak pan dochtór: on se jedną ręką trzyma porcynełkę w garści, a drugą se wsadzi za pas i sielma zyd ino se podśpiewuje: bim bom bom... ino głaszcze brodę, kiej się biją nasi w karczmie.

— Widzisz Jakóbie, ja się żenię...

— Eh! taka to szczęśliwość pana dochtora! — mówi stając przed Pawełkiem z litośną miną... Miałem ci ja dosyć takiej szczęśliwości z moją babą, to wiem. Jak dajesz, toś dobry — a jak nie ma zkađ, to jej nie trza męża... Po takiej szczęśliwości, toby człek rad zabaczyć, czy ona żyje albo nie...

— Cóż ci zawiniła? — pyta wesoło Pawełek...

— Pókim miał swoje gospodarstwo, to siedziała ze mną w chałupie, a jak mi sprzedali z banku za dług, to mię cisnęła i siedzi teraz w Krzesławicach z tym Ruskiem, na wiarę...

— Mój kochany, u nas co innego... Widziałeś te panie, co tu raz były, pamiętasz tę młodszą, ładną... otóż z nią się żenię...

— Wszystkie one jednakowe, proszę wielmożnego dochtora, i ta panna grafinia, jakem jej zaniósł kwiotki od tego czarnińskiego, co to siedzi w kancelaryi u metereusza na Grodzkiej, to mi dała szóstkę i tak wachała one kwiotki, tak wachała... Ale, proszę też pana dochtora na jutro na bułki.

*

*

*

— Mój drogi panie — zaczepia mnie na drugi dzień rano wypomadowany i wystrojony, jak pierwszy elegant, pan Tadeusz — proszę, bądź łaskaw i poradź mi.

— Co takiego zaszło? — pytam, widząc go w niezwykłym ożywieniu.

— Chwileczkę czasu poświęć mi, szanowny panie — mówi żywo, biorąc mnie pod rękę — idę oświadczyć się mojej Litwince i chciałbym, uważasz pan, kupić jakiś prezent, tak coś ze złota... coś, uważasz pan, wspaniałego, za parę set reńskich... Pan, kochany panie, przeżyłeś te wszystkie ceremonie i znasz się na tem... proszę, wstąp-

my do jubilera... a może wprzód na wódeczkę do cukierni, he?

— Daruje pan — mówię, wysuwając z wolna rękę z pod jego ramienia — ale tak jestem zajęty moją sprawą, że ani głowy, ani czasu nie mam do wybierania przedmiotów dla narzeczonej...

— To tylko kwadransik czasu.

— W tej chwili nie mogę... zatrzymaj się pan do jutra, nie mogę dziś... mecenas czeka, a tu już blisko dziesiąta...

— Ależ one dziś wyjeżdżają, proszę pana...

— Najlepiej będzie, jak pan zobowiąziesz którego z taksatorów banku — oni się na tem znają...

— Fe! jak to brzydko ze strony pana odmawiać takiej bagatelnej usługi znajomemu i przyjacielowi — rzecze do mnie z widocznem oburzeniem. — Fe! jaki to dziś świat... jaka to oziębłość...

I odszedł zirytowany do żywego moją odmową, i widziałem jak wpadł do jubilerskiego sklepu na Floryańskiej ulicy...

*

*

*

Co wybrał i co kupił u jubilera pan Tadeusz, nie umiem objaśnić czytelników; wiem

tylko, że wybiegłszy ze sklepu, chował do kieszeni fraka jakieś niewielkie pudełko w bibułę owinięte, że wstąpił potem do cukierni, napił się wódki dla kurażu i podążył do Saskiego hotelu.

W mieszkaniu naszych dam została tylko ciotka; młode panie, w towarzystwie Pawełka, wyszły już na nabożeństwo do katedry, ponieważ Ludka życzyła sobie, aby wspólnie podziękowali Panu Bogu za jego dobrodziejstwa.

— Całuję rączki pani dobrodziejce — odzywa się z bardzo uprzejmym ukłonem kandydat na adwokata.

— A, dzień dobry panu, proszę siadać... Ludka z Joasią poszły do kościoła, ale spodziewam się, że zaraz wrócą.

— Wiedząc, że panie dziś wyjeżdżają, chciałem je pożegnać, chociaż na krótko... Za parę dni spodziewam się znów powitać w Krynicy... potrzebuję, pani dobrodziejko, spoczynku na parę tygodni i jeżeli towarzystwo moje może być dla pań przyjemnem...

— Czy pan wątpisz o tem?...

— Człowiek, pani dobrodziejko, pracuje jak wół rok cały, a kiedy może pozwolić sobie na ten wydatek...

— Zapewne — odpowiada ciotka — ale czy tylko pan na odpoczynek jedzie, czy nie ciągnie tam co innego?

— Pani dobrodziejka jakby zgadła, rzeczywiście — mówi jękając się nieco Tadeusz — towarzysztwo pań, jest mi tak... jakby to powiedzieć, przyjemnem... więcej niż przyjemnem, bo drogiem...

gdybym... tego... znalazł tyle łaski w sercu pani dobrodziejki...

— W mojem? — pyta, uśmiechając się ciotka — ja sądzę, że panu tak wiele o moje serce nie idzie... Wprawdzie jestem wdowa i zupełnie wolna...

— To jest, pani dobrodziejko, jej łaskawa protekcyja... tego...

— Proszę pana, powiedz mi, *w jakim celu* to mówisz?

Ten wyraz *w jakim celu*, musiał zelektryzować Tadeusza, bo potężny rumieniec na twarz mu wystąpił, porwał się z krzesła i nie wiedząc co z sobą zrobić, zbliżył się nagle do pani Wiktoryi z zamiarem pocałowania ją w rękę.

— Pani dobrodziejko, ja... ja szanuję bardzo pannę Ludwikę, to jest... jakby to powiedzieć uwielbiam...

— Jednem słowem, jesteś pan zakochany...

— Najkompletniej, pani dobrodziejko, ale to szalenie, i uważa pani dobrodziejka, chciałbym

tego... prosić łaski pani... czyby na to... mówiąc...

— Mówże pan po ludzku! nie tego, owego, czyby, gdyby...

— Czyby można mieć jakąś nadzieję?

— 'Tego nie wiem, choć nadzieję każdy człowiek mieć powinien... Ale oto i wracają nasze panie z kościoła, spróbuj pan.

Dziwna nieśmiałość opanowała młodego koncypienta, gdy Ludka z siostrą weszły do pokoju. Zamiast zwykłych przywitań pełnych uprzejmości, jakimi dotąd odznaczało się postępowanie Tadeusza, teraz, ukłoniwszy się z wielką powagą, stanął za krzesłem, blednąc i rumieniąc się na przemiany. Panie zdjęły kapelusze i okrycia, koncypient milczał zawzięcie.

— Cóż pan Tadeusz taki dziś zaambarasowany? — pyta go wesoło Ludka — wyglądasz pan, jakby ci się na płacz zbierało.

— Mów pan otwarcie, co tam... — wtrąca ciotka, a widząc że się waha, dodaje: — Jak to dzisiejsza młodzież mało posiada odwagi... Moja Ludko, pan Tadeusz pragnie cię o coś zapytać...

— I owszem i owszem, pytajże pan, a nie rób tak śmiesznej miny!

— Może pani dobrodziejka tego... — mówi, spoglądając miłosiernie na ciotkę — raczy mi dopomódz...

— A cóż to pan jesteś uczniem z gimnazyum, żeby mu podpowiadać?...

— Pani dobrodziejka wie — rzeczce nareszcie zwracając się do Ludki — że osoba jej dla mnie jest nadzwyczaj tego...

— Cóż tego? — rzeczce Ludka, widząc, że nie mówi dalej.

— Jest dla mojego serca nadzwyczaj drogą...

— Nic a nic o tem nie wiedziałam. Ale pochlebiam sobie, że pan prawdę mówisz. Cóż dalej? chciałabym wiedzieć *w jakim celu* ta przedmowa.

— To jest... czy nie mógłbym mieć pewną, jak to się nazywa... nadzieję.

— Moja Joasiu — rzeczce panna, odwracając się do siostry, nic a nic nie rozumiem.

— Dziecinna jesteś — ofuknie ta prawie z gniewem — dlaczego żenować tego pana. Oświadcza ci swoje uczucia, zdaje się, że to łatwo zrozumieć...

— Więc to naprawdę mają być oświadczyzny, panie Tadeuszu?

— Tak pani dobrodziejko, pragnę ofiarować pani moje serce i miłość bezdenną...

— Szanowny panie — rzeczce z powagą Ludka, podając mu rękę — bardzo cenię tę ofiarę i wdzięczna mu jestem... ale cóż, spóźniłeś się pan nieco.

Wczoraj właśnie przyrzekłam moją rękę przyjacielowi jego, panu Pawłowi... Przepraszam, nie miej pan żalu do mnie... bardzo pana szanuję i cenię tę jego bezdeenną miłość...

— A to psia... podubiegł mnie ten milczek — syknął prawie głośno koncypient... — Jak to? i przyrzekłaś pani temu letkiewiczowi? — mówi głośno.

— Cóż miałam robić, kochany panie Tadeuszu — tak prosił szczerze, a my kobiety już mamy taką naturę, że właśnie lubimy opiekować się niedostatkami naszych mężów. Pan, jako człowiek tyle praktyczny i rozsądny, dasz sobie radę i bez mojej opieki, a ten biedaczysko, Pawełek, zginąłby bez tego. Zresztą — dodaje żartobliwie — łatwiej panu przeboleć stratę mej osoby: zamiast jednej Ludwiki, masz pan tyle Ludwików, które pana pocieszą, a Pawełek, prócz długów i takich jak pan przyjaciół, nie ma nic więcej...

— A zatem przepraszam, bardzo przepraszam — mówi, rejterując się ku drzwiom. — Mam honor pożegnać...

— Nie na długo, nie na długo — dodaje ciotka — pan Tadeusz za kilka dni również wyjeżdża do Krynicy.

— Doprawdy? bardzo nam będzie przyjemnie...

— To jeszcze nie pewnego... nie wiem... jeżeli czas pozwoli...

— Nawet potrzeba, żebyś się pan z nami porozumiał co do tej sprawy we Lwowie — dodaje pani Joanna. — My tyle mamy do niego zaufania, a jak Paweł słusznie zauważał, najlepiej wstrzymamy się, dopóki pan nie otworzysz na siebie kancelaryi.

— Bardzo jestem wdzięczny, zobaczę... tego... całuję rączki paniom dobrodziejkom... I owszem... gotów będę na ich rozkazy...

*

*

*

Trzeba było widzieć minę i ten wściekły, że się tak wyrażę, gniew pana koncepisty, gdy wybiegł jak oparzony z hotelu na ulicę. Wierzchnie palto, którego już nie miał czasu włożyć na rękawy, powiewało na plecach jak żagiel okrętu, a oczy mu świeciły niby dwa rozżarzone węgle, twarz płonęła i wargi dygotały z irytacji.

— A to ci psia... chytre Litwinki! A to ci panie wystrychnęły mnie na dudka!... A ten, ten... wymokły, hypokryta, ten literat, kochany Pawełek... popamięta mi tę sztukę... Wiem co zrobię! — szepce po chwili, stając na ulicy — poszukam Goldfelda, nabędę jego weksle i sprocesuję go,

ale to sprocesuję do ostatniej nitki... Zrobię mu skandal... że zje diabła, czy będzie mógł oczy na świat pokazać... Tak, tak, nawet weksle te mogą mieć fałszywy podpis — znam ja te sztuczki młodych paniczów... niezawodnie musi tam być jakiś fałszywy... Sprawa kryminalna i brud, panie kochany i skandal...

Na rynku, przed kościołem świętego Wojciecha, pośród gromady wekslarzy, odszukał prędko znajomego nam Goldfelda...

— Panie kupiec, proszę na słówko — rzecz, biorąc go pod rękę i usuwając się z nim na bok. — Masz pan weksle Pawełka przy sobie?

— Albo co?

— Chcę je uabyć od pana, płacę gotówką zaraz co do centa...

— Kiedy ich nie mam — odpowiada lichwiarz...

— Zastawiłeś, gdzie? — pójdziemy, wykupię...

— On mi dziś zapłacił wszystko...

— Nie może być! Zkądże on wziął tyle pieniędzy?...

— Te jego ciotkie stare dała mu pięć tysięcy rubli... *auf meine munes*... ja sam zmieniał te ruble... on bardzo rzetelne doktór, zapłacił...

— A szkoda, byłbym mu dopomógł...

— To pan adwokat nie wie, co on się żeni z tem paune Ludwika? A one to nie jest córke

tego handlarza od drzewa von Königsberg, ale obywatelka z Litwy, co one odbiera grojse sukcesy z Lemberg... On dziś jedzie z niemi do wód... Awa, jakie to ładne te panny Ludwikie, awa.

— Bądź zdrow, panie Goldfeld...

— Padam do nóg, pana adwokata, a niech pan pamięta od Goldfeld, jak będzie co wekslować... Ludwiki bardzo dobrze stoją... dziś hossa...

Okoliczność ta przypomniała Tadeuszowi jeszcze jedną stratę. Pomacawszy swoją kieszeń, w której było pudełeczko z prezentem, skrzył nagle do Floryańskiej ulicy i wpadł jak bomba do sklepu jubilera z wielkim krzykiem, że środkowa perła broszki jest pęknięta pod spodem... Jubiler obejrzał i nie mógł dojrzeć tej skazy, Tadeusz wymyślał żądając zwrotu pieniędzy, groził nawet, że wytoczy proces o oszustwo, lecz że pan jubiler nie należał do ludzi o zajęczem sercu, więc nie mogąc przekonać pana koncypienta o całości owej perły, grzecznie pokazał mu drzwi, któredy można wyjść ze sklepu.

Otóż i koniec historyi. Litwinki z Pawełkiem wyjechały tego samego dnia wieczornym pociągim i jeżeli tam w Krynicy nie pogniewają się o co młodzi narzeczeni, bo i to się zdarza czasami, to z powrotem niezawodnie się pobiorą

w Krakowie.. i wkrótce będziemy mieli nowy polityczny dziennik, bo od tego z pewnością pan Paweł nie odstąpi... Szczęść mu Boże!

Coś na trzeci dzień, znów los mi zdarzył napotkać pana Tadeusza na linii A. B. w rynku Krakowskim.

— Szanowny panie adwokacie — mówię, zaczepiając go — mogę panu nastreczyć kupno ślicznego fermoaru i to za bezcen...

— Dziękuję, bardzo dziękuję.

— Czy już pan kupiłeś?... a może... ślicznaż bo śliczna, ta Litwinka pańska.

— Powiem panu prawdę, chcieli mię złapać... ale ja ci panie nie w ciemię bity... Napisałem wprzód do Lwowa o ten spadek i pokazało się panie, że to interes... tak sobie... Wypadnie tam może na nią kilka, a w najlepszym razie, kilkanaście tysięcy... Więc, uważasz pan, w dzisiejszych czasach co to znaczy?... Wykręciłem się tedy jakoś...

— Słusznie, słusznie, żona to kosztowny mebel...

— A czasy ciężkie, adwokatów codzienn przybywa... stagnacya, wojna... interesów nic...

Pożegnałem więc zakłopotanego pana Tadeusza, który o ile mogłem wyczytać z jego

oczów, postanowił sobie wszystkie straty i zawody powetować na kosztach i honoraryach, jakie policzy Litwinkom za windykację spadku. Kwestya tylko, czy mu oddadzą tę sprawę? — Eh! oddadzą, oddadzą... Ludzie z takim baraniem sercem, jak Pawełek, nie potrafią nikomu dokuzyć, a tem bardziej mścić się nad odrzuconym rywalem...

K O N I E C.

NA ŚWIECIE

SZKICE SPOŁECZNE.

I.

Przyjazd do Warszawy.

Z okoliczności spotkania przed niedawnym czasem kolegi mego pana Tomasza, powstały nieśpisze szkice. Zaprosiwszy mię do Saskiego hotelu, dawny mój socyusz warszawski wśród narzekania na ciężar czasów a lekkość umysłową naszych synów, zapytał:

— Ciągłe słyszę, że zajmujesz się literaturą?

— Piszę w wolnych chwilach powiastki.

— Powiem ci, nawet chwałę; siostra mojej żony, nie młoda już ale bardzo wykształcona panna, mówiła mi, że wcale udatne. Ja widzisz bo nie mam czasu na czytanie. Od rana do nocy haruj tylko i haruj, dzieci sześcioro, a wszystko ogląda się na mnie — no i wystarczże tu z tej jednej wioski — kiedy tu czytać?

— No a w zimie przy długich wieczorach?...

— Jeszcze gorzej, bo jak moje panie zaczną coś czytać głośno, to ja ci panie przy trzecim wierszu już się kiwam... Głupia natura!...

— A chrapiesz może tak jak dawniej? Pamiętasz jak ja to co wieczór ustawiałem sobie przy łóżku całą baterię różnych przedmiotów...

— I rzucałeś na mnie, żeby obudzić — przerywa Tomcio — pamiętam rano dziwiłem się, znajdując koło siebie różne książki, lichtarze, szczotki, butelki. Otóż powiadają, że i teraz chrapie, i wypędzają mnie kobiety z pokoju, gdy się zaczyna czytanie... Ale cóż to ja chciałem powiedzieć... aha... oto żebyś opisał kiedy nasze kawalerskie dzieje... Nieźle to były czasy, pamiętasz tę Klimcię...

— Choćbym i opisał mój drogi, to cóż ci z tego przyjdzie, nie będziesz czytał...

— A, a, a... cóż znowu, tegobym miał nie czytać? Za cóż mnie masz... Co, śmiejesz się? Jak Pana Boga kocham, a to wielkie słowo, mówię ci będę czytał, tylko już w dzień, przed obiadem. I mojemu hultajowi każę niech czyta, niech wie, jakeśmy to biedowali za naszych czasów... Inny świat teraz, o inny... Znasz mojego Olesia?

— Nie znam.

— Przedstawię ci go, jest tu w uniwersytecie... Mój drogi, napisz tak jak było z nami, bardzo ci

będę wdzięczny, może to wpłynie na niego... Tylko nie nie wspominaj o długach, on i tak już umie podpisywać weksle. Mój Boże, za naszych czasów nie było tych weksli, a teraz to tyle różnych rzeczy nawymyślali, aby gubić młodzież, nie więcej, aby gubić...

I westchnął sobie pan Tomasz i otarł pot z czoła, rozwodząc się nad kosztowną edukacją dzieci w tych czasach.

Przyrzekłem mu napisać, a że wspomnienia tej epoki mogą prócz panu Tomaszowi, dopomódz i wielu innym czytelnikom do zaśnięcia, odważam się poświęcić niniejszą ramotę na tak chwalebny użytek publiczny, i zaczynam:

Jest temu lat... otóż nie powiem ile; postawiwszy albowiem trzydzieści mniej więcej, łaskawe czytelniczki gotoweby stracić całą illuzję do bohatera niniejszej powiastki, a wreszcie i do autora, którego on w opowiadaniu ma honor wyręczać. Więc lepiej zostańmy w niepewności owej daty, i pofatygujmy się z nim do Warszawy na ulicę Freta, sławną ze swoich *Fretówek*...

Widzę, ciekawość was bierze dowiedzieć się, co to są za Fretówki? W naiwności swej gotowicie mniemać, że to będą gruszki szczególniejszej dobroci, jak naprzykład sapieżanki, lub coś w tym rodzaju — a to przeciwnie bardzo milutkie, zgrabniutkie i wielce filuterne panienki, pracujące

w magazynach strojów damskich, które (ma się rozumieć magazynami) cała ulica Freta od końca do końca rzeczywiście jest obsadzona.

Każda porządna dama w Warszawie, a przypuszczam innych tam nie ma, pogniewałaby się na śmierć, gdyby ją kto posądził, że kapelusz, który z takim wdziękiem nosi na wierzchołku głowy, pochodzi z Freta ulicy, zaręczam nie ma takiej. A mimo to magazyny te od najdawniejszych czasów nie źle tam prosperują. Ktoś więc musi kupować — ale kto?... zapewne panie z prowincyi.

Otóż pięknego letniego poranku żydowska frachtowa bryka z Chmielnika, dowodzona przez Abramka handlującego jajami, dostawiła mię wraz z wielkim zielonym kufrem na tę ulicę, przy której w jednym ze starych domów na trzeciem piętrze *vulgo* na poddaszu, rezydował kolega mój szkolny i przyjaciel pan Tomasz Zebrzycki, od roku już zatwierdzony aplikant jednego z biur rządowych. Gorącym i serdecznym namowom tego pana, jak równie zapewnionej z góry protekcji w każdym liście, zawdzięczałem obecny przyjazd do stolicy dla zrobienia kariery.

Mając lat dziewiętnaście, patent z gimnazjum, srebrny medal za rozprawę w safianowem pudełku i okrągłe sto rubli kapitału, nie mogłem wątpić o owej karierze. Dodam jeszcze, że pani burmistrzowa z Chmielnika uważała mię za bar-

dzo przystojnego młodzieńca, co razem wzięte z dwoma nowiuteńkimi garniturami ubrania, które pan Judka artystycznie wykończył — dawało mi wiele animuszu.

Podówczas nie byliśmy jeszcze tak rachunkowi jak młodzież dzisiejsza; w elementarnej czy jak dziś w normalnej szkółce nie zaczynało nas uczyć od reguły trzech, nie myślano też wiele o wczesnem rozwijaniu umysłu, ale po staremu jedności pod jednościami, dziesiątki pod dziesiątkami i tak dalej kolumnami zaczynając od prawej ręki. A zatem jak mi kochana matka zaszyła w woreczku na piersiach owe sto rubli i zapłaciła furmankę do Warszawy, oddając pod opiekę Abramka, zdawało mi się, że ta suma na wieczne czasy wystarczy.

— Tylko też Władziu, bój się Boga oszczędzaj i nie rachuj, żebym ci co więcej dać mogła — powiedziała całując mię przy pożegnaniu, odprowadziwszy kawał drogi za miasteczko. — Ja biedna wdowa z tą szczupłą emeryturką mam jeszcze dwoje biedaków do wychowania. Pamiętaj o tem mój synu drogi, bądź uczciwy, pracuj i nie zapomnij nigdy o Bogu i o nas.

Szłała się pocziwie matczysko, szłała się i ja, powiewając chustką z bryczki dopóty, dopóki mogłem tylko dojrzeć popielatą berszową jej suknię, niknącą w oddaleniu.

Nie było więc co liczyć na dalszą pomoc z domu, a choćbym i chciał liczyć, to sumienie i ambicja na to by nie pozwoliły. Miałem tedy cały majątek i przyszłość na owej bryce i postanowiłem pchać się w świat o swojej sile... choćby na przebój.

Była ósma godzina rano, kiedym się razem z kufrem wywindował do pana Tomasza na trzecie piętro. Przywitaliśmy się jak nie można serdeczniej, a ja ledwie poznałem koleżkę, tak mi zmęśniał nabrawszy pańskiej powierzchowności.

Był to niskiego dość wzrostu, o rok odemnie starszy, krępy, śniadej cery i wyrazistych czarnych oczu młodzieniec. Zawsze wesoły, żartujący ze wszystkiego i ze wszystkich, miał jedną tylko słabą stronę, pozowania na człowieka zamożnego i pierwszej wody eleganta, choć fundusze jego nie przenosiły pięćdziesięciu złotych polskich miesięcznie, które mu brat starszy, ksiądz wikary, co pierwszego wysyłał. Skłonność ta do elegancji objawiała się już na ławie szkolnej, bo zawsze musiał mieć zgrabnie leżący mundurek, modną czapkę i bodaj pożyczany z grubą dewizką zegarek, który tygodniowo od innych kolegów wynajmował bułkami ze śniadania.

Gdyśmy się już dosyć nacieszyli sobą po rocznem niewidzeniu, mój Tomcio, któremu już nie

złe wąsietą pod nosem się sypały, od razu zwrócił uwagę na moje ubranie.

— Co ty masz na szyi? — spytał pociągając za koniec zielono - szafirowo - kraciastej chustki, grubo i szeroko otaczającej moją szyję.

— Chustkę z Krakowa — odpowiadam zawiązując napowrót dwie bufiaste kokardy.

— Czyś ty zwaryował wśród lata chodzić w takim krakowskim chomencie? Bój się Boga, myślałby kto, że cierpisz chroniczne zapalenie gardła.

— Ależ to najmodniejsze u nas; mama mi kupiła tę chustkę u Cyprysa na Stradomiu, kosztuje ośm złotych, patrz, czysto jedwabna...

— Odwiąż mi zaraz to szkaradzieństwo! — rzecze z imponującą miną. Patrz, takie się noszą teraz krawatki — pokazując wążutką na palec orzechowego koloru tasiemkę.

Zdjąłem chustkę nadzwyczaj zdziwiony, żeby to co nasz pan burmistrz tylko od święta używa, miało być w Warszawie niemodnem.

— A te spodnie tygrysie z czarnym lampasem — mówi dalej — coś to, jakieś czerkieskie hajdawery? A ta kamizelka z klapami na brzuchu *à la* Napoleon pierwszy? Człowieku, powiedz mi, zkadże ty przyjeżdżasz?

— Wszak ci mówiłem z Chmielnika...

— A niechże was kaczki podepczą z waszą chmielnicką modą!... Zlituj się, wyglądasz jak cu-

— dak jakiś, niby strach na wróble, coś, coś w rodzaju rzeźnika z Tarczyna...

— Eh — odpowiadam urażony — ty bo zawsze byłeś wymyślnym w ubraniu! Nie bój się, wstydu ci nie zrobię; mam ja tu w kufrze eleganckie dwa garnitury, — to co na mnie widzisz, to stare rzeczy, które wziąłem na drogę.

— Chyba — mówi niedbale, czerniąc pędzelkiem umaczanym w tuszu te niby swoje wąsy.

Odszukawszy klucza, otworzyłem kufer i pozwoli zacząłem wyjmować różne chmielniczne manatki, które do tego stopnia były zmięte i zapyłone, że wyglądały, jakby je kto przed chwilą z żydowskiego zastawu wykupił.

Tymczasem mój Tomasz ubierając swoją figurę, coraz więcej w moich oczach przemieniał się w prawdziwe straszysko. Bujną czuprynę kruczonych włosów, z przodu i z tyłu rozdzielił na dwie strony spotykające się na uszach, pod szyją przypiął ogromnej wysokości z zachodzącymi pod nos końcami kołnierzyk, który opasał owym wązkim strzępkiem nazwanym krawatką. Dalej szła otwarta zupełnie, żółta pikowa kamizelka z białym haftem po obu stronach gorsu, dalej niższe ubranie tak obcisło przylegało do nóg, że zdawało się, szwy boczne lada chwila pęknąć powinny — dalej lakierowane trzewiki ze sprzączką kształtu prosto-

kąta — wreszcie czarny, niezapinający się na pier, siach surducik z szerokimi jak u popa rękawami dopełniał ubrania.

Spojrzawszy na niego, gdy z poważną miną przeglądał się w lusterku stojącym na oknie, parsknąłem od śmiechu: wyglądał jak półdiabie weneckie, albo co najmniej konik polny umaczany w atramencie.

— Teraz pokażno swoje chmielnicke arcydzieła — rzeczy nie zważając na mój śmiech, ale z powagą nakrapiając pachnidłem klapy swojego surduta. — Co?... ta długa księża sutanna, to ma być tużurek? A niechże jego diabli wezmą, tego twójego krawca, jakże on ci to wszystko spaskudził!.. gdzież ten niedźwiedź widział i słyszał dawać w plecy podszewkę i to jakąś flanelową w czerwone paski! Rozbójnik, prosty rozbójnik! Weźno w rękę tę kapotę... ależ to waży przynajmniej dwadzieścia funtów...

— A to piaskowe, co to ma być?

— No paltot letni..

— A to żółto-pomarańczowe?

— To także paltot zimowy *kalifornija* — mówię już pokorniej...

— Bój się Boga straszliwego, zkądżeście wy taki kolor wytrzasnęli... Wiesz, to podobne... wiesz do czego... nie chcę ci wyraźnie mówić. Człowieku!

a zbierz że to wszystko czempredzej na jedną kupę i tak jak jest wyrzuć do śmietnika... W tem ani sposób pokazać się na ulicy, policya by cię zabrała na ratusz, uliczniki zrobiliby ruchawkę, jak Pana Boga kocham, formalny bunt z uciechy... tak, tak, wierzaj mi... No, no, gdzieście wy mogli odszukać taką *kaliforniję*?

Najformalniej osłupiałem na taką mowę Tomasz, pons wystąpił mi na twarz, a w oczach łzy się zakręciły. Przyznajcie sami czytelnicy, czy można tak od razu spaść z wysokości marzeń na taki padoł płaczu?! Ja, który ekwipując się w Chmielniku, umyślnie jeździłem z matką po kupno materyałów do Pińczowa, który po całych dniach przesiadywałem w warsztacie krawca Judki i dysponowałem nawet obrębianiem pętelek — ani wątpiłem, że nie znajdę takiego drugiego eleganta w Warszawie. Calutką nudną drogę uprzyjemniałem sobie tylko myślą, jak ja to wystąpię w tym nowym z błyszczącego sukna surducie, jak zamaszycie uwiążę kokardę z czarnej mantynowej chustki, jak włożę na ucho czarną aksamitną bufastą czapkę hiszpańską, taką samą jaką ma pan Kociubiński z Proszowic — a tu naraz powiadają mi, że to wszystko kwalifikuje się na śmiecie!

— Czegoż ci te łzy kapią z oczu mazgaju! — zawoła pół seryo, pół żartem mój Tomasz. — Brzydactwo i basta! — Posiedź w domu, jak będę

wracał z biura, przyprowadzę ci mojego krawca i zrobimy jakąś facyendę... Nie bój się, ja się znam na tem i nie dam oszukać...

Nie było co oponować, zresztą czegoż człowiek nie robi dla przyjaźni. Zostałem więc w domu, zawsze jednak nieprzekonany, żeby moja garderoba nie miała w sobie nic modnego.

Miałem dość czasu przed sobą, aby się rozejrzeć w mieszkaniu modnisia warszawskiego. Pokój był dość obszerny o trzech oknach umieszczonych w wystających na zewnątrz domu framugach, umeblowanie bardzo kawalerskie: rozkładające się łóżko, stół o trzech nogach, trzy krzesła każde innego koloru i stara z niedomykającymi się szufladami komoda bez zamków — oto całe umeblowanie. Pan Tomasz jakkolwiek na ulicy odgrywał rolę dandego, w mieszkaniu porozrzucił swoje manatki po wszystkich kątach. Stary flanelowy szlafrok pełnił obowiązki i szczotki do czyszczenia lakierów, w miarę bowiem potrzeby, maczał się jego brzeg w oliwie, którą smarowały się owe prostokątne chodaki — jak była potrzeba coś zetrzeć, druga poła przemieniała się w ścierkę, a wreszcie podczas zimna, służył na wzmocnienie kołdry na łóżku.

O ile mogłem zrewidować zapasy garderoby mego wybrednego kolegi, zdaje się, że prócz tego co na nim było, nie miał nic więcej. Prześcierało

służyło i za ręcznik, para kolorowych skarpetek, leżąca koło łóżka, miała tylko części górne, inna bielizna równie opłakane wykazywała mankamenta, koszule ograniczały się na całym gorsie i mankietach.

Widocznie od kilku dni pokój nie był zamiatany, miska do mycia i dzbanek na wodę stały pod piecem puste, a kulawy samowarek z tekturowym kominkiem taką miał od kipiącej kiedyś wody zapłakaną minę, że strach brał zaczepiać tego biedaka, proponując mu zagotowanie wody na herbatę. Na oknie za to stało kilka słoików z pomadą, szczotki i szczoteczki do włosów, kawałek pachnącego mydła, pęknięte kieszonkowe lustro, a na kłamce futryny wysychały zawieszane po praniu rękawiczki.

O pościeli nie ma co wspominać, bo na łóżku na pół wywleczona z poszewki poduszka, szczątki flanelowej pasiastej kołdry i różne inne przedmioty, widocznie przed chwilą staczały ze sobą bój o pierwszeństwo, które z nich może być na wierzchu.

Na komodzie w pudełku po cygarach było trochę tytoniu, kilkanaście rozrzuconych zapalek, dwie szklanki, miniaturowy lichtarzyk, a wśród nich rozwleczone kartki romansu Dumasa *Hrabia Monte Christo* i kilka marek z numerami krzeseł do teatru.

Czuając się już współwłaścicielem tego apartamentu, zabrałem się do zrobienia jakiegoś takiego porządku. Paczką piór zmiotłem pokój pakując śmiecie do pieca, kufer ustawiłem przy jednej ścianie, spędziłem pająki z okna, zrobiłem pokój na łóżku, i ukończywszy tę pracę, spróbowałem z okna przypatrzeć się Warszawie.

Niestety, z takiej wysokości mogłem tylko oglądać dach przeciwnieległego kościoła Dominikanów, a przy dość ryzykownem przechyleniu się za ramy, dojrzałem na trotuarze ruszające się tam i napowrót wierzchołki różnego rodzaju męskich i damskich kapeluszy. Rok cały, jakby o jakim Edenie marzyłem o tej stolicy, a tu na samym wstępie osadzono mię o głodzie i chłodzie w areście domowym. Pozostała jedyna pociecha obserwowania wesołych harców warszawskich wróbli, które na gżemsach dominikańskiego kościoła zupełnie tak samo jak w Chmielniku wyprawiały swe igrzyska.

Nareszcie po trzeciej z południa, niezwykle tłumienie się po schodach i macanie po drzwiach, zwiastowało mi arkę zbawienia. Cywilizowanie ubrany żyd krawiec, a za nim chłopak obciążony naręczem różnego koloru ubrania, pojawili się w pokoju.

— A co, widzę był Janiszewski? — pyta wbiegając za nimi Tomasz.

— Jaki Janiszewski ?

— Mój służący...

— Nie był nikt.

— A ktoś posprzątał w pokoju ?

— Ja — odrzekłem skromnie, gdy żyd krawiec zmierzył mię od stóp do głowy z bardzo litośnem spojrzeniem.

— Niezawodnie pije jeszcze... Nieszczęście z takim służącym!... No mój drogi, oto jest pan Weinsztejn, z Nowiniarskiej ulicy; wybierz sobie co uważasz... a spiesz się, bo czas na obiad... Z biura nie mogłem się wymknąć, dyrektor trzymał mię i nudził, czytając swój projekt organizacji miast prowincjonalnych...

Jeżeli kochany Tomcio obchodził się ze mną despotycznie, to właściciel modnego magazynu z Nowiniarskiej ulicy uważał mię po prostu za swojego manekina. Ja chciałem to, on mi włożył to, a wszystko było „*fein*, jak ulał“.

— Ależ ten surducik...

— Mówi się tużurek — przerywa Tomasz.

— Niech będzie tużurek... Pije mię pod pachami.

— Gdzie on pije? jak to on pije! — krzyknie żyd nademną. — Czem on ma pić, kiedy gęby nie ma... Te pany z prowincyi przyzwyczajone chodzić w workach...

— Oszalałeś! kiedy ja chodziłem w workach? — zawołałem oburzony.

— Dajno pokój Władziu! — przerywa z niechęcią Tomasz.

— Ny, a co to jest? — mówi krawiec podnosząc z krzesła mój dawny surducik. — A to co jest? — powtarza z pogardą unosząc do góry kamizelkę i rzucając to wszystko na podłogę — czy to nie worki?

— Pozwól, niech on ci dobierze — wtrąca Tomasz — on ma gust dobry.

— Kiedy ja temu panu dogodzę, co jest tak rzytny i grymasny panicz, to już każdemu dogodzę...

— Rękawy krótkie, patrz! — odzywam się podnosząc ręce do góry.

— Na co panu tak machać ręką nad głów, czy pan się będzie bił z kim czy co? z pod rękawów niech wglądają mankiety białe — dowodzi Weinsztein, ściskając mi z tyłu kamizelkę. — *Ganz git!* — mówi, obracając mną na wszystkie strony i klepiąc po plecach i rozkazując swemu chłopakowi, aby podziwiał. — Ny, niech Iniański lepiej zrobi, ja wszystek towar oddam za darmo... niech on panu lepiej zrobi...

Tomasz z seryozną miną znawcy przyglądał się temu wszystkiemu, obejrzał szycie, obejrzał wieszanie, spróbował materiału pociągając dłonią po suknie, i uznawszy, że nic dodać ani ująć, rozpoczął targi proponując zamianę. Artysta kra-

wiec przynajmniej sześć razy zdejmował ze mnie ubranie i wychodził do sieni, sześć razy wracał zaklinając się pod *chairem*, że moje rzeczy nie nie warte — mój Tomasz był niewzruszony jak skała. Skończyło się więc na tem, że pan Weinstein zabrał dwa moje nowiuteńkie garnitury, zabrał kalifornijskie palto, a za to wszystko dał letnie opięte ubranko, i jakiś kosmaty burnus podejrzaney nowości nazwany przez niego Raglanem. Było to coś niby peleryna od płaszcza, niby miało rękawy, a rzeczywiście tylko otwory na rękawy. Przy hiszpańskiej aksamitnej czapce uparłem się stanowczo — została więc, choć musiałem dopłacić gotówką jeszcze okrągłutkie czterdzieści złotych polskich.

— Okpił się żyd! — upewniał zacierając ręce mój Tomasz — uważałeś jak ja nie odstępowałem od swego. Pożyczę ci tymczasem swojej czapki i chodźmy na obiad.

Po drodze gdzieś w sklepie, osadzili mi na głowie wysoki błyszczący kapelusz, w drugim wpakowali na ręce ciasne rękawiczki, w trzecim dali cieniutką trzcinkę z kutasikami jako laskę, tak, że nim doszedłem do traktyerni „pod złotą gruszką“, wyglądałem na obraz i podobieństwo mojego kolegi Tomasza.

— Słuchajno Tomciu — mówię zdążając z nim — ja nie wytrzymam, tak mię wszystko ciśnie.

— Nie bądź dzieckiem... tużurek leży przepysznie.

— A ten kapelusz rozcina mi skórę na czole.

— O naiwności i prostocie z Chmielnika! — rzecze uśmiechając się litośnie mój Tomasz. — Z początku zawsze taki kapelusz dolega, ale niechno się skóra przyzwyczai, to już w czapce nie nachodzisz... będzie ci się zdawało, że masz szlafrok na głowie... Czegoż się tak gapisz — mówi dalej nie patrząc na mnie — nie rozglądaj się po sklepach, cóż tam zobaczysz ciekawego. No, iść razem ze mną, prosto, nie garbić się... A te ręce, te ręce trzymasz jak drągi jakie przed sobą! Nie machaj że tak lewicą... Śmiało, wywijaj swobodnie laseczką... ależ nie tak zamasyście, oczy ludziom powybijasz... Skaranie Boskie, jaki z ciebie „szlagon“ z prowincyi... — dokończył wchodząc na schody traktyerni.

Przy ulicy Rymarskiej istniała wtedy znajoma wszystkim aplikantom restauracya Laszkiewiczza pod „złotą gruszką“. W trzech czy czterech pokojach ciągnęły się stoły jeden za drugim, a wszystkie w godzinach obiadowych zajęte przez gwarną młodzież tak, że gdyśmy weszli, ani sposób było się przecisnąć, a tem bardziej znaleźć jakie miejsce przy stole. Zapach tytoniu mieszał się z zapachem kapusty i innych przypalanych sosów; gwar, krzyk, nawoływania usługujących

dziewczyn, brzęk talerzy, dzwonienia w szklankę — wtórowały przeraźliwemu skwierczeniu smażonych kotletów na patelni, które dolatywało z sąsiedniej kuchni.

Od czasu do czasu zjawiał się w zatłuszczonej kamizelce pulchniutki papa Laszkiewicz, i nakręciwszy z powagą grający zegar, odsuwał się na bok rozkoszując arya z *Makbeta*, która zagłuszała wszelkie krzyki obiadujących.

Wtedy, gdy hałas taki kompletnie mnie ogłuszył, mój Tomasz był tu jak u siebie; przeskakując po krzesłach, wciskając się między znajomych lub nieznajomych, znalazł sobie miejsce przy stole Wikci, a na mnie kiwał uporczywie, abym to samo uczynił.

— Wiktusiu! — zawoła do usługującej dziewczyny — weźno tam tego prowincyonala w opiekę; patrz, on tak otworzył usta, jakby cię chciał połknąć... Siadajże niedołego tu, tu... — mówi pokazując opuszczone miejsce naprzeciw siebie.

Obiad przeszedł jakoś bez wypadku, Wikcia należała do zgrabnych dziewczyn, bo mogła nieść na jednej ręce ułożonych piętrami dwanaście talerzy z różnemi potrawami, pamiętając, co kto zamówił. Talerze te, jakby kuglarz jaki rzucała swawolnym elegantom, którzy mieli znówu za obowiązek próbowania na niej swoich zdolności do wcipkowania.

Po leguminie Tomasz podał mi papierosa. Niestety mieć chciało, żem za śmiało wyciągnął po niego rękę ku drugiej stronie stołu — bo w tej chwili poczułem gwałtowny trzask za plecami, i połowa rękawa oddzieliła się od ramienia tużurka. Przestraszony sąsiad, jakiś podżyły sobie archiwista, odskoczył mierzając mnie dziwnem spojrzeniem, a ja zaczerwieniony jak wiśnia, przeprosiłem go bardzo uprzejmie, ale za co? — dalibóg do dziś dnia nie wiem.

Wypadek ten obydwóch nas niespodzianie zmartwił, ja o mało że się nie rozpłakałem, Tomasz znów odgrażał się, że wybije żyda za taką kompromitację.

— A nie mówiłem, że mię pije, nie wierzyliście...

— Bo i ty też szastasz temi rękami, jakbyś przy maszynie jakiej pracował.

Nie było co robić, musieliśmy wziąć dorożkę i jechać do krawca na Nowiniarską ulicę; lecz że to był piątek i sklep już zamknięty, więc z bólem serca trzeba było wrócić do domu i czekać zmiłowania Bożego.

— Ot pomieszały się nam szyki — mówi Tomasz — byłbym cię zaprowadził do teatru, zobaczyłbyś ogród Saski, a potem na herbatę do Józki; tymczasem... a niechże tego Weinszteina milion

kaczek podepcze... Jednakże posiedź tu trochę, może ja wytrzasnę jakiego krawca...

Jak wyszedł, tak zginął. Mija godzina, dwie, trzy, a Tomcio nie powraca. Zaczęła mnie niepokoić trochę ta długa nieobecność kolegi; co się kto ruszy na schodach, ja wybiegam i patrzę czy to nie on — tu już noc, świecy ani kawałka, nie wiem jak zejść, gdzie szukać sklepu, a tymczasem i głód dokucza i nudno liczyć tak godziny za godzinami jakby w więzieniu.

Dopiero coś koło jedenastej pokazał się mój Tomasz, niosąc w chustce od nosa kilka bułek: ćwierć funta cukru w papierku i łąt herbaty. Zabierałem się robić mu wymówki, które sobie już naprzód ułożyłem, ale kolega nie dał mi przyjść do słowa.

— Okropny miałem wypadek! — zawoła rzucając się na łóżko.

— Cóż takiego? — pytam przerażony.

— Wystaw sobie, już dochodziłem do sklepu znajomego krawca, gdy z bocznej ulicy słyszę krzyk: uciekaj, uciekaj! Ledwie zdążyłem obejrzeć się, a tu za mną rozjuszony wół... daję ci najświętsze słowo wprost na mnie... Wyrwał się z rzezalni, piana z krwią toczy mu się z pyska, a on tylko podwija łbem, nadstawia rogi i na mnie...

— Jezus Marya ! — krzyknę przestraszony, zapomniawszy o przygotowanej reprimendzie. — Cóż dalej ?

— Mówię ci, jak kopnę naprzód, jak zacznę uciekać, tom się dopiero oparł gdzieś o pół mili przy powąskowskiej rogatce.

— Dobrze masz nogi Tomaszu...

— Powiadam ci nie czułem ziemi... zdawało mi się, że lecę z wiatrami, a ta bestya goniła mnie wciąż, aż dopiero gdzieś na targowicy końskiej policyant zastrzelił wołu... i pokazało się, że był wściekły.

— Chwała Bogu — mówię ściskając go czule — żeś uniknął niebezpieczeństwa.

— Pojmujesz więc, że zapomniałem i o krawcu, i o tobie i o całym świecie... Nim się opamiętałem, nim zobaczyłem gdzie jestem, nim powróciłem z rogatek, bo to blisko mila drogi — zrobiła się już noc. Dopiero koło domu przypomniałem sobie, że ty tu biedaku siedzisz w kozie głodny i bez światła, więc kupiłem wszystkiego i zrobimy sobie bal... mam tu gdzieś trochę czerwonego wina... nastawimy samowar.

II.

Wyprawa po wodę.

Jakoś bardzo prędko zapomniał mój Tomasz o owem nieszczęściu z wołem, prędzej niż ja, który nie miałem powodu o rzeczywistości tego zdarzenia powątpiewać. Zdjąwszy swoją żakietkę i przybrawszy się w swój jeneralny szlafrok, kolega dowiódł kompletnej znajomości obchodzenia się z samowarem. W piecu znalazły się resztki jakieś węgla, tylne deski szuflad komody dostarczyły drewnienek na podpałkę, wydęte policzki zastąpiły mieszek i za chwilę żarzyły się węgle w otworze pieca.

— Podajno dzbanek z wodą! — krzyknie na mnie.

— Nie ma ani kropli — odpowiedziałem przechylając takowy.

— A niechże pioruny zatrząskają tego Janiszewskiego... nie przyniósł...

— Widziałem jest tu pompa na podwórzu, pójdę i naczepię — mówię zabierając się ku drzwiom.

— Na nic się nie zdało, tutejsza woda niezdatna na herbatę... w Warszawie dwie tylko są studnie, z których się woda taka sprowadza... Muszę tego pijaka odprawić... Proszę cię, za co ja jemu mam płacić rubla na miesiąc za usługę, kiedy on wcale nie przychodzi.

— Więc dajmy pokój tej herbacie...

— Ależ ja głodny jestem jak wilk...

— Prawda -- dodaję — zrobiłeś dwumilowy kurs... choć i ja z chęcią napiłbym się.

Przestał już dmuchać w piecu mój Tomasz, a widzę chodzi i chodzi po pokoju zamyślony.

— Już mamy wodę! — zawoła stając przedemną. — Uważałeś tam na drugim piętrze przy samych drzwiach od kuchni stoi beczka z nakryciem.

— Prawda, stoi.

— Otóż w tej beczce ci państwo, co tam mieszkają, trzymają wodę do samowaru... trzeba nam urządzić wyprawę, gotów jesteś?

— I owszem...

— Ba, ale to tak nie można iść i nabrać, służące w kuchni jeszcze pewnie nie śpią, mogą usłyszeć i nie byłoby to ładnie, gdyby nas urzędników zastały na takiej operacji.

— O cóż im tak idzie, o tę trochę wody? — przerywam zabierając się ku drzwiom ze dzbankiem... Cóż to grzech czy co, wziąć trochę wody.

— Mówiłem ci przecie, że taka woda tu się płaci; trzeba ją wozić w beczkach, znosić na drugie piętro, a te warszawskie kucharki to większe panie niż wasza burmistrzowa z Chmielnika... ta szczególnie z drugiego piętra, to sekutnica baba... Ale uważasz, na wszystko jest sposób: idziemy oba, ty będziesz hałasował stukając głośno butami po schodach, a ja tymczasem cichutko nabiorę dzbankiem i marsz na górę... Tylko pamiętaj szurać dobrze nogami, żeby nie dosłyszały pluskania wody...

Jak się rzekło, takeśmy zrobili. Dla odwrócenia pozorów zeszliśmy aż na pierwsze piętro, a ztamtąd postawszy chwilę — niby wracamy. Ja idę naprzód i nie żałuję nóg rozbijając się po schodach, a mój Tomcio ze zręcznością prestidigatora podnosi wieko beczki zanurzając dzbanek.

— Czy to, że hałasowałem za słabo, czy, że kucharka wartowała przy drzwiach kuchni, dość że ledwie mój Tomasz zdążywszy wyciągnąć dzbanek z beczki, zwrócił się z nim ku górnym schodom — otwierają się nagle drzwi kuchni i gruba kucharka trzymając w jednej ręce lichtarz ze świecą, a w drugiej potężną miotłę wypada do sieni. Ja, który byłem wyżej na schodach, drapnąłem do

góry, lecz Tomcio uciekając ze dzbankiem, przydeptuje sobie oberwany przód szlafroka — pada, tłucze dzbanek — woda leje się strugą, a rozindyczona megera dopada go miotłą na piątym stopniu...

— A nie bierz wody, kiedyś jej nie nosił!... a nie bierz... a nie bierz! — woła machając miotłą po plecach Tomcia, który nie mogąc wygramolić się na nogi, przytuliwszy głowę kołnierzem szlafroka znosi po bohatersku gniewną apostrofę...

Nie wiem, jakby się była skończyła ta przygoda, gdy na szczęście niezwykle ten rwetes wywołał z przeciwległych drzwi jakąś młodą kobietę, w białym kaftaniku, która zawołała przestraszona:

— Joanno! co to jest?

— Złapałam złodzieja na wodę, proszę pani — krzyczy zaczerwieniona kucharka, zatrzymując miotłę w powietrzu, co pozwoliło Tomaszowi rozplątać nogi i wygramolić się na czworakach do pierwszego skřętu.

— Któż to taki? — pyta owa dama.

— Ktoś z trzeciego piętra proszę pani — peroruje zwycięzka kucharka — ależ go poczęstowałam... i dzbanek stłukł...

— Wstydź się takie robić hałas o trochę wody...

— Dobrze pani tak mówić... Cóż to ja mam dla całego domu dźwigać konewki z Mostowej ulicy...

Nie mogłam dojrzeć twarzy... był tam ktoś drugi, jego szczęście, że uciekł... Ja już cały tydzień czatowałam przy drzwiach, bo to proszę pani nie pierwszy raz... No, alem nie żałowała!...

Gdym wrócił do siebie, już kolki od śmiechu tamowały mi oddech... Przewracałem się tylko po kufrze nie mogąc słowa przemówić, łzy płynęły mi z oczu, szczęki bolały od chichotania.

— Czegoż tak piejesz jak kura! — rzecze zkonfudowany Tomasz, wycierając prześcieradłem zapyloną garderobę.

A ja swoją drogą nie mogę słowa przemówić, i co sobie przypominę przeraźliwy świst miotły w powietrzu, i ten osobliwszy chrzęst brzeziny i biednego eleganta z wysokimi kołnierzykami — tak mię znowu porywają prawie konwulsye od śmiechu.

— Poczekajże sekutnico, jeżeli ja ci to daruję...

— Tomaszu... powiedz... bolało?...

— Daj mi pokój — syknie rozzłoszczony... — żeby ją siarczyste ogniste zatrzaśkały... Czaronica... ot poplamilem sobie ubranie na nic!

— A jakeś kapitalnie uszy położył po sobie, to jak zając przed chartami...

— Mój kochany, proszę cię przestań, jeżeli chcesz żebym się nie pogniewał... Zobacz-no z tyłu, zdaje mi się kamizelka pękła.

— I jak jeszcze!

— To tyś temu wszystkiemu winien — mówi do mnie z wyrzutem.

— Co, ja?

— Żeby ci się nie zachciewało herbaty...

— Zmiłuj się, ktoś proponował?

— A stukales jak baletnica w tańcu... nie dziwnego, że usłyszała czarownica... Poczekajże, dam ja ci, dam!... Janiszewskiego zaraz jutro wypędzę na cztery wiatry... Za co ja mam temu pijakowi płacić?

— Jakże będzie z tą herbatą? Patrz, węgle wygasły! — pytam po chwili.

— Idź do licha!

— Ależ ja głodny jestem...

— Jedz bułki, a daj mi czysty pokój!

Wziąłem się do owych bułek, zagryzając dla smaku kawałkami cukru, i to później nazywało się u nas piciem herbaty z *pyrdumką*, to jest z imaginacją. Powoli przeprosił się i pan Tomasz, a skonsumowawszy z apetytem pozostałe resztki, odezwał się do mnie:

— Spodziewam się, że nie wypaplasz tego przed nikim?

— Ma się rozumieć, za kogoż mię masz?... Ale powiedz mi, co to była za jedna ta ładna blondyneczka w tym białym kaftaniku?

— To Klimcia, sama pani.

— Ładna kobieta... bardzo ładna!

— A bo ja wiem, co ona za jedna... Klimcia i Klimcia, Bóg z nią, ot lepiej powiedz mi, czy ty umiesz szyć?

— I jak jeszcze!

— No, to mój złoty, musisz mi jutro rano naprawić kamizelkę; nie miałbym w czym iść do bióra, wszystkie moje rzeczy oddałem do krawca dla przerobienia...

— To tylko rozprute — mówię oglądając ranę — ja ci to tak ładnie zeszyję, że nie poznasz.

Pocieszywszy się tem zapewnieniem, kochany Tomcio wkrótce odzyskał zwyczajny swój humor, z którym urządziliśmy, przystawiając dwa krzesła, drugie na kufrze dla mnie posłanie, i legli po trudach dnia brzemiennej tyłu wypadkami.

Przyznacie czytelnicy, że w dość oryginalny sposób powitała mię Warszawa, a gdy dodam, że na kufrze przykrytym tylko resztkami szlafroka Tomasza, ciało moje zaczęło płaszczyć się, przybierając kształty rzeźby *bas relief* — krzesła się rozsuały grożąc to zapadnięciem głowy, to spuszczeniem nóg na powietrze, a przekonanie się, że całoroczne marzenia o przyjemnościach życia w Warszawie, o jakich opiewały listy Tomasza — wcale inaczej się zrealizowały. W końcu dodać

muszę, że chrapanie szanownego kolegi, ale to chrapanie na różne moźebne tony, jakie tylko wzburzone żywioły całej przyrody wydawać mogą, mimo wielkiego znużenia nie pozwoliły mi zasnąć ani na jedną sekundę.

Nazajutrz ten enigmatyczny Janiszewski, którego obiecywał wypędzić kolega ze służby, również się nie pokazał.

— Cóż będziemy robić? — pytam z zasmuconą miną rozkoszującego się w swoim łożu współlokatora...

— Bądź łaskaw, podajno mi pudełko z tytoniem — odpowiada, jakby nie widząc mojej smutnej miny — skręć sobie papierosa, na czczo to bardzo zdrowo.

— Ależ nie mamy kropli wody, ani dzbanka, czem się tu umyć?

— Głupstwo — odpowiada — weźno się tylko do tej reperacyi, a ja tu wszystko urządzę. Otwórz drzwi od sieni i krzyknij głośno: Piotr!

Wykonałem polecenie — za chwilę zjawił się stróż kamienicy.

— Piotrusiu, panie Piotrze, mój drogi, wyszukajno gdzie jakiego dzbanka, czy garnka i przynieś wody!

A widząc, że pan Piotr jakoś niechętnie skrobie się w głowę i nie mówiąc zabiera się do odwrotu, dodaje:

— Zaległą pensję zaraz odbierzesz. Władek, dajno mu tam rubla, ja ci oddam na pierwszego.

— Mnie się już za dwa miesiące należy — rzeczy odbierając pieniądze — i moja zakazała mi chodzić do pana, dopóki swego nie odbiorę...

-- Oho, chciałbyś aby ci naraz takie sumy wypłacać! Dziwna ta twoja kobieta! Cóż ona myśli, że ja mam swoją mennicę czy co? Idź no idź stary, tylko na jednej nodze, wypij za nasze zdrowie i przynieś wody...

— Czy to Janiszewski? — pytam.

— Ale gdzie tam, tamten kompletnie lokaj... Piotra odprawiłem, bo straszny niedźwiedź do usługi...

Jak się dowiedziałem później, to pan Tomasz już od miesiąca obywatel się bez służby, a ten Janiszewski to był podówczas dopiero w projekcie, jak również improwizowane jego pijaństwo.

Matka moja liczyła się do bardzo gospodarnych kobiet, bo zapakowała mi w kufrze kilkanaście igieł różnego kalibru i zapas różnokolorowych nici, których użyłem teraz do reperacji kamizelki Tomasza. A że prócz tego pokazały się uszkodzenia i innego jeszcze ubrania, przeto mój Tomasz zrzucawszy pychę z serca, zasiadł na drugim krześle pod oknem, i choć niezgrabnie bardzo wywijął igłą — to jednak krawiecczyzna szła nam dość gładko.

— Można wejść? — pyta jakiś porządnie ubrany jegomość uchylając drzwi z sieni, a nie czekając odpowiedzi naszej, wchodzi do pokoju.

Zmieszaliśmy się obadwaj odrzucając na bok reperujące się przedmioty, lecz mój Tomasz, jako człowiek światowy, choć w bardzo skromnym negliżu, szasta się z gracyą, podając przybyłemu pozostałe krzesło...

— Czego panowie przerywacie swoją robotę — rzecze z powagą przybyły — każda praca byle produkeyjna, jest zasługą wobec społeczeństwa.

— Muszę sąsiadowi przedstawić mojego socyusa i kolegę szkolnego. Pan Władysław Skurkowski... pan Kazimierz Kotkiewicz, nasz sąsiad z drugiego piętra...

Podaliśmy sobie ręce, a Tomcio zaproponował papierosa.

— Przychodzę z polecenia żony przeprosić panów.

— Za co? — pyta udając zdziwionego pan Tomasz.

— Za wczorajszy wypadek z kucharką — mówi uśmiechając się nieznacznie przybyły... Żona już jej wymówiła miejsce od pierwszego...

— To, to, to... stokrotnie ucałuję rączki szanownej pani — odzywa się kolega. — Ależ to Herod nie kobieta: proszę pana robić, tyle hałasów o trochę wody. Kolega mój przyjechał wczoraj

o sto mil prosto z Chmielnika, chciałem go poczęstować herbata... a tak i dzbanek lichu wzięło i takie historye. Fe, ordynaryjna baba... miotły, świece, krzyki... szczęściem, że udało mi się uciec...

— A tymczasem, ponieważ nie macie czem na-
stawić samowara, pozwolę sobie zaprosić panów
na śniadanie... Proszę, nie róbcie sobie subiekty
— rzeczy zabierając się do wyjścia — ja i moja
żona lubimy bardzo towarzystwo wesołej i praco-
jącej młodzieży — ubierzcie się więc prędko...
czekamy.

— Któż to taki? pytam po wyjściu pana Kazi-
mierza.

— Słyszałeś przecie, że sąsiad... urzędnik po-
dobno, ot znamy się tak spotykając na schodach.
Ma bardzo być porządny i wykształcony człowiek,
tak słyszałem... a ta blondynka, co to wyszła
z pokoju, to właśnie jego żona... Jakaś żywa i
poetyczna kobiecina... Uważałeś, jak się zgrabnie
wymówiłem hę?... Uciekłem i kwita!

Zrestaurowawszy jako tako i swój tużurek,
zeszliśmy niebawem do mieszkania państwa Kot-
kiewiczów.

— Władziu, śmiało! — szepcze mi kolega —
uważaj na mnie — nie gap się i nie rób mi
wstydu.

Zastaliśmy właśnie nasze państwo w jadal-
nym pokoju przy śniadaniu. Pani w eleganckiem

rannem ubraniu, w czepeczku na głowie, zwanym chłopka, przyznam, że zrobiła pięknoscią swoją ogromne na mnie wrażenie. Nim pan Kazimierz zdążył podnieść się z krzesła, aby nas przedstawić, pani Klementyna przybiegła ku drzwiom i podając rękę na powitanie, spojrzała na mnie uważniej, śmiejąc się do rozpuku.

— Pana już znam — mówi prędko do Tomasza — lubisz zaglądać przez okna do magazynów, gdzie pracują panienki; a pan co za jeden? — kończy znów oblewając mnie swoim badawczym spojrzeniem.

— Władysław Skórkowski — bąkam cały w płomieniach.

— Siadajże więc panie Władysławie — rzecz stawiając przedemną szklanekę z herbatą, a drugą podając Tomaszowi — powiedz z czem lubisz, ze śmietanką czy z cytryną?... Prawda Kaziu — mówi obracając się do męża — ładny chłopiec... Panie, jakże ci na imię?

— Tomasz — odpowiada kolega, do którego było zwrócone to pytanie.

— Powiedz pan, jakże podobala ci się energiczna Joanna, walcząca w obronie wody? Ależ panie Władysławie nie bierze się cukru palcami, uważaj, od tego są szczypczyki...

— Klimciu — przerywa mąż ze spojrzeniem znaczącem.

— Pan zapewne z prowincyi?

— Z Chmielnika — odpowiadam, to rumieniać się, to blednąć na przemiany.

— Pijże pan i nie ró b takiej przestraszzonej miny. Ładny chłopiec a taki nieśmiały... Prawda Kaziu?

— rzecze do męża — musimy go trochę okrzesać... Słuchaj Władziu...

— Klimeczko, ależ ten pan już nie dziecko — wtrąca niezadowolony małżonek.

— A ile pan masz lat?

— Dwudziesty — odpowiadam.

— No widzisz, czy nie dziecko jeszcze? Więc mówię ci panie Władysławie, musisz mię we wszystkim słuchać i nie obrażać się, co powiem. Czegoż się znowu rumienisz jak pensyonarka?... Gdzie to ten Chmielnik, czy to wieś?

— Sześć mil za Kielcami, miasteczko, proszę pani dobrodziejki.

— Pani dobrodziejko mówi się tylko starej matronie lub zakonnicy, a takiej jak ja tylko pani... Więc zgadzasz się pan na moją opiekę?

— Szczęśliwy będę...

— Ot tak, widzisz, nie źle powiedziałaś... A nie smarujże bułki tak grubo masłem... któż kraje takie grube kawały... Zjedz dziesięć krajanek, ale cieniutkich... Kto pański ojciec?

— Ojciec nie żyje.

— Ale czem był kiedy żył?

— Kasyerem miejskim.

— A matka, siostry, bracia co robią?

— Mama...

— Spodziewam się panie Władysławie, że już przestałeś być dzieckiem... Dorosły mężczyzna nie mówi mama, ale matka, trzeba na wszystko zwracać uwagę.

— Matka utrzymuje się z emerytury, mamy swój dom i grunta w mieście, dwie siostry jeszcze małe, uczą się w domu.

— I coś więcej masz do powiedzenia?

— Nic — odpowiadam naiwnie.

— A zatem... — rzecze jakby bez myśli piękna pani...

— Bij się w piersi i mów: „żałuję za grzechy“ — dorzuca popijając herbatę mój Tomasz.

— Och ja wiem, że pan masz wyprawny języczek! Przypadkiem słyszałam wczoraj rozprawę jego z tą szatynką z magazynu. Przypomnij pan sobie, tak o godzinie ósmej, odgrywałeś pan rolę bardzo zalotnego kawalera...

— Nie może być! — odważyłem się przerwać — o tym czasie właśnie wół...

— Jaki wół, gdzie znowu i kto? — pyta niezadowolona, że jej przerywam.

— Tomaszu... powiedz...

— Co za wół! — zawoła moja opiekunka... Ależ naiwny jesteś panie Władysławie ze swoim wołem...

— Pomieszało mu się w głowie — wtrąca z najzimniejszą krwią Tomasz — opowiadałem mu wczoraj o pewnym wypadku z wołem.

— To nieładnie jest tak przerywać kobietom rozmowę — rzeczy z powagą pani Klementyna — w towarzystwie jest taki zwyczaj, że jak jedna osoba skończy, druga może zaczynać mówić, ale w żadnym razie nie o innym przedmiocie... Co tu ma wół do panny z magazynu: proszę pamiętać o tem.

Skonfundowany umilkłem, pochlaniając prawie resztki herbaty, a Tomasz hultaj uśmiechał się złośliwie, spoglądając na mnie z ukosa.

— Pocóżes tu pan przyjechał? — pyta dalej gospodyni, zajadając z apetytem sucharki.

— Ma zamiar wejść na aplikację do biura — odpowiada za mnie kolega.

— Słuchaj Kaziu, rzeczy obracając się do męża — trzeba mu dopomódz — musisz go zaprotegować do naszego prezesa... a jak nie, to ja sama pójdę...

— Klimciu... cóż tak nagle, już sama chcesz iść...

— Mój Boże, jaki ty jesteś powolny Kazieczku! Wiedz panie Władysławie, że mój mąż jest anielskiej dobroci człowiek, uczony, mądry, miły, kochający, ale powolny... jak ślimak...

— Dobrze, dobrze, poinformuję się czy można — mówi mąż wstając od stołu i całując w rękę panią Klementynę — a tymczasem na mnie czas.

— I na mnie! — powtarza robiąc toż samo pan Tomasz.

— Możecie iść... — mówi niedbale gospodyni — pan Władysław pójdzie ze mną do miasta... Nie całuj dam w rękę po studencku, dosyć się ukłonić. Spójrzyno Kaziu, jak on dziwacznie i kuso ubrany, prawda?

— Według ostatniej mody — wtrąca obrażony nieco kolega.

— Tak, tak, ale pańskiej. Daruj, być może jesteś bardzo miłym i dowcipnym chłopcem, ale uważałam, ubierasz się po cudacku... Nie dąsaj się pan, ja każdemu lubię prawdę mówić w oczy. Zobacz ubranie mojego Kazia, co, nie szykowne? a trzeba wiedzieć, że to z mojego wyboru... No idźcież sobie do tego biura, czegoż stoicie.

— Władysławie, a trafisz na obiad? — pyta już we drzwiach pan Tomasz — zapamiętaj sobie pod gruszką o trzeciej punkt.

Zapewniłem, że trafię, a tymczasem pani Klementyna kazała mi zaczekać w pokoju, nim się ubierze. Zostawszy sam, westchnąłem jak człowiek, któremu zdejmą jakiś ciężar z piersi. W żaden sposób nie mogłem się zorientować, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Widywałem dotąd różne

kobiety i stare i młode, i wesołe i poważne, ale ta robiła na mnie szczególniejsze wrażenie: ogłuszyła mnie czy oczarowała, dalibóg nie wiem — straciłem świadomość siebie, zapomniałem myśli — stałem się automatem.

Ubrana do wyjścia na ulicę, niespodziana ochmistrzyni moja jeszcze piękniejszą mi się wydała. Jej duże niebieskie oczy miały coś dziwnie przeszywającego. Twarz regularnie owalna, nosek kształtny, nieco zadarty do góry, cera przejrzystej białości, włosy jasne, żółtawo-ciepłego koloru, nie dbale w gęste loczki spadające na czoło — wszystko to stanowiło bardzo wdzięczną całość. Dodawszy jeszcze figurkę zgrabną, piękny biust, strój gustowny, żywe i swobodne ruchy, a będziecie mieli wyobrażenie światowej warszawskiej kobiety, która wiedziała o tem, że jest piękną i która lubiła, aby wszyscy o tem również wiedzieli.

— Umiesz pan prowadzić damę pod rękę? — zapytuje wbiegając z drugiego pokoju i naciągając rękawiczki. — Proszę cię, potrzymaj mi parasolkę... Mówże coś, panie Władysławie, na miłość Boską rozruszaj się... No, umiesz czy nie umiesz, prowadziłeś kiedy pod rękę jaką damę?

— Nie prowadziłem...

— To pójdzże z tej strony, tu na lewo, zegnij tak prawą rękę do połowy... dobrze..., przejdźmy po pokoju parę razy. Nie rób tak wielkich kroków,

nie kołysz się... głowa do góry! — woła pani Klementyna musztrując mię jak rekruta. — Oj dziecko, dziecko naiwne! Popatrz się w lustro, jak ty wyglądasz — jak piwonia!...

Niepodobna mi opisywać szczegółów tej pierwszej wycieczki mojej na ulicę z piękną kobietą. Myśl o zakochaniu się w niej, a tem bardziej że to była mężatka, ani powstała mi w głowie. Czytałem ja już dotąd wiele romansów, wiedziałem, że bywają tego rodzaju jakieś uczucia między młodemi osobami, czasami nawet marzyłem o jakiejś bogdance, ale serce jeszcze spało w najlepsze. Pamiętam niekiedy czternastoletnia Jadwina, córka burmistrza z Chmielnika, w bronzowej pensyonarskiej sukience, stawała mi przed oczyma, gdy nie mogąc zasnąć, puszczał swobodne wodze myśleniu. Ale zobaczywszy ją na jawie z małemi jak tarki a do tego wklęsłemi oczyma, z gruszkowatym nosem, figurą pękatą i czerwonemi jak raki rękoma — illuzya znikła i przestawałem myśleć o miłości.

Później rok cały zaprzątnięty był umysł mój podróżą do Warszawy i przyjemnościami życia w stolicy. W takim miasteczku jak Chmielnik książka podówczas była rzadkością, mogłem więc delektować się tylko historią powszechną, której trzy tomy pozostało po ojcu, a z której marzenia moje sięgały takich postaci jak Aleksander Ma-

cedoński, Annibal, Cezar, lub wreszcie jak Newton lub Galileusz. Na prowincyi dojrzewamy później, a romansowy bohater ustępuje tam miejsca bohaterowi ludzkości — sięgamy do szczytów!

Jednak nie mogę zaprzeczyć, że to zainteresowanie się mną przez modną damę, nadzwyczaj łechtało ambicję. Prowadząc ją pod rękę, nie mogłem odżalować, że to nie dzieje się w Chmielniku: nasz sekretarz, jedyny Lowelas salonowy, umarłby ze zmartwienia, zobaczywszy, jakiego używam tu powodzenia.

Tymczasem pani Klementyna prowadziła mię z ulicy na ulicę, zatrzymywała się co chwila witając znajomych, i uważałem, nie robiła sobie z nimi więcej subiekty niż ze mną.

— Kochana pani — mówiła ze zwykłą żywością do jednej — patrz jakiegom fijołka odszukała w trawie? Prawda, Apollo? Tylko okropnie surowy!

Chodziliśmy po sklepach, targowali się do upadłego przy kupnie sprawunków, któremi znów obładowywała mię pani Klementyna.

— Umiesz pan robić papierosy? — spytała nagle, dając do dźwigania sporą paczkę tytoniu.

— Umiem, odpowiadam śmiało.

— No, dobrze, że coś umiesz, będziesz mi pan pomagał, Kazio mnóstwo tego wypala, a i znajomi nasi biorą odemnie, daleko ich taniej ko-

sztuje. Bo widzisz panie Władysławie, ja jestem praktyczna kobieta, umiem wszystko; moje konfitury sławne są na całą Warszawę, jak będziesz u mnie w niedzielę na wieczorze, dam ci spróbować...

Otóż w tak oryginalny sposób świat warszawski otworzył mi swoje wrota! W kilka dni zostałem własnością pani Klementyny, która mustrowała mię wprawdzie z niezmordowaną wytrwałością, ale kazała być milczącą ofiarą wszystkich ekscentrycznych zachceń i kaprysów. Mimo chłodu serca i zręcznie ukrywanej interesowności tej pani, posiadała ona ten szczególniejszy dar energicznego opanowania swojej ofiary. Śmiała, natarczywa, a do tego kobieta, potrafiła wyzyskać tę przewagę wprzód, nim napadnięty mógł się zorientować, przywołując na pomoc cywilną odwagę. Nie dało się groźbą, pani Klementyna umiała rzucaniem grubych komplementów oddziaływać na opór — gotowa do wszelkich usług przyjacielskich, rozbrajała najwięcej sobie niechętnych — jednem słowem, była to postać kobiety oryginalnej, dziwacznej, ale uczciwej, której wiele zarzucano, a jednak chętnie przyjmowano w salonach... Przyznacie, że trafiłem jako nowicysz na dobrą szkołę.

III.

Zostaję aplikantem.

Po odbytej naradzie z Tomaszem, który jakoś coraz mniej wspominał o swoim znaczeniu i wpływach protekcyjnych, zdecydowanem było, że mam wejść na aplikację do bióra, w którym urzęduje pan Kazimierz.

— Trafisz na dobry humor prezesa — uprzedza mię nasz sąsiad — możesz być pewnym karyery. Nasz prezes ma ogromny wpływ w rządzie, ale nadzwyczaj ekscentryczny i dziwak.

Widocznie przeznaczonem mi było iść na ofiarę tego rodzaju ludzi nadzwyczajnych i wyobrażałem sobie, że jestem wysmukłą topolą, stojącą na wzgórzu, na której lada wiaterek próbuje swoich harców.

Kazano mi zrobić podanie i przy dołączeniu dowodów kwalifikacyjnych, złożyć próbę pisma.

Oto nowa bieda, co tu napisać na tę próbę? Siedzę już godzinę przy stoliku mając przed sobą

librę welinowego papieru, a nie mogę znaleźć sensu. Dewiza „próba pióra, kałamarza, atramentu i pisarza“, którą zawsze wypisywał nieboszczyk ojciec po zrobieniu nowego atramentu — wydała mi się za krótką. Ksiądz dziekan z Chmielnika, przy takiej samej operacyi, lub próbowaniu piór zatemperowanych przez nauczyciela szkoły, pisywał:

Najświętsza Panienko formuj moją rękę,
Bym godnie mógł opisać Syna Twego mękę.

Lecz i to wydało mi się dla świeckiej władzy niewłaściwem. Dla tego skoczyłem na szyję Tomaszowi, gdy podając mi jakieś dzieło Henryka Rzewuskiego, radził wypisać jeden filozoficzny ustęp. Trudność rozwiązana! Pamiętam, było tam wyrażenie coś w tym rodzaju: „Pisarz, który umie wybrać myśli starożytnych filozofów i zużytkować takowe“ i t. d.

Trzeba nieszczęścia prawdziwego, że w książce skutkiem prostej pomyłki drukarskiej, zamiast słowa *wybrać* stało *wyprać*, a choć to z początku wydało mi się jakoś dziwnem, to mając podówczas niewzruszoną wiarę we wszystko co drukowane, w przepisywaniu zamieściłem: *wyprać*.

Zadowolony zupełnie z kaligraficznego arcydzieła, nazajutrz o ósmej godzinie znalazłem się wraz z panem Kazimierzem w sali przylegającej do gabinetu prezesa.

— Panie Wincenty — szepcze mój protektor kłaniając się uprzejmie woźnemu faworytowi — ten pan chce podać prośbę o przyjęcie na aplikację... jakże dziś prezes?

— Nie źle — odpowiada cichym głosem pękaty woźny, przystrojony w galonowany mundur, a głaszcząc sobie z powagą rudo-czerwone faworyty, mierzył moją biedną figurę bardzo protekcyjnalnem spojrzeniem.

— Stań pan tu na boku — rzecze biorąc mnie bez ceremonii za ręce i ustawiając jak rekruta do miary, przy szafie. Jak tylko wyjdzie radca Las-kowski, ja pana zamelduję. A wiesz pan jak się mówi do naszego prezesa?

— Nie wiem.

— Jasnie wielmożny tajny radco... I trzeba go w ręce pocałować, on to bardzo lubi... a odpowiadać śmiało...

Wspomniany radca niedługo wyszedł z gabinetu, a mój woźny jak wąż cichutko wśliznął się tam, uchylając drzwi do połowy. Mnie serce biło jak młotem, czerwoność twarzy paliła i nie zaręczam czy włosy nie stały dębem. „Podaj go tu!“ — dosłyszałem gruby głos, a za chwilę powrócił woźny, dając mi znak, aby wejść do gabinetu.

Niedaleko odedrzwi, w małym zabrudzonym pokoju, siedział za biurkiem, tyłem do okna, nie-

wielkiego wzrostu, lecz dobrej tuszy mężczyzna. Włosy siwe, twarz pospolita niemieckiego zakroju, oczy zasłonięte wielkimi ciemnego koloru okularami, dolna warga odęta, a przytem jakiś flanelowy dobrze zatłuszczony szlafrok — na pierwszy rzut oka nie mogły nadać mu tej dygnitarzkiej powagi, przed którą zwyczajny śmiertelnik tylko czołem uderzyć powinien.

— Z jednej i drugiej strony biurka spoczywały na dywaniku dwa opasione pieski pokojowe i nieustannie cmokając nosami, trzepały się zawzięcie łapami po uszach.

— Coś ty za jeden? — pyta mię nosowym głosem, nie spojrzawszy w tę stronę.

Powiedziałem mu moje imię i nazwisko.

— Drągał jesteś... co mię obchodzi czyś ty Gaweł czy Paweł zakończony na *ski*, pytam, co robisz?

— Dotąd nic.

— Więc jesteś próżniak! — bąknął biorąc pióro do ręki.

— Skończyłem gimnazjum w Pinczowie — odzywam się kładąc dokumenta moje na biurku.

— A ojciec kto twój?

— Ojciec nie żyje, był kasyerem magistratu w Chmielniku.

— Rasowy łapownik — mówił jakby do siebie — i ty takim będziesz, jabłko nie daleko leci od jabłoni!

Milczałem połknąwszy zniewagę, choć nie mogłem się powstrzymać, aby iza nie nadbiegła mi do oka. Prezes udawał zajętego, rozczytując się w jakichś papierach i ani myślał zajrzeć do moich.

— I czegoż ty chcesz? — pyta po chwili podnosząc na mnie swe ciemne okulary.

— Prosić jaśnie wielmożnego tajnego radcy o przyjęcie mię na aplikację do swego biura.

— A cóż ty sobie myślisz — zawołał jakby obrażony — że u mnie jest zbiorowisko śmieci z całego królestwa?

I wypowiedziawszy to z powagą, wziął się do przeglądania swoich papierów.

Minutę może stałem milczący i zelektryzowany taką odpowiedzią, gdy woźny zameldował jakiegoś urzędnika.

— Dawaj go! — bąknął prezes i gdy wszedł wystrojony w haftowanym mundurze niemłody już mężczyzna, całując z afektem zatłuszczony rękaw szlafroka prezesa, uważałem, iż audyencya moja skończona i cichutko wysunąłem się przez otwarte drzwi do pierwszego pokoju.

Zdziwiła mię niezmiernie ta uniżoność zahafowanego pana, bo to miał i niebieską wstążeczkę,

i jakiś krzyżyk na piersiach, i dopiero wtedy pojąłem ogromne znaczenie tego gburowatego prezesa w zatłuszczonym szlafroku.

— No i cóż? — spytał uśmiechając się złośliwie woźny.

— Nic — odpowiadam jak człowiek, który szczęśliwie uniknął pogoni i jeszcze tchu złapać nie może. — Pan tajny radca nie czytał papierów... i nie wiem...

— Ha i ja nie wiem — rzecze wzruszając dyplomatycznie ramionami pan Wincenty.

— Proszę pana, powiedz mi, czy mam czekać?

— Hm — mruczy znacząco — ja nie mogę radzić ani odradzać...

— Czy wyjdzie tu jeszcze pan prezes?

— Wyjdzie koło dwunastej, bo dziś jedzie na Radę...

Więc poczekam — myślę sobie stanąwszy koło owej szafy z papierami. Woźny nie oponował, a ja stałem nie śmiejąc zmienić pozycyi. Przed oczami miałem ogonki od akt biurowych, na które patrząc całe cztery godziny, zapamiętałem do dziś dnia ich napisy: „Akta transportowe miasta Turek“ na jednym, a „Rachunki magazynu solnego Modrzejów“ na drugim.

Do gabinetu wchodzili i wychodzili rozmaici urzędnicy i osoby prywatne we frakach, słyszałem

przez drzwi to grube żarty prezesa w rodzaju tych, jakimi mnie przywitał, to wymyślania na przedstawiających papiery referentów. Nogi zaczęły mi drętwieć z tak długiego stania, radziłem sobie też podobnie jak konie przestępując z nogi na nogę; każdy kwadraus oddzwoniony na zegarze w gabinecie wydał mi się godziną — a godzina przynajmniej dniem.

Wychodząc z sąsiedniej sali, urzędnik jakiś zostawił drzwi otwarte, a z nich uderzył mnie widok szczególniejszego rodzaju. Na wielkim stole wprost drzwi dwóch urzędników formalnie leżało na wielkich księgach w postawie, w jakiej nas często przy egzekucyi szkolnej układano. Twarzy naturalnie nie mogłem dojrzeć, lecz za to dwie pary podeszew od butów, które po za szerokość stołu naprzód wystawały, zaciekały mnie niezmiernie.

— Panie Wincenty — pytam przybliżając się na palcach do drzemiącego woźnego — co znaczą te dwie pary podeszew?

— To buchaltery! — odrzekł z powagą.

Nie uczono nas podówczas buchalteryi w szkołach, zatem nie mogłem zrozumieć, co nazwa ta ma oznaczać.

— Czegoż oni tak leżą? — zagaduję woźnego.

— O, mój Panie, strasznie jesteś ciekawy — odpowiada mi opryskliwie. Lecz po chwili litując

się widać nad mojem prostactwem, dodaje: — W najwyższej władzy rachunkowej jak nasza, muszą być największe księgi, tak pan prezes kazał zrobić... więc dostańże pan siedzący do pierwszego wiersza?... To panie jest wymysł naszego prezesa i nazywa się buchalterya dubeltowa.

Słyszałem coś o dubeltowem piwie, to prawda, lecz o dubeltowej jakiejś buchalteryi nie miałem pojęcia, zamilkłem tedy, przyjmując to objaśnienie do wiadomości.

Nareszcie o dwunastej pokazał się mój prezes ubrany już we frak mundurowy i w czapce na głowie z potężnym daszkiem. W jednej ręce trzymając tabakierkę, a w drugiej czerwoną kraciastą chustkę, którą odpędzał zgrałę psów, cisnącą się za nim przez drzwi gabinetu, przeszedł ani spojrząwszy na mnie, a dopiero z sieni kazał Wincentemu, abym szedł za nim.

Na pierwszym piętrze zatrzymał się w wielkiej kancelaryjnej sali, gdzie cały zastęp młodych kancelistów stał frontem każdy przy swoim stoliku

— Laskowski! — krzyknął głośno.

Z bocznego pokoju wybiegł na to jak strzała chudy, wysoki, cienki i zgięty we troje niemłody już urzędnik w okularach.

— Dać temu szpicowi stoliczek!

Pan Laskowski uklonił się bardzo nisko, składając dłonie swe w pierniczek.

— To są jego szpargały — mówił dalej wyjmując z bocznej kieszeni fraka moje świadectwa. — Patrz... nie źle bazgrze... Co to znaczy *wyprać* myśli? — pyta rzuciwszy okiem na moją próbę pisania i obracając się ku mnie.

— Nie wiem — odpowiadam drżący.

— Widać, że mało cię bili w szkołach, kiedy nie wiesz co piszesz; żeby ci byli skórę prali, to byś nie prał myśli.

— Przepisałem ten ustęp z dzieł hr. Rzewuskiego...

— On taki mądry jak i ty, choć hrabia, w szlafroku chodzi i książki pisze... Nie lubię takiej szosy na głowie — kończy pokazując mi palcem na rozdział włosów.

Zawrócił się ku drzwiom, wyszedł — i przyjęcie skończone.

Wszyscy nowi koledzy moi spojrzeli na mnie z ciekawością i nim mogłem się zorientować gdzie jestem, już woźny wniósł stół zielonem suknem obciągnięty, postawił na nim jakiś w drzewo oprawny ekritoar, nasypał piasku i oddał mi klucz od szufladki.

Zauważyłem, że pan dyrektor kancelaryi i woźny i inny jeszcze przełożony nad kancelaryą urzędnik, obchodzili się ze mną bardzo uprzejmie, a gdy pan Kazimierz wychodząc z biura wstąpił po mnie, winszował mi pozyskania łask prezesa.

— Już się o pana nie boję! — rzekł ściskając mi rękę — karierę masz zapewnioną.

Doprawdy, zdumiony byłem słysząc to wszystko. Czyż tego rodzaju przyjęcie, jakiego od prezesa doświadczyłem, ma być łaską i faworem? — A cóżby to było, gdybym miał być w niełasce?... Szczególniejsi ci ludzie w Warszawie!...

Pan dyrektor kancelaryi zwrócił jeszcze moją uwagę co do owego rozdziału włosów na głowie i dodał, żebym nie nosił błyszczącego kapelusza, bo fanfaronady prezes nie lubi...

Zostałem tedy aplikantem, a napisawszy sążnisty list do matki, nabrałem otuchy na przyszłość, pewny będąc, że jestem już dość ważną osobą na świecie.

IV.

Kryzys finansowa.

— Kup sobie biletów na obiad — ostrzegał Tomcio widząc, że ja ze swojej kasy czerpię jakby ze skarbnicy jakiej.

— Mam do pierwszego...

— To mało bracie... kup na drugi miesiąc. W życiu aplikaukiem obiady przedewszystkiem, a ty widzę zaawanturowałeś się w znajomości z panią Klementyną i odgrywasz rolę adoratora... Takie rzeczy mój kochany kosztują... Na diabła ci się zdały nadskakiwania... zobaczysz wystrychnie cię na dudka, to baba frant!

Uśmiechnąłem się tylko z politowaniem na takie ostrzeżenia kolegi, bo widziałem, że tu wyszczególnienie przez Klimcię mojej osoby daje powód do zazdrości.

Tymczasem wizyty moje w salonie państwa Kotkiewiczów stawały się coraz częstszymi. Panią

już znamy cokolwiek, a o panu to tylko powiedzieć mogę, że była to chodząca powaga połączona z przekorą. Zajęty studyowaniem ekonomii politycznej, człowiek ten tworzył wysokie teorye o pracy ludzkości i uważał za ujmę swej godności mieszać się do ekscentrycznych postępowań żony. Przypuszczam, że ją kochał, że był przekonany o jej wzajemności, lecz wobec, że tak powiem, kozackiego usposobienia Klimci, na ustach miał tylko opozycję połączoną z niewzruszoną powagą.

Nieraz byłem świadkiem gwałtownych scen między niemi, szczególnie gdy chodziło o zanadto swobodne postępowanie jej z młodzieżą. Pani Klementyna była gwałtowną i przy najmniejszej okazji wypowiadała mu publicznie wszystkie jego słabe strony.

— Mój kochany, cóż miałeś kiedyś się żenił ze mną? No powiedz, nie sprawiłam ci fraka do ślubu?... Moralizować to umiesz, siedzisz po uszy w ekonomii politycznej, a to wszystko na co ci się zdało? Ja ekonomię polityczną rozumiem: mieć co...

— Klimciu, jesteś niegrzeczną, proszę cię uważaj, mówisz przy obcych.

— Czego mam się żenować, kiedy prawda?... Panie Władysławie, mówię ci — rzeczy z gwałtowną gestykulacją — Kazio mój jest zacności człowiek, najmądrzejszy, najlepszy, dowód, że go

wybrałam choć nie nie miał... ale niepraktyczny. Z tymi funduszami jakie posiadamy spróbuj, rządz, czy będziesz miał takie wygody? Masz klucze — dodaje wyjmując pęk takowych i podając mężowi — weźno, weź i rządz ekonomicznie... a przysięgam, jutro nie będziemy mieli obiadu.

— Ależ Klimciu, ja nie zaprzeczam twoim talentom... Wiem, że jesteś kobietą najpraktyczniejszą w świecie, jednak na wczorajszym wieczorze...

— Cóż wielkiego, żem tak odszczególniła Stasia? Bo jestem otwarta, ładny chłopiec i wyborny tancerz. Ja i pana Władysława lubię, a cóż z tego?...

Pan Kazimierz machnął ręką z flegmą i zabrał się do wyjścia z pokoju.

— Za pozwoleniem, nie uciekaj — krzyknie przytrzymując go za rękaw — powiedz, jesteś zazdrośny?

— Alboż ja wiem czy ja jestem czy nie jestem — odpowiada z desperacją. — Bo gdybym chciał być zazdrośny, już dawno by mię лихо wzięło z irytacji...

— Dziwaku jakiś! — zawoła rzucając mu się na szyję — chcesz być zazdrośnym, ale nie umiesz... a ja ci powiadam, że właśnie życzę sobie, aby w twoich ekonomicznych piersiach obudziło się to uczucie. Myślisz, że dla kobiety młodej i nie brzydkiej, przyjemną jest ta obojętna flegma mężow-

ska... Mówię ci otwarcie, Kaziu, wołałabym żebyś mnie maltretował, bo wiedziałabym, że mię kochasz... A tak mówiąc na zimno kazanie jak ty robisz, przyprowadzasz mię do passyi. Jestem taką jaką jestem, nie umiem być fałszywą i inną nie będę.

Później, gdy dali sobie słowo unikania głosnych sprzeczek, zaprowadzoną została księga zażaleń, w którą każde z małżonków zapisywało swoje uwagi i spostrzeżenia o postępowaniu drugiego. Pocieszną też było rzeczą widzieć, jak w niedzielę podczas tygodniowych przyjęć, które się w ten dzień odbywały, to pan, to pani wybiegali co chwila do drugiego pokoju i za świeża wpisywali zarzuty. Kiedy akcja szła żywiej i pani dostrzegła, że Kazio coś tam za długo pisze w dzienniku, porzucała towarzystwo w salonie i nie dawszy skończyć pisania mężowi, wyrывała mu książkę, wołając na cały głos:

— Kłamstwo, wierutne kłamstwo! czekaj, ja ci zaraz odpiszę.

W niedzielę, jak powiedziałem, były tygodniowe przyjęcia u pani Klementyny; mówię u pani, bo mąż zostawał zawsze na drugim miejscu. Mając pretensyę do wszystkiego, co wyskakuje choć odrobinę wyżej nad poziom zwyczajności, pani Klementyna werbowwała do swego domu każdą tego rodzaju, choćby początkującą osobistość. Mężczyźni

mieli pierwszeństwo, dlatego przemykali się tam i wszelkiego rodzaju z długimi i krótkimi włosami miejscowi lub przejezdni literaci piszący prozą, literaci poeci, dziennikarze, artyści dramatyczni. Gdy tych zabrakło, rekrutowała młodzież odznaczającą się szykiem i wykwintnemi manierami, a wreszcie ładnie tańczącą. Ludzie bez znaczenia i bez tytułów, jeżeli się tam znaleźli przypadkowo, odgrywali smutną rolę figurantów. Z kobiet pierwszeństwo miały odznaczające się urodą, a już przedewszystkiem wykwintnie ustrojone.

Ile ta kobieta nie przedsiębrała sposobów i sposobików, aby tylko zwabić jaką wybitniejszą osobistość! Obiecywała przybycie pewnej znakomitości, stwarzała odczyty, organizowała koncerty, teatru amatorskie, wieczorki tańczące, na których podawano domowej roboty wyborne konfitury. Kto miał to nieszczęście skosztowania kiedy tych delicyj, już zaciągnął względem niej pewne zobowiązania i nie mógł wystąpić z opozycją, kiedy go zapędzono do nudnych nawet gier towarzyskich.

Dla mnie rzeczywiście salon pani Klementyny był prawdziwą szkołą towarzyskiego wykształcenia, lecz za to przez długie czasy mogłem się zaliczać do jej nieruchomości. Służyłem jej z całym poświęceniem i gdybym z tej epoki zażądał od niej świadectwa konduity, nie mogłaby wypisać

inaczej, jak tylko, że służyłem „wiernie, trzeźwo i uczciwie“.

Muszę się przyznać, że... piękne oczy mojej protektorki trochę mi zawróciły głowę — zakochałem się! Ile razy przyszło mi na myśl złożyć przed sobą samą relacją z tego uczucia, włosy powstawały mi na głowie wspomniawszy, co by na to powiedziała matka, dowiedziawszy się, iż odważyłem się oczy podnieść na kobietę zamężną. Dlatego unikałem tego rodzaju sprawozdań, a brnąłem słodko dalej na oślep.

Zachciało się pani mojego serca wyjechać na letnie mieszkanie do Wierzbna; co drugi dzień byłem jej gościem, maszerując *per pedes apostolorum* milę drogi tam i napowrót, obciążony mnóstwem sprawunków nawet takiej natury jak sardelki i szynki. Z tytułu właśnie tych sprawunków wdaliśmy się w korespondencją z panią Klementyną, w której powoli zaczynałem wciskać pewne wyrażenia cokolwiek odmienniej natury, niż powierzone mi komisa. Uważałem, że nie gniewały one mojej pani, więc też pozwalałem sobie coraz więcej, coraz dalej zapewniając o dozgonnem przywiązaniu... gotowości ofiarowania życia na jej skinięcie... i inne w tym gatunku górnobrzmiące frazesy. Pani i na to nic, lecz owszem ścisłała mi coraz czulej rękę, ale zakres poruczonych spra-

wunków rozszerzyła do takich naprzykład, jak opiewa bilet, który jeszcze mam dotąd:

„Kochany panie Władysławie!

„Wiem, że twoje pocziwe serce na moje usługi, spodziewam się dziś kilka osób z wizytą, a między temi pana W., europejskiej sławy fortepianistę, proszę cię więc kup mi polędwicę, tylko żeby miała ze sześć funtów, krótką a grubą. Antosia, moja młodsza, da ci serwetkę do obwiniecia, potem zapakujesz w papier i przyniesiesz... Czekam kochanego pana z utęsknieniem, a jak się dobrze sprawisz, podziękuję pięknie. *Klementyna*“.

Post scriptum. Tylko nie bierz pan cienkiej a długiej, bo taką źle krajać i jest niepodzielna, najlepiej kupić w jatkach na Zrazowskiem.

Przyznam, nie podobала mi się bardzo ta polędwica, zacząłem się irytować i dąsać, poważylem się nawet chodząc wielkimi krokami po pokoju, wyrzucić te słowa: „Czy ona zwaryowała!...“ Ale.. wstąpiłem do jatek i kupiwszy ową polędwicę. owinałem serwetką, jak dziecko w powiciu, otuliłem w papier i — marsz na służbę do Wierzbna, wcale z tego poruczenia niezadowolony. Wolałbym, żeby żądała krokodyla jak w komedyi Fredry — ale polędwica?... hm... coś bardzo prozaicznego.

Tymczasem fakt ten, a właściwie awansowanie wydatku na to kupno w zastępstwie pani

Klementyny, spowodował bardzo nieprzyjemne odkrycie. W płóciennnej torebce matki, z której czerpałem przez trzy miesiące — niestety zostały tylko całe cztero-rublowe papierki.

— Wiesz ty Tomciu, że ja już nie mam pieniędzy — odezwałem się do niego, wróciwszy z owej wycieczki do Wierzbna.

— Ja nigdy nie mam — odpowiada kłując zęby elegancko obszytem piórkiem.

— I cóż będzie?

— Nic — rzecze niedbale skracając papierosa.
— Ja ci wprawdzie coś jestem winien, ale również nie mam... obiecują mi gratyfikację na Nowy rok...

— Do Nowego roku jeszcze coś cztery miesiące...

— Może dostaniesz pensję, powiadają, że jesteś w łaskach... Ja ci nie poradzę... Mówiłem, pamiętasz, kup sobie obiadowych biletów na zapas... a tobie się zachciało parady, książek z rycinami... Powiedz mi na diabła ci się zdała ta galerya drezdeńska ze stalorytami? Spróbuj, czy ci Laszkiewicz da obiad za zeszyt... spróbuj.

Źle panie Władysławie — pomyślałem sobie, straciwszy fantazję — źle, perspektywa wcale nie ponętna.

— No idź spać — mówi Tomasz odwracając się na łóżku do ściany — kto na noc myśli o pieniądzach!... Pogadamy jutro.

Ponieważ nie miałem tak strawnych usposobień, więc całutką noc przemedytowałem o mojej przyszłości. Tysiące wyrzutów czyniłem lekkości mego charakteru i próżniactwu, zarzucałem sobie zbrodnię nie do darowania, wymyślałem wspomniawszy na ciężką pracę matki, która przez dwa lata w pocie czoła składała ten fundusz dla mnie, a ja go tak bezmyślnie puściłem we cztery niespełna miesiące, nie starając się nawet o jakąś poboczną pracę. Spłakawszy się wreszcie nad swoją nieszczęśliwą pozycją, szarpany wyrzutami sumienia, zasnąłem o świecie.

— A wstawajże, już siódma! — zawoła Tomcio nalewając herbaty. — Cóż tak masz głupią minę? — pyta widząc podsiniałe u mnie oczy. — Na co się tu zdały wszelkie płacze i żale... tu trzeba radzić... Pijże, bo wystygnie, i dziękuj Bogu za dziś; aplikanci widzisz to jak ptacy niebiescy, ani orzą ani sieją...

— Dobrze ci żartować, że ksiądz ci przysyła...

— Dalibóg żebym tak miał za co pojechać do niego, to bym pojechał i nawymyślał mu co się zmieści... Sknera, pięćdziesiąt złotych, a on za jeden pogrzeb weźmie czasem sto... Słuchaj, pisz do matki.

— Nie mogę, ona nie ma.

— Hm. jak nie ma. to zróbmy obrachunek; ile masz jeszcze?

— Dwadzieścia osm złotych.

— Ja mam coś — mówi wywracając podszewką kieszeń od kamizelki, z której wysypuje się na stół kilka dziesiątek i coś miedziaków. — Jest trzy złote bez pięciu groszy...

— Wielki kapitał — mówię z ironią.

— Czekaj, mam jeszcze trzy bilety na obiad, a ty ile?

— I ja trzy do pierwszego: ale mieszkanie, a herbata, a bułki, cukier, świece, nie licząc butów, których potrzebuję...

— Nie trzeba je drzeć dla miłości chodząc do Wierzbna, to by na długo wystarczyły. Ale panu podobą się służyć pani Klementynie... Służ, służ, diabła się tam czego dosłużysz. Zresztą to rzecz inna. Na pierwszego dostanę te pięćdziesiąt złotych i kupuję za nie bilety na obiad, reszta co zostanie i co ty masz jeszcze idzie na mieszkanie, cukier *et cetera*... Od dziś schodzimy na pół pensyi.,.

— Jak to na pół pensyi? — pytam zdziwiony.

— Nie wiesz co to na pół pensyi?... zaraz ci wytłómaczę. Chodzi się na obiad co drugi dzień i kwita! Kładę tylko warunek, że ten co będzie jadł obiad, drugiemu przyniesie chleba w kieszeni. Pocziwy Laszkiewicz nie wydziela chleba, leżą bochenki na stole, machnij kawał... Od dziś za-

czynamy robić oszczędności... a tymczasem będę się starał o robotę... Ja już nieraz byłem na pół pensyi i jestem przyzwyczajony, ty więc dziś idziesz na obiad...

— Jakże się obejdziesz dzień cały bez jedzenia?
— oponuję podziwiając dobroć serca Tomasza.

— Nie ma co gadać, postanowione... tylko pamiętaj o chlebie!

Byłem tyle sumiennym, że zjadłem obiad nie dotknawszy chleba, a za to porcyę, którąbym mógł zjeść, z wielką obawą, aby kto nie dojrzał, wsadziłem do kieszeni owego raglana, a że była mała, chleb przykryłem chustką od nosa.

— A bodajżeś ty licha zjadł! — zawoła Tomasz zobaczywszy dość skromną krajanke chleba, jaką po powrocie z obiadu wydobyłem z kieszeni. — Cóż ty mię chcesz zagłodzić?

— Nie śmiałem — mówię sumitując się przed nim — a nawet przy obiedzie nie skosztowałem chleba, żeby nie zrobić krzywdy Laszkiewiczowi.

— O prostoto, o niewinności z Chmielnika! — rzecze, zajadając ów klajstrowany chleb z apetytem — zobaczysz jutro...

Jakoż dotrzymał przyrzeczenia i wszedł na-
zajutrz z tryumfem, wydobywając różnej wielkości
kawałki chleba ze wszystkich kieszeni.

— Masz, masz, i jeszcze masz!

Otóż cały miesiąc następny szła w ten sposób nasza gospodarka, lecz jakoś na trzy dni przed pierwszym zabrakło cukru, a we wspólnej kasie było już coś tylko kilka groszy.

— Trzeba gdzieś pożyczyć... — proponuję Tomaszowi.

— Gadasz głupstwa! — ofuknie mnie kolega — kto tam aplikantowi co pożyczy. Nie mówię, że krawiec, szewc, albo praczka dadzą na kredyt, ale gotówką!... Zejdź całą Warszawę i spróbuj — chyba od kolegi.

— Na to się nie zdecyduję — mówię stanowczo — moi koledzy to panicze.

— Zaręczam, że tacy sami jak ty i ja, tylko udają... I u nas w biurze wszyscy niby majątni...

— Więc cóż?

— Trzeba zawołać handelesa i tymczasem coś sprzedać. Zróbmy rewizję naszej starzyzny.

Krótką była rewizya: cała garderoba była na nas... bielizna nie miała wartości dla kupca: do zbycia więc u mnie zostawała tylko owa hiszpańska czapka aksamitna z jedwabnym kutasem, a u Tomasza pikowa letnia kamizelka z haftem. Połowa szlafroka jako zatłuszczona od czyszczenia lakierów, nie miała żadnej wartości.

— I po cóż tu wołać handlarza — pytam składając do komody nasze zbywające rupiecie — za to nic on nie da...

Tomasz milczał chodząc z ogromną powagą po pokoju, a buty skrzypiały mu tak zamasyście i głośno, że ten skrzyp zaczynał mię już drażnić.

— Idźmy do biura, nie ma co myśleć...

— Dajże pokój i nie przeszkadzaj mi... Hm! — krzyknie po chwili z iskrzącem spojrzeniem — mamy cukier!

— Ciekawym zkąd?

— A twój srebrny medal za rozprawę... wart z rubla...

— Medalu nie sprzedam, to jedyna pamiątka moja ze szkół.

— Dobrze ci tak mówić — rzeczy z wyrzutem, bo dziś twoja kolej na obiad.

— Ha więc sprzedać rzeknę zawstydzony.

— Jeszcze nie rozpaczaj! — otwórz lufcik i zawołaj handelesa, może ja to tak urządzę, że pożyczymy jakoś i medal obronimy.

W tych stronach Warszawy żydkowie kupujący starzyznę byli zawsze na pogotowiu. W godzinach rannych dawał się słyszeć przed oknami na ulicy, a najczęściej w podwórzu ich donośny głos: „*Handele, handele!* Sprzedać, kupić!“ tak, że dość było wysunąć głowę z okna i skinąć ręką, a za parę minut miałeś takiego kupca w pokoju. Zwykle żyd, głosząc swoje *handele*, kieruje wzrok ku najwyższym piętróm, wiedząc gdzie szukać swoich klientów.

Tym razem spojrzawszy na dół, zobaczyłem trzech naraz, którzy niosąc widocznie dopiero co kupioną starzyznę, kłócili się zawzięcie, wydzierając sobie jakieś ubranie i podnosząc do światła, wyszukiwali miejsc przetartych. Wołam raz „handeles!” — nie słyszą. Wołam drugi raz — oni nic, a tylko szwargoczą, trzymając do góry kupioną sztukę i nie zważają na to, że przechodzący trotuarem popychają ich na wszystkie strony.

Nareszcie usłyszał jeden młody jeszcze z czerwonymi pejsami, kiwnął głową i puścił się jak strzała do głównego wejścia naszej kamienicy.

Czerwonowłose Jankiel wszedłszy do pokoju, jak wódz przed bitwą jednym rzutem oka obejrzał sytuację naszą, pytając bez interesu:

— Co kupić?

— Tę oto czapkę aksamitną — rzecze Tomasz.

— Ny, co to jest? — mówi przyglądając się ze szczególniejszą uwagą bufiastej czapce — to z ty-atru?

— Nie, to hiszpańska czapka z prawdziwego aksamitu, teraz najmodniejsza.

— W Hiszpanii? — pyta patrząc nam niby głupowato w oczy.

— Cóżes ty za kupiec — odzywa się z daleka stojący Tomasz. — Mój Władku, miałeś też co wołać, to jakiś fryc handlarz, nawet się na czapkach nie zna.

— Z przeproszeniem pana, ja takich garderobów nie kupuję... może co więcej?

— Nie pokażę nic więcej, dopóki tego nie kupisz — mówi z powagą Tomasz, przybliżając się do żyda.

— Ny, co mam dać za to hiszpańskie?

— Rubla.

— Może jeszcze zanieść na Pragę, co? A wa, jaki mi towar!

— To idźże sobie z Panem Bogiem — rzecze kolega biorąc za ramię kupca.

— Co więcej?

— Czapka...

— Co ona warta? dziesięć groszy... i to na prucie... może i to nie warta, pozwoli pan, ja zawołam mojego wspólnik.

Tomasz udał obrażonego i otworzył drzwi panu kupcowi, zapraszając do wyjścia, czem przestraszony tandeciarz postąpił piętnaście groszy, a wreszcie z desperacją ofiarował dwadzieścia.

Przystaliśmy na dwadzieścia pięć.

— Co więcej? — woła znów natarczywie — może jakie palety, może tfinie jakie...

— Powoli będzie i to, a tymczasem kup tę kamizelkę — mówi podnosząc ją do góry za kołnierz.

Żyd tylko się roześmiał zrobiwszy pogardliwą minę i nie chciał jej wziąć do ręki.

— Ale obejrzyjno, to haft prawdziwy ręką robiony, kamizelka paryska...

— Na co mi paryskiej? niech ona będzie warszawska, ale co warta.

Nie będę dalej opisywał długich targów, w których mój kolega rozwinał niezrównaną dyalektykę — dość że kilka złotych ciężką pracą wydobytych od żyda zasililo znowu biedną aplikancką kasę.

W połowie drugiego miesiąca, pozycja nasza cokolwiek się polepszyła; rzeczywiście czas był po temu, gdyż fizyognomie skazane tak długo na pół porcyi zaczęły się przedłużać, a suknie obcisłe przedtem, stawały się obszernymi. Moralnie, przyznać muszę, okoliczność ta nie wiele nas obchodziła; humor był dobry, rozmowa zawsze pełna żartów i dowcipu z codziennych kłopotów — przyszłość jeszcze brzemenna nadzieją. Tomcio wynalazł pracę, wprowadzie już z drugiej ręki, ale zawsze dającą nam niejaki zarobek: przepisywaliśmy wyroki po dziesięć groszy od arkusza. Zmieniając się przy pisaniu, gdy jeden dyktował, a drugi zastępował piszącą maszynę, potrafilismy na dobę zabazgrać do ośmnastu arkuszy, i wtedy tylko zmartwienie, gdy naszemu entrepreneurowi zabrakło materyału. Przepisywaniu tych arcydzieł miejscowej Temidy, zawdzięczam dotąd całą znajomość kodeksu Napoleona i te jeneralne wyraże-

nia: „wszem wobec i każdemu z osobna... zważywszy, zważywszy i jeszcze raz zważywszy“, a nakoniec: „Zalecamy i rozkazujemy wszystkim komornikom sądowym etc...“

Nareszcie i pan prezes przypomnieć sobie raczył o swoim faworycie.

Przeznaczono mi dyety w stosunku rocznej płacy złotych polskich trzysta, lecz że łaska ta oświadczona mi w uroczysty sposób w ten sam dzień przemieniła się w niełaskę, pozwolę mi czytelnicy zdarzenie to więcej szczegółowo opowiedzieć.

Parę razy w tygodniu pan prezes wizytował biura, a zwiedzanie to odbywało się w oryginalny sposób. O godzinie ósmej rano otwierały się drzwi gabinetu i szanowny szef w tym samym zabrudzonym szlafroku i przydeptanych pantoflach, trzymając w jednej ręce tabakierkę, a w drugiej wielką czerwono-kraciatą ckustkę — ruszał jakby w procesyi, poprzedzony zgrają psów różnej wielkości i gatunku. Woźny Wincenty po przyjacielsku dawał znać o ile mógł o tym pochodzie, dodając: „okulary nisko“. To znaczyło, że prezes w dobrym humorze — a jeżeli doszła depesza, że „okulary wysoko“, każdy gotował się do przyjęcia huraganu, nie wiedząc gdzie piorun uderzy.

— A gdzie ten demagog? — pytał swoim nosowym tonem głosu, pokazując na puste biurko,

przy którym siedział zwykle wypadły z łaski urzędnik...

Jeżeli okulary były górą — to kończyło się na rozkazie wytrącenia dziennej płacy, jeżeli na dole, to jakoś przeszło.

— Cóż stary Demostenesie — zaczepił znanego jakąś, którego lubił za dowcipne odpowiedzi — jakże idą próby z kamykiem?

— Pa, pa, pa... nie, pre, pre, pre...

— Dokończysz jak ja będę wracał — przerywa mu klepiąc go po ramieniu — nie mam czasu czekać — i szedł dalej.

Jeżeli go tam w następnych salach co nie zirytowało, to w pół godziny wracając z wycieczki kazał mu dokończyć odpowiedzi.

— Pa, pa, pa...

— Trzymajże się czego — przerwał prezes podsuwając mu poręcz krzesła — będzie ci lżej jak koniowi łykawemu. Czemuż się nie kurujesz kamykiem jak Demostenes?

— W Warszawie niepodobna...

— Dlaczego?

— Tu nie ma morza, a taka kuracya udaje się tylko nad morzem — kamyk pod językiem bez morza nie pomaga.

Roześmiał się prezes, i jeżeli miał ochotę, zaczepiał go sadząc się na dowcip, na przykład w tym rodzaju:

— Tobie, mój kochany, to będzie lekko umierać, bo jak otworzysz usta, żeby powiedzieć Panu Bogu „weź Panie ducha mego“, to cały pułk diabłów będzie miał czas wlecieć tam i wyprowadzić duszę nim dokończysz...

— Zawsze jeszcze jaśnie wielmożnemu prezesowi będzie lżej odemnie — odpowiada z całym akompaniamentem jękania.

— No, ciekawym dlaczego?

— Bo ja umierając muszę zamykać dwoje oczu, a jaśnie pan przymknie jedno i już!...

Prezes, który rzeczywiście miał jedno tylko oko, obraził się bardzo tą odpowiedzią.

— Dla zobaczenia takiego... jak ty, to i jednego oka za wiele — rzekł odwróciwszy się tyłem do mówiącego, a innym urzędnikom dał naukę, że tu u niego nikt nie może być mądrym ani dowcipnym, tylko on sam i ten komu on pozwoli. Jąkała stracił kompletnie łaskę i przez rok cały prezes nie zaszczycił go więcej swoją pogawędką.

W kancelaryi pomiędzy młodzieżą, którą nazywał szpicami, inna toczyła się dyskusya.

— Umiesz obertasa? — spytał mię nagle dwa dni przedtem.

Nie mogłem zrozumieć, czego on chce.

— No, czego wytrzeszczasz oczy? Pytam, czy umiesz tańcować obertasa?

— Umiem.

— No, to mi się umyć, uczesać, ubrać we frak i jutro o godzinie 9tej na bal do żyda... Toż samo ty, ty, ty — mówił wskazując tabakierką na kilku innych kolegów.

Po jego wyjściu objaśniono mię dopiero, że prezes żyje w przyjaźni z pewnym bankierem warszawskim, który mając różnorodne interesa z rządem, stara się o względy prezesa i znosi cierpliwie wszystkie wybryki jego gburowatych konceptów. Do ich rzędu należało wprowadzanie na tańczące wieczorki u tegoż bankiera urzędników swoich, którymi jak by swoją własnością bez ceremonii dysponował.

Pan prezes pochodził z Krakowskiego i to podobno z niskiego stanu, wszystko więc co mu przypominało strony rodzinne, szanował i lubił, a do tego liczył się zawadyacki taniec zwany obertasem. Jego najstarsza córka była ofiarą tego tańca, z którą musieliśmy jakby dla zdania egzaminu wywijać po kolei.

— Słuchajno ty z Chmielnika — rzekł do mnie wiodąc za rękę do córki małego wzrostu dosyć przystojnej brunetki — spróbujno tego, znasz: „A zawracaj od komina“.

Spróbowałem — obertas z zawijaniem nogą udał się najwyborniej, prezes klaskał w ręce z radości, po kolacyi kazał nam jeszcze raz powtórzyć... i tej to właśnie okoliczności zawdzięczałem pier-

wszą posadę kancelisty z pensją trzystu złotych polskich rocznie, o czem na drugi dzień z ust samego prezesa się dowiedziałem.

Ani gorliwa praca moja w biurze, przy której siedziałem kamieniem od ósmej z rana do drugiej popołudniu, ani sadzenie się na ozdobne pisanie raportów nie pomogły tyle, co obertas na balu u żyda. Smutna to prawda, lecz rzeczywiście tak było; talent w nogach postawił mię na nogi; w owe czasy nasz zwierzchnik w ten sposób oceniał zasługi — karyera zależała od fantazyi...

V.

Koniec miłości i karyery.

Do zabójstwa mojej przyszłości i utraty na długo względów prezesa, przyczyniła się pośrednio pani Klementyna. Damie tej, której gorąca przyjaźń dla mnie z każdym dniem się powiększała, zachciało się urządzić na urodziny męża teatr amatorski. O ile mogłem zaznajomić czytelnika z jej charakterem, u pani tej prędzej szło wykonanie niż myśl sama. W dwa dni wszystko było zdecydowane, sztuka wybrana, role przepisane i rozdane, dekoracye obmyślane. reżyser z teatru uproszony.

— Pan będziesz pierwszym kochankiem — rzecze patrząc mi uważnie w oczy — ja jego narzeczoną. Cóż, zadowolony jesteś?

Mogłem tylko za całą odpowiedź ucałować rączki przyszłej narzeczonej, słów mi zabrakło na odmalowanie radości, jaka mię opanowała.

— Tylko wyucz mi się roli dobrze, na suflera nie rachuj, i graj naturalnie z całym przejęciem się... to może przydać się panu kiedy...

— Czy pani sądzisz, że ta próba zachęci mnie do poświęcenia się zawodowi dramatycznemu?

— Mój kochany panie, nie udawaj naiwnego. Za młody jesteś, żeby w twoich oczach nie można wyczytać co myślisz... Powiem ci nawet, awanturujesz się czasami za daleko...

Wróciłem do domu zamysłony, począłem uczyć się mojej roli kochanka i recytowałem ją chodząc wielkimi krokami po pokoju, z całym przejęciem się wielkością uczucia napełniającego serce bohatera. W zapale uniesienia chwyciłem oburącz powietrze, gdy szła rzecz o przyciśnięcie do swej piersi ukochanego przedmiotu.

— Ty widzę na seryo zadurzyłeś się w tym sowizdrzale! — odzywa się z powagą mój Tomasz.

— O kim to mówisz?

— No o Klimci z drugiego piętra...

— Najprzód ona nie jest żadnym sowizdrzałem, jak panu podobało się wyrazić, ale bardzo a bardzo przyjemną kobietą. Powtóre, nie jestem za kochany...

— Pamiętaj, mówię ci po przyjacielsku, że ty się skompromitujesz...

— Za kogoż ty mnie bierzesz? — pytam obrażony.

— Za fryca z Chmielnika...

— Tomaszu...

— Baba próżna jak beczka po winie, a zimna jak lód... nawet mąż o nią nie zazdrośny. Szkoda twoich afektów, opalisz sobie skrzydełka nie długo, opalisz !

Mów ty sobie co chcesz — myślałem podówczas, a ja wiem, że zazdrość przez ciebie się odzywa... I znowu deklamowałem uczucia gorącej miłości i serce mi drżało na myśl, że ona zrozumie to wszystko, powinna, musi zrozumieć.

Otóż tak stały rzeczy nazajutrz po balu u żyda, jak mówił prezes, a w sam dzień odbyć się mającej próby.

O jedenastej godzinie, ubrany w zwyczajny frak mundurowy nieszczególnego kroju i nowości, pojawił się prezes w kancelaryi biura, uwiadamiając o udzieleniu mi nominacyi na kancelistę. Dwa razy ucałowałem z animuszem wdzięczności zatłuszczonego rękaw fraka, czem zadowolony dygnitarz odezwał się do stojącego obok dyrektora kancelaryi:

— Wiesz, kiedy wywijał z Marynią moją, szło dobrze, ale jak wziął żydówkę, zdawało się panie że ją rozbije. Stary ojciec przeląkł się naprawdę, i gdy on po naszymu zawinał nogą, krzyknął ze strachu: aj waj! Słyszałeś? — pyta odwracając się do mnie.

— Słyszałem — potwierdzam z powagą.

Wszyscy obecni musieli się rozśmiać z tego dowcipu, była to już forma urzędowa śmiechu na taki przypadek, czem zachęcony dygnitarz wystąpił z nowym projektem.

— Laskosiu -- rzecze do owego dyrektora — muszę ja sobie tu zaprowadzić oddzielną rasę oberkiewiczów, na kształt tych kłapouchów łączyskich, wiesz?...

Laskosio zatykał sobie usta od śmiechu.

— Trzeba żebyś mi spisał wszystkich nieżonatych szpiców i wszystkie córki żonatych urzędników moich. Ja sam już ponaznaczam każdemu jak potrzeba; blondynowi — brunetkę, brunetowi — blondynkę, duży weźmie małą i t. d.

Pogadanka ta, pełna żartów i naigrawania się ze wszystkiego. co przechodzi granice wszelkiej przyzwoitości. trwała jeszcze z pół godziny, a że to był dzień, w którym wyjeżdżał prezes na radę, więc raczył nas opuścić, zostawiając wcale niesmaczne o dowcipie swoim wspomnienia.

Ledwie miałem czas odczytać doręczoną mi nominację na kancelistę i przyjąć ironiczne powinszowania kolegów, gdy wpada woźny Wincenty, wzywając mię do prezesa.

— Panie, tam coś będzie źle — szepcze biegnąc za mną, a z daleka już mię dolatuje podniesiony głos prezesa, który w razach wysokiego

gniewu przemieniał się w piszczący i fałszywy głos rozdętego fletu.

Na zakręcie schodów prowadzących z dołu na pierwsze piętro, widzę, stoi rozgniewany starzec i wygraża tabakierką pod nosem jakiemuś młodzieńcowi, który z odkrytą głową, w pokornej postawie winowajcy, słucha tych jego wymysłów.

— Kto jest ten zbrodniarz? — pyta zwracając się do mnie — znasz go?

Spojrzałem na delikwenta i oniemiałem ze zdziwienia. Był to ni mniej ni więcej, tylko mój kolega Tomasz, lecz z tak nieszczęśliwą miną, że gdyby nie irytacja prezesa, parsknąłbym głośnym śmiechem.

— Tomasz Żebrzycki, kolega mój szkolny, z którym mieszkamy wspólnie...

— To i ty taki sam jak on rozbójnik! Hej Wincenty! — krzyknie na woźnego — sprowadzić mi policję!

Wincenty zjawił się na wezwanie, a ja skamieniałem z przerażenia, nie rozumiejąc co to wszystko znaczy. Prezes tupał nogami i przyskakiwał do Tomcia z taką furią, że byłem pewny, iż mój nieszczęśliwy kolega co najmużej godził na życie szanownego dygnitarza.

— Jak ty możesz nie znać mnie! mnie prezesa, członka Rady, prezesa tego a tego komitetu, prezesa tego znów komitetu, radcy, senatora!...

— Przysięgam jaśnie wielmożnemu prezesowi, nie znałem...

— Otóż jak posiedzisz na odwachu dwa tygodnie, to poznasz.

Kolega sumitował się, robiąc tak pocieszne grymasy na płacz zakrawające, że fizyognomia jego przypominała mi chwilę przed rozpoczęciem egzekucyi szkolnej w kancelaryi pana inspektora gimnazyum. Dałem mu znać na migi, aby pocałował w rękę — Tomasz nie miał odwagi. Powtórzyłem moją mimikę, i właśnie gdy woźny prowadził z dołu policyanta, nieszczęśliwy koleżka zdecydował się pochwycić rękaw prezesa, a bąkając nawpół z płaczem przeproszenie, błagał o litość.

— Coś ty za jeden? — spytał go po tej operacyi, łagodząc podniosły ton głosu.

— Aplikant z komisyi spraw wewnętrznych.

— Dobrze, napiszę do dyrektora, żeby cię wypędzili — a zwracając się ku mnie, dodaje — i ty, że takich bałwanów masz kolegów, pójdziesz precz!...

Tomasz pochwycił znowu za rękaw fraka, ja próbowałem się dostać do drugiej ręki, lecz nie dozwolono mi tej łaski.

— Marsz na górę ty praczko myśli! — krzyknął nademną... — Osieł, on będzie prał myśli, a do-biera sobie takich idyotów kolegów... Nauczę ja cię prać myśli!

Cofnąłem się zkonfundowany na górne schody, umyślnie stąpając wolno, aby się dowiedzieć, na czem się ta awantura skończy. Jakoż nad wszelkie spodziewanie prezes odprawił policyanta, nakiwał tabakierką przed czołem Tomasza i pozwolił mu odejść spokojnie.

Ledwie że usłyszałem turkot ruszającego z przed bramy pojazdu z prezesem, wybiegłem z biura, aby dogonić idącego z pochyłoną głową po trotuarze Tomasza.

— Tomciu, co ci się stało?

— A żeby ona z piekła nie wyjrzała z tym swoim teatrem! — krzyknie zdesperowany kolega.

— Jaka ona!

— A twoja kochana Klimcia... Wystaw sobie, spotkała mię na ulicy i wyprawiła na gwałt do ciebie.

— Po co?

— Bóg święty wie, po co! Coś tam zmieniła twoją rolę, dała mi jakiś szpargał, kazała odebrać dawniejszą rolę kochanka... Mój panie Tomaszu, powiada opanowawszy mię po swojemu, biegnij do niego do biura, daj mu tę rolę, on się jeszcze do wieczora poduczy... i ja jak głupiec jaki usłuchałem.

— Ale zkadże przyszło do awantury z prezesem? — pytam nie zważając na poselstwo pani Klementyny.

— To waryat jakiś, to chyba zwierz a nie człowiek! Wystaw sobie, idę na piętro i świstając wywijam laseczką, a tu na pierwszym skrawie spotykam tę poczwarę schodzącą z góry. Mijam go, bo cóż mię może obchodzić jakiś archiwista w poplamionym fraku, a ten mię panie za kołnierz.

— Kto ty? krzyknie nad uchem.

— A tobie co do tego — odpowiadam odczepiając siłą rękę od kołnierza.

— Buntowniku jakiś! — zawoła — ja jestem prezes tej władzy, jak ty śmiesz nie uszanować mojej osoby!

Spojrzałem na niego i dalibóg roześmiałem mu się w oczy; byłem przekonany, że mam do czynienia z podchmielonym awanturnikiem. Ale ten na seryo zastępuje mi drogę, krzyczy wzywając pomocy, nadbiegają zatrwożeni urzędnicy i patrzą na mnie jak na zbrodniarza...

— I cóż dalej?

— Krzyczał, wymyślał, jak może być taki człowiek w Warszawie, któryby go nie znał, a dowiedziawszy się, że idę do ciebie z interesem, kazał cię przywołać i wiesz co dalej... No, tę Klimcię twoją przeklnę, jeżeli on rzeczywiście napisze do dyrektora naszego: gotowi mię wydać z biura i to wtenczas, kiedy się spodziewam na Nowy rok gratyfikacyi.

Rozmawialiśmy jeszcze czas jakiś o naszym nieszczęściu, stawiając rozmaite wywody, a gdy przyszło rozejść się przy rogu ulicy, Tomasz podał mi zeszytik papieru.

— Masz tam w środku depeszę od tej baby... a ja ci daję słowo, że od pierwszego wyprowadzam się z tego domu.

Zaciekawiony, co to być może, wstąpiłem do pobliskiej bramy, aby odczytać pismo pani Klementyny.

„Znalazłam — pisze ona na świstku — lepszego od pana kochanka; pan nie mógłbyś grać z dystynkcyą najważniejszej roli, ale Dębicki nie chce grać lokaja, proszę, oddaj mu swój zeszyt natychmiast i do wieczora wyucz się drugiej roli. Mój panie Władysławie, zrób to dla mnie, inaczej próba by się nie udała, o to proszę... *Klementyna.*“

Nie wiem, czy może napaść kogo większa passya, jak mnie po przeczytaniu tego listu — zmiąłem go na nic, zmiąłem i rolę lokaja, a wpakowawszy to wszystko do kieszeni, wybiegłem jak opętany na ulicę.

— Ja mam grać rolę lokaja! — szeptałem zaciśkając pięście i wyrabiając tak pocieszne giesta, że przechodzący oglądali się na mnie jak na waryata... Lepszego kochanka znalazła!... żmija!... potwór!... ja nie potrafię oddać tej roli z dystynkcyą!

Ani obiadu jeść nie mogłem, ani uspokoić wzburzonego zawodem serca. Zamiast powrócić do domu, poszedłem do ogrodu Krasińskich i tam błakając się po bocznych ulicach, wylewałem gorzkie łzy żalu nad zdruzgotanem uczuciem. I zapomniałem o nominacyi na kancelistę i o wypadku z prezesem; cóż to wszystko obchodzić mię mogło w tej chwili! Na co mi karyera, na co mi przyszłość, pustka we mnie, pustka przedemną do grobowej deski! Łzy mimowoli płynęły mi z oczu, analiza serdecznej boleści i złamanego życia wykrywała coraz nowsze, czarne plamy tak, że nie mogąc powstrzymać żalu, rozplakałem się na dobre.

Już było ciemno, gdy jak skazaniec jaki wracałem do mieszkania. Na drugim piętrze okna salonu pani Klementyny rzęśisto były oświecone, serce mi się ścisnęło, gdym na palcach przechodząc obok drzwi mieszkania pani Klementyny, usłyszał jej głos krzykliwy i głośnie śmiechy jej gości.

Widocznie pilnowano mojego powrotu, bo ledwie że zdążyłem zapalić świecę w moim pokoju, wbiega za mną służąca z oznajmieniem, że pani prosi, abym natychmiast szedł do niej.

— Przeprós panią, że nie mogę, jestem słaby.

— Ależ wszyscy czekają, pani się niecierpliwi, ja już od godziny pilnuję, jak pan będzie wracał.

— Mówię ci, jestem chory i nie pójdę!

Służąca odeszła, a ja czując się znękany, położyłem się na łóżku.

— Panie Władysławie, cóż to jest? — pyta wchodząc za chwilę sąsiad Kazimierz.

— Jak pan widzisz jestem chory, głowa mi pęka z bólu...

— Wiem o tej awanturze z prezesem, ale któż takie rzeczy bierze na seryo. On dziś tak, jutro inaczej, dotąd może już zapomniał. No, proszę cię, wstań, żona czeka, wszyscy grający czekają z próbą. Pan X. pierwszy artysta tutejszego teatru przyszedł wam pomagać... Widzę oczy masz zapłakane... a pfe, wstydź się, czy ty jeszcze dziecko... Ból głowy właściwie nie jest bolem, ani chorobą żadną: trochę silnej woli, zapanowania nad sobą, a zapomnisz...

Jak zaczął mi przedkładać i tłumaczyć po swojemu obowiązki dobrze wychowanego człowieka względem społeczeństwa, że czasami trzeba zrobić ofiarę nawet z fikcyjnego bólu, jakim jest ból głowy, że życie jest ofiarą dla pożytku i przyjemności drugih — dość, że nie miałem siły oprzeć się jego naleganiom, a obmywszy zapłakane oczy zimną wodą, ubrałem się napowrót i zszedłem jak delinkwent jaki na drugie piętro.

W salonie zastałem liczniejsze niż zwykle towarzystwo; kilka nieznanomych pań, kilku poważniejszych mężczyzn i całe grono przeznaczo-

nych do grania amatorów obsiadło wielki stół pijąc herbatę.

Skoro tylko dostrzegła gospodyni moje wejście, przybiegła zirytowana.

— Bardzo grzecznie, bardzo pięknie, kazać na siebie czekać całemu towarzystwu... to oznacza dobre wychowanie... znajomość świata...

— Jestem chory.

— Nieprawda!

— Klimciu — wtrąca powolnym głosem pan Kazimierz, gdy całe towarzystwo z ciekawości umilkło, zwracając na nas uwagę — wyciągnąłem go z łóżka...

— Nie pytam się ciebie — odrzekła prędko — ja go lepiej znam... udaje... Odebrałeś pan mój list, który mu posłałam przez Tomasza?

— Odebrałem.

— A dlaczego nie oddałeś mu roli kochanka... No odpowiadajże, czegoż milczysz... Obraziłeś się pan, ja rozumiem... A rolę Jakóba umiesz?

— Nie miałem czasu przeczytać...

— No widzicie moi państwo — rzeczy obracając się do zebranych i rozkładając ręce jakby mnie im przedstawiała — to taka teraz jest młodzież! Chcą, żeby ich przyjmować, żeby myśleć o ich przyjemnościach, żeby dawać dla nich wieczory, karmić, pić, a jak idzie o drobnostkę, o wyuczenie się króciutkiej roli lokaja... to im się nie

chce... Panie K. — mówi dalej do zaproszonego artysty — musimy odbyć próbę jak można; niech on czyta swoją rolę. Panie Adolfie, weź pan od niego rolę kochanka, znacie się panowie? Pan Władysław nasz sąsiad! a... a to pan Adolf Dębicki... przyznaj sam — mówi ciszej — że daleko szykowniejszy od pana.

Skloniliśmy się wzajemnie, oddałem zeszyt rękopismu temu panu, gdy tymczasem pani Klementyna zaczęła ze zwykłą żywością rozsuwać krzesła w jednym końcu salonu, przygotowując niejako scenę do odbycia próby. Ubrana w białą tiulową suknię z mnóstwem naszytych od góry do dołu falbanek, przyznam, wydała mi się jeszcze piękniejszą niż kiedykolwiek, niby jakaś nimfa nadpowietrzna. Uwijając się między gośćmi, zdawało się, że nie dotyka podłogi, do czego lekki, falisty ruch owych tiulowych akcesoryj zdawał się łudząco dopomagać.

To wszystko i szczególniejsze zajęcie się panem Adolfem, którego widocznie chciała dziś wyróżnić, do tego stopnia mię rozdrażniło, że gdy wzięła mię za rękę podając zmiotkę do kurzu, którą za otwarciem kurtyny powinienem oczyszczać meble, rzekłem stanowczo:

— Przepraszam panią, ja grać nie będę!

— A to co znowu? — zawoła mierzając mię groźnem i zdziwionem spojrzeniem.

— Nie czuję się zdolnym do odegrania tej roli...

— Wyborny pan jesteś! Co, lokaja grać nie potrafisz? Ależ to jest kaprys!

— Mówię na seryo...

— Paradny! Słyszycie państwo, żenuje się, że ma grać lokaja. Cha, cha, cha, nie bądźże pan dziecinny, no bierz zmiotkę i stawaj tu...

— Stanowczo panią zapewniam, że grać nie myślę...

— Musisz! — zawołała tupnąwszy nogą.

Roześmiałem się tylko wzruszając ramionami, gdy gwar w salonie ucichł i wszyscy spojrzeli w naszą stronę.

— Panie Władysławie, nie dziwacz... musisz grać, bo ja tak chcę i rozkazuję! — rzecze spoglądając na mnie wymownie.

— Daruje pani, nie posłucham...

— Co to się znaczy, bunt, czy co! — woła rumieniąc się od gniewu pani Klementyna. Co, nie obiecywałeś mi, że mnie będziesz słuchał, że wszystko będziesz robił, o co poproszę... nie obiecałeś?

— Nie przypominam sobie nic podobnego — rzeknę siląc się na powagę.

-- Taki to pan jesteś! — woła już z pasją — możesz się nawet wypierać. A co nie pisałeś pan nawet do mnie? Poczekaj pan, ja zaraz przeko-
nam... Wyborny jest, on nie pamięta, on nie obiecywał... nie bój się pan, mam wszystkie twoje listy...

W uniesieniu takim, zapomniawszy pani Klementyna o obecności tylu osób, zapomniawszy o mężu, który nie wiedział co tu z sobą zrobić, biegnie do drugiego pokoju i wraca za chwilę z szufladką pełną listów, którą wyjęła ze stojącej tam toalety.

— Zaraz pana przekonam, że nieprawdę pan mówisz... — mówi szybko stawiając ową szufladkę na owalnym stole przed kanapą, a przebiegając gorączkowo między papierami, wyjmując list za listem, przysuwa go do szkła słonecznej lampy i mruczy dość głośno przebiegając treść takowego: — „Łaskawa pani... świeżych czereśni dziś nie dostałem“... Nie ten. — Bierze drugi:... „Jestem jak zawsze gotów na każdy jej rozkaz“... Ot widzisz, ale poczekaj, to jeszcze nie to, wyborny sobie, on nie pamięta... i znowu czyta: „Sardelki podrożały, po pięć groszy u Eberlajna nie dostanie... bibułka na papierosy za delikatna“... Zaraz ja znajdę ten co potrzeba. I z gorączkową niecierpliwością właściwą tego rodzaju kobietom, wysypuje z szufladki wszystkie papiery na stół, przewraca, miesza, wybiera, gdy ja wśród powszechnej ciekawości jak delinkwent jaki, to rumienie się, to błędę pod szyderczem spojrzeniem całego towarzystwa.

— Otóż jest:... „Południcę przyniosę w serwetce“... No proszę czytaj pan sam! — woła chwy-

tając mię za rękę i bijąc palcem w trzymany papier. Co tu stoi, co? „dla pani wszystko jestem gotów wypełnić, najmniejsze skinienie... nawet gdybyś zażądała, życie bym oddał“... No, jakże? nie pańskie pismo? — czytaj! — mówi podsuwając mi pod oczy niestety mój własnoręczny list, pisany do Wierzbna przed miesiącem.

— Może i teraz pan zaprzeczysz?... Otóż widzisz przekonałam cię... To tak się zapomina swoich przysiąg, to tak robi uczciwy i porządny człowiek? Masz, kiedyś pan chciał tego... Więc zaczynajcież tę próbę — rzecz skończywszy proces ze mną i zwracając się do amatorów, jakby nigdy nie było. A zbierając powyrzucane papiery napowrót do szufladki, mówi jakby do siebie: „Życie gotów oddać, a roli lokaja grać nie chce... masz, przekonałam go...“

Po takiej scenie, której ci nigdy doświadczać nie życzę kochany czytelniku, tyle jeszcze miałem przytomności, że korzystając z chwilowego oddalenia się pani Klementyny do drugiego pokoju, dla odniesienia owej szufladki, zrobiłem machinalnie lewo w tył, dopadłem drzwi przedpokoju i jak ścigany przez charty zając, nie wiem kiedy i jak dostałem się na trzecie piętro.

Spodziewam się, że nie będziecie tyle natrętni, aby wymagać dalszych sprawozdań o tym

wypadku. Dość będzie, gdy powiem, iż na drugi dzień pokryjomu, wieczorem, wyprowadziłem się z naszego mieszkania na drugi koniec Warszawy. Przez rok cały unikałem spotkania na ulicy z panią Klementyną, wymijając z daleka nawet każdą kobietę do niej podobną. To jednak nie uwolniło mnie od wznowienia znajomości w innych wprowadzie warunkach i okolicznościach z tą panią, o czem później.

Otóż w ten sposób odbył się pierwszy mój debiut na scenie świata tak pod względem uczucia jakoteż i karyery. Innym przyjdzie się zestarczyć wśród zwyczajnych warunków i zwyczajnych ludzi, mnie los na samym początku musiał rzucić na pastwę dwóch obojej płci oryginałów, a i potem nie szczędził tego rodzaju przyjaciół i protektorek.

Zgadzam się z czytelnikiem, że nie było się z czem popisywać, jednak że przedstawiłem samą prawdę, poświadczy kolega Tomasz, który mnie do napisania tego namówił, *notabene* jeżeli tylko znajdzie czas na odczytanie tej ramoty.

Jednakże, gdyby podobnie jak przed zatraceniem Sodomy, znalazło się na sto czytelników choć trzech żądających dalszego ciągu przygód karyerowicza — gotów jestem ocalić resztki przygotowanych już notatek i uszczęśliwić tych wybranych moją niefortunną opowieścią.

RZĄDY DZIADUNIA I BABCI

HUMORESKA.

Państwo jeszcze przed żniwami wyjechali do wód za granicę; a że sama pani była mocno rozstrojoną, więc lekarze zaordynowali kąpiele morskie w Ostendzie, z kąd ledwie w jesieni powrócą. Przez czas nieobecności państwa rządy domu i opiekę nad dziećmi objęła babunia, staruszka lat sześćdziesięciu kilku; osoba jeszcze rzeźwa, pełna energii, zawołana starej daty gospodyni.

Babcia ta, używająca peruczki nad czołem, choć trochę nie dowidzi i nie dosłyszy, jednakże ma taki nos (mówię tu pod przenośnią), że wszystko poczuje, co się w domu działo, dzieje i dzieć będzie, dlatego musiałby wstać bardzo rano, ktoby ją chciał oszukać.

— Już ty mi nic nie mów i darmo głowy nie zawracaj — odpowiada zawsze potrząsając trzymanymi w ręku kluczykami przed eksplikującym się delinkwentem — ja wszystko wiem!

No i jak nie miała wiedzieć babunia, kiedy zimą i latem wstawiała o godzinie trzeciej zrana, zaraz po drugim pianiu kogutów, a wykaszławszy się dobrze i paciorki różańca założywszy na palec, zaczęła odmawiać pacierze. Nie przerywając modlitwy, budzi służące, posyła do ekonoma, żeby dzwonił pierwszy raz na ludzi, potem zwiedza obory, zagląda do żłobów koni, co im zasypano, próbuje wymiona krów, czy dobrze wydojone, a niechno która dziewczka zaśnie na stołeczku przy krowie i mleko rozleje, to takiego narobi krzyku, że po całej wsi słychać.

Jeszcze daleko do dnia, kiedy wróciwszy do dworu i zrobiwszy porządek z nabiałem, siada na małym stołeczku przed kominkiem i zaczyna gotować śmietankę. Od najdawniejszych czasów babcia sama zajmuje się tą operacją formowania kożuszka na śmietance, z pomocą małej drewnianej łyżeczki, którą z całym przejęciem się zbiera w jedno miejsce nadbiegającą pianę. Kożuszek ten, żółtawo-woskowego koloru, bywa tak mocny, że można przewrócić garnuszek dnem do góry, a kropla się nie wyleje.

Rzeczywiście śmietanka babci jest sławną na całą okolicę i z tej przyczyny prowadzi do łakomstwa siedmioletniego Ignasia, wnuka babuni, który mimo tylokrotnego karcenia, jak się dostanie do szafki, gdzie stoją owe garnuszki, tutką

ze słomki wypija śmietankę, nie naruszając kożuszka.

Dzisiejszego dnia, babcia jeszcze troskliwiej zajmuje się gotowaniem przy kominku, albowiem spodziewa się przyjazdu dziadzia, dyrektora z Warszawy, po którego konie do kolei wysłano. Dziadzio, dawny urzędnik, emeryt, jest ojcem samej pani i rok rocznie przyjeżdża latem na wieś, dla odwiedzenia dzieci i wnuków, tudzież, jak sam powiada, dla poreperowania płuc na świeżem powietrzu. Dziadunio przytem ma jeszcze tę kalkulację, że gospodyni jego w mieście przez ten czas każe wyfroterować podłogi, oczyścić meble z mółw, wyprać franki; a on sam na wsi doniszczy różne stare suknie i obuwie, których szkoda jeszcze komuś darować.

Babcia wysoko bardzo szanuje pana dyrektora, szczególnie dla jego złocistego krzyża, który ma do noszenia na ponsowej wstążce pod szyją i cieśszy się zawsze, gdy stary ma przyjechać, bo on jeden tylko grywa z nią w maryasza bez pieniędzy i tytułuje babcię sędziną, kiedy synowa i cała służba dworska nazywa ją po prostu starszą panią. Dziadzio znowu, mający pretensyę do dobrego tonu, wyjeżdżając z Warszawy, kupuje dla niej to medalionik, to krzyżyk, to różaniec lub okulary, a prócz tego rulonik czarnej maści, zwanej płocką, którą jedna znajoma pani dyrektora pod

sekretem familijnym wyrabia, a która ma być nadzwyczaj skuteczną na wszystkie rany. Dyrektor przyjeżdżając, maść tę oddaje babci w prezencie, lecz zwykle przed wyjazdem każe sobie za nią zapłacić cztery złote, co spowodza na oblicze babci pewne zachmurzenie, a w duszy opinię o dyrektorze, że jest starym skąpcem.

Babcia już w wigilię przyjazdu kompletnie z panną Matyldą uporządkowała pokój dla dyrektora. Ta panna Matylda, lat może ośmnastu dziewczyna, wesoła, rumiana jak pączek róży, z czarnymi oczkami chichotka, jest wychowaną babci, faworytką a zarazem i ofiarą wszelkich fantazji staruszki.

Pani starsza wychowywała się kiedyś na dworze pewnej starościny i w żaden sposób nie może się pogodzić z dzisiejszą manierą obchodzenia się młodszych ze starszymi. Córkę już dawno wydała za mąż; syn, powiada, kompletnie zaprzedał się swej żonie, a ta żona chce być daleko mądrzejszą od starej matki i politykując, słucha to niby rad babuni, ale swoje robi. Kiedy więc starsza pani, sprzedawszy swój majątek podzieliła dzieci i przy synu osiadła, wzięła z sobą i wychowanicę Matyldę, którą na stary sposób, niegdyś u starościny praktykowany, modeluje.

Mecia jest powiernicą babki we wszystkich zmartwieniach i przykrościach, jakich od synowej

doświadcza, ale jednocześnie i zbiornikiem na wszelkie objawy złego humoru, z kądkolwiek on pochodzi. Budzi ją o wschodzie słońca, każe się kłaść spać o dziewiątej i cały dzień boży musztruje biedną dziewczyniną niby rekrutem, a zawsze w sposób gderliwy i szorstki, żeby znała uszanowanie. Sama nauczyła ją czytać i pisać, nauczyła robótek kobiecych, śpiewania różnych pieśni nabożnych, a nawet *Filona* i drugiej świątowej, która się zaczynała od słów: „Kiedy okropna cichość panuje“. Jak tylko spostrzeże, że Mecia nie ma co do roboty, zapędza ją do krosienek, wiecznie stojących pod oknem, na których wychowanica wyszywa krzyżową sztuką różne esyfloreasy rozdawane na prezenta księdzu proboszczowi, doktorowi z sąsiedniego miasteczka, wreszcie dyrektorowi. Syn takich rzeczy nie dostaje, bo nie wart, skoro powiedział, że król Sobieski na jednym takim arcydziele wygląda na pijaka. Zresztą, dała mu już kilka takich haftów, a on żadnego nie kazał w ramki oprawić, a nawet pantofli nie nosi, które mu babcia przed trzema laty podarowała...

— Nie, to nie — powiedziała zadąsana do Matyldy — nie miła księdzu ofiara, pójdź cię do obory.

Najgorsze zmartwienie babci, to jest chichotanie Matyldy z mężczyznami. Pilnuje jak może

i na krok od siebie nie puszcza, a lichy to znajdzie jakąś okazyję do gadania z tym pisarzem prowentowym, którego babcia nie cierpi, bo jada w piątek z mięsem i wiele innych zdrożności popełnia.

— Zkąd data — mówiła raz do dyrektora — żeby on myśleć mógł o Matyldzi. Znam ja jego wszystkie sprawki, ho, ho! znam lepiej od niego samego!... A zasię!... Urwis, myśli, że jak się ubierze w nową kurtę, włoży świąteczne buty i takie wielkie kołnierzyki wywinie, że mię zafrapuje... Bo to i rachować dobrze nie potrafi, a jak nabazgrze, to sześciu żydów zrobi na każdej stronie... Wie pan dyrektor, jak on mi będzie tak zabiegał koło tej dziewczyny i wieczorami szwendał się pod oknem, to zaczaję się kiedy z dobrą dyscypliną i dam mu porządną admonicyę... Nie bój się dyrektor, ja to potrafię.

Po każdym schwyтaniu Matyldy na poufnej rozmowie z pisarzem, musiała dziewczyna wytrzymać nawałnicę wyrzekań babuni. „Latawiec, nicpotem, zalotnica“ i tym podobne epitety sypały się jak grad nad głową schylonej nad krosienkami wychowanicy, a niechnoby coś odmruknęła, lub próbowała się uniewinniać, to mogło się skończyć na klęczeniu w kącie, a w razach gorętszych i na kłapnięciu za plecy.

Za to na drugi dzień, kiedy się niebo babuni wypogodziło, doświadczała szczególniejszych łask tej matrony. Dostawała jakiś prezent z ubrania pani starszej i nasłuchiwała się łagodnej już i na rozumowaniu opartej perswazyi, że ten pisarz jest skończonym osłem, jest półgłówkiem, a w końcu szatanem, czatującym na jej cnotę.

— Bo widzisz Meci — mówiła, głaskając ją po twarzy i odgartując włosy od czoła — zupełnie co innego jest organista. Najprzód stateczny i bardzo nabożny kawaler: pokorny, cichy i skromny, a przytem z dobrej rodziny. Słyszałaś, jak on to ślicznie śpiewa na chórze i jak spuszcza oczy, kiedy do niego mówić... Ksiądz proboszcz nie może go odchwalić... Widzisz, ma już złożonych u niego dwieście złotych w gotówce... No, i matka jego, znać zaraz, że jest z porządniejszych, bardzo nabożna kobieta, a ten drapichrust Hipolit to w długach siedzi po uszy. Co nie przepuści z dymem, to na pierścionki, to na chusteczki dla dziewcząt wiejskich wszystko przetraci. Dawniej mówiłam mu: Panie Hipolicie, czemu pan sobie nie złożysz co pieniędzy, jabym panu przechowała... A ono dpowiada: dobrze jaśnie pani, przyniosę i owszem, jaśnie pani święcie radzi... No, jak to przynosi.

Matylda słuchała tego wszystkiego milcząc, ale cóż miała począć ze swoją naturą, kiedy wła-

śnie ten pisarz, nazwany przez babcię drapichrustem, przypadał jej do serca — a przeciwnie na cnotliwego organistę patrzeć nie mogła. Pani starsza mówiła swoje, a wychowanica tylko zerkała okiem na dziedziniec, czy nie pokaże się gdzie zielony surdut pisarza. I niech coś podobnego mignie się między stodołami, to serce jej zaczyna bić żywiej, na twarzy występuje rumieniec, a babcią biorąc go za chorobliwe uderzenie do głowy, każe jej pić herbatę z bratków.

Około południa nadjechał wreszcie pan dyrektor w długim, świeżo uprany szlafroku letnim, zastępującym płaszcz podróżny. Dziadzio miał na głowie popielaty kapelusz z dużym rondem, okulary podróżne z siatką na oczach, tasiemką przywiązaną z tyłu, torbę podróżną przewieszoną przez ramię i stare zamszowe rękawiczki na rękach. Pan dyrektor wyjeżdżając z Warszawy, przybiera na kolei bardzo dygnitarską minę; zakłada wysokie pod same uszy kołnierzyki, wiąże białą chustkę na szyję, co parę minut zapuszcza palce do złotej tabakierki i używa fularowej kwiaciastej chustki do nosa. Czasami dojeżdżając do miasteczka dla zaimponowania burmistrzowi, kładzie i order na szyję i każe zatrzymać się przed oberżą, aby dać koniom wypoczynek.

Mimo najszczerzej intencji przywitania babci i wnuków z wszelką czułością, nie może tak od

razu zmienić swej dyrektorskiej postawy na figurę zwykłego śmiertelnika. Dlatego przywitanie to wygląda dość ceremonialnie z kilkakrotnem powtarzaniem:

— Jak się ma pani sędzina dobrodziejka, jak się ma...

Naturalnie, że pan Hipolit i panna Matylda są zawsze przy tej uroczystości przyjazdu pana starszego, a usłużny pisarz sam wydobywa różne pakunki z powozu, a nawet z wielkiego uszauowania dla dyrektora, nie wstydzi się dźwigać ze stangretem potężnego kufra dziadunia, gdy ucieśzone dzieci zabierają różne laski, parasole, futerały i inne drobne zawiniątka, które się już w kufier zmieścić nie mogły. Pan dyrektor jadąc na wieś, zabiera zwykle trzy czwarte swojej garderoby na różne pory roku, nawet stare lisy i granatowy płaszcz kawalerski jeszcze, z trzema pelearnami.

Mimo lat siedmdziesięciu kilku i białych jak śnieg krótko ostrzyżonych włosów na głowie, starszy pan wygląda bardzo dobrze. Wygolona twarz jego jest rumianą i pełną, trzyma się prosto, chodzi pewnym krokiem, a jest tak żywego temperamentu, że wszędzie i zawsze mu pilno i chciałby wszystko to zrobić w jednej godzinie, co mu przez cały tydzień zrobić wypada. Ledwie że znalazł się w swoim pokoju i zdjął wykrochmalony szlafrok

ze siebie, już radby się natychmiast rozpakować, a głównie porozdawać skromne prezenta dla wnuków i dla babci, dla Hipolita i dla Matyldy, której za pomoc udzielaną jego garderobie, jeszcze przeszłego roku obiecał piękny podarunek.

Otoczony gromadą witających, szuka w sakiewce kluczyka od torebki podróżnej, który mu się w sam kącik zapakował, otwiera nim zameczek i ztamtąd wydobywa inne znowu kluczyki, starannie w papier obwinięte.

— Niechże pan dyrektor odpocznie — perswaduje babcia. — Cóż tak pilnego... ot kawę już podali.

— Zaraz, zaraz, pani sędzino — odpowiada, kręcąc się jak w ukropie. I otwiera kufer, gdzie mnóstwo różnych przedmiotów tak samo w papier poobwijanych, cisną się ku sobie jak figi sułtańskie w pudełku. Naturalnie, że nim trafi na to, co mu potrzeba, odwija mnóstwo innych rzeczy i znowu je zawija, i szuka i przewraca, aż obdziewszy wnuków zabawkami, babci doręcza z ostentacją co dla niej przeznaczone, pisarzowi ofiaruje czapkę, a Matyldzi ponsową jedwabną chusteczkę.

Mimo że pani starsza nieustannie przypomina o kawie, on musi wszystko wyłożyć z kufra, porozwieszać to po szafach, poukładać w komodzie, na stołach i pod stołami, a nim się wybierze na kawę, to już i obiad gotów i babcia chmurzy

oblicze, że pan dyrektor nie raczył skosztować jej sławnej śmietanki.

— Babuniu kochana, widzisz, na honor teraz nie mogę — mówi, siadając do obiadu. A że ma dobry apetyt, a pocziwa staruszka przykłada mu raz po raz na talerz, więc narzekając, że może zachorować — zajada bez pamięci.

— Toś mię sędzina uraczyła, niech cię Bóg kocha! Ledwie że wstać mogę. Pamiętaj, jeżeli zachoruje, to będzie na pani sumieniu.

Staruszka po obiedzie radaby się rozgadać trochę przed panem dyrektorem nad marnotrawstwem syna i synowej, którzy już trzy miesiące siedzą tam Bóg wie po co, za granicą — chciałyby otworzyć przed nim serce o tych zmartwie- niach, jakie jej pisarz Hipolit sprawia, chciałyby wreszcie pochwalić się, ile zebrała fasek masła, co nasmażyła konfitur, ile podebrała miodu — lecz pan dyrektor ani słucha tego wszystkiego, a od- wija z papierów różne butelki, pudełka i pudełeczka, ustawia je, porządkuje, konfrontując z wy- pisanym na arkuszu rejestrem; a skończywszy to, uwiadamia babcię, że ma do niej prośbę.

— Tam pod spodem mam w torebce moje fun- dusze i właśnie chcę prosić sędzinę, abys je u sie- bie schowała... Tylko bój się Boga w pewnem miejscu.

— Niech pan dyrektor będzie spokojny — rze-
cze na to, uśmiechając się staruszką. — Już jak ja
co schowam, to ani Duch święty nie będzie wie-
dział... Mam ja także swoje skrytki, mam... Będą
bezpieczne, jak pod ziemią...

Pan dyrektor wręcza babci sporą płócienną
torebkę, dokoła zaszytą i tasiemkami poprzewią-
zywaną, a zarazem drugą mniejszą papierową,
w której mieszczą się zwykle banknoty i ruloniki
srebrnej zdawkowej monety. Cała ta operacya od-
dawania skarbów dyrektorskich odbywa się przy
drzwiach na klucz zamkniętych i zapuszczonej fi-
rance, aby ktoś nie podpatrzył. Babcia znówu,
kiedy to wszystko schowała pod kaftanik i niosła
do siebie, to miała tak ostrożnie tajemniczą minę,
tak się trzymała ręką za piersi, a oglądała na
wszystkie strony, że nietylko służba dworska, ale
nawet siedmioletni Ignas od razu poznał, że bab-
cia coś bardzo ważnego niesie.

Przybywszy do swego pokoju, każe Matyldzi
wyjść za drzwi i znówu zamknąwszy się na klucz
i okna zasłoniwszy, chowa te skarby do kufra
w kącik między różne manatki.

Tymczasem dziadzio, wystrojony od stóp do
głowy w żółte nankiny, w ryżowym, popstrzonym
od much kapeluszu na głowie, z żółtym także
parasolem w rękę, wyglądał jak człowiek powra-
cający świeżo z kolonii amerykańskiej. Czy utył,

czy też ubranie to zbiegło się od prania, dość że wszystko na nim krótkie, wąskie, ani się zapina, a tylko wykrochmalone jak róg odstaje na wsze strony.

Ledwie pani starsza ulokowawszy skarby dyrektora, zdążyła przejść przez pokoje, już dziadzio wybiegł na dziedziniec, a spotkawszy pisarza Hipolita, zaproponował mu przyrządzanie kąpieli, do których kule żelaziste przywiózł z sobą, a które z porady lekarza musi brać codziennie.

Dziadzio i bez porady już był kąpany w gorącej wodzie, a że stara drewniana wanna, stojąca w lamusie, była zdezelowaną i bez obręczy, zatem poszli szukać generalnego majstra dworskiego Józefa, i bez względu, że bardzo pilną była naprawa pługów, na które parobcy czekali, wyprawili go do lasu po leszczynę na obręcze. Złatwiwszy sprawę wanny, już miał pan dyrektor zawrócić ku dworowi na kawę, na którą donośnym głosem wzywała go babcia stojąca na ganku, gdy spotyka ekonoma zdążającego ku stodołom.

Pan Mroczkiewicz, mężczyzna krępej postawy i zawieszisto-konopiastego wąsa, jest faworytem pana dyrektora, bo z całym uszanowaniem i cierpliwością słucha jego opowiadań, wszystko przyrzeka zrobić, co jasnie wielmożny pan rozkazuje, a jeżeli nie zrobi, to tak się gładko i naturalnie

tłómaczy, że dziadzio jako człowiek bardzo lojalny, nie może mieć do niego pretensyi.

— No jakże się kochany łaskawca miewa! — zawoła dziadzio, rozkładając ręce i całując w czoło krępego człowieczka.

— Eh, jasnie wielmożny panie, byłoby dobrze, żeby oto nie te złodziejstwa chłopów... Proszę jasnie pana, jestem tak zły, żebym tego Wach roztrząś! Co tam gadać — mówi dalej z ciężkiem westchnieniem — liche czasy nastały, nikogo się nie boją. Żeby tak dawniej, tobym rozciągnął szelmę jako żywo tu zaraz na klepisku i lunął jako żywo dwadzieścia pięć...

— Nie można, panie Mroczkiewicz, nie wolno, na to jest rozkaz.

— Toć ja wiem, że jest — odpowiada ekonom ze skrzywioną miną, drapiąc się z tyłu głowy.

— No, a cóż on zrobił?

— Co jasnie panie? Ledwie żem wypadł do stajni, aby fornale zakładali do pługów, bo jasnie panie, żeby ich nie wygnać, toby do wieczora południowali... Niech Matka Najświętsza broni, jakie to teraz wszystko leniwe... a mój Wach zaraz sobie wyniósł ze stodoły trzy snopki pszenicy i ustawił za płotem.

— A to hultaj! — przerywa dyrektor, potrząsając parasolem — no i cóż?

— Ale ja jaśnie panie, co wszystko jako żywo spenetruję, patrzę, coś słomy mało. Toście już zmłócili, mówię... zmłócili. Wszystko? Wszystko... Nie che mi się wierzyć, i włożę do sąsiedka na górę, czy nie wrzucili napowrót. — Jakoś nie znać. Aż tu zda mi się spojrzeć na płot... coś tam się bieli... No i jest, trzy snopki jak woły stoją... Ej jaśnie panie, niechta będzie co chce, ja nie wytrzymam i lunę temu złodziejowi...

— Nie, nie, nie! — przerywa prędko dyrektor, wywijając parasolem i giestykulując głową — prawo zabrania. Odesłać do urzędu i basta!

— Oj, dopiecze mu też, dopiecze tym urzędem — odzywa się z desperacją ekonom. — Oni tego chcą. Wójt skaże go na dwa dni haresztu, dwór musi mu dać jeść, a chłop będzie kontent, że się wyleży.

Tu znowu dolatuje głos babci:

— Panie dyrektorze, panie dyrektorze, kawa ostygnie!

Pan dyrektor obrócił się, machnął chustką i głową. powtarzając: zaraz, idę, idę... a do ekonomy mówi:

— Chłop jak chłop jest ciemny, ale cobys pan powiedział, że ja miałem takich w biurze! Wyobraź sobie łaskawco, że ci przynoszą co rano stosy papierów, ale to tak całe fury, a ty podpisuj i

podpisuj, aż ręka zemdleje. To nie jeszcze podpisuj, ale pilnuj się, bo wszystko na twoją odpowiedzialność. Tak, tak, nie dopatrzysz okiem, to dołożysz workiem. Prezes powiada, zlituj się panie dyrektorze, uważaj, żeby ci czego nie podsunęli.

— Jakżeby to podsunęli? — robi filozoficzną uwagę ekonom.

— Ba, ba, ba, myślisz, że nie potrafią! — Miałem jednego urzędnika, panie łaskawy, zdolna głowa i sprytna za trzech; ale za to łgarz, gadatywus i układny niech Bóg broni. Nieraz idę przez biura, inni pracują, a koło niego zawsze jakiś żyd brodaty. Mra, mra... jakieś szepty po kurytarzach... myślę sobie, tu coś jest... A trzeba ci wiedzieć, że referował asygnacye kasowe. Pan wiesz, co to są asygnacye kasowe?

— Nie wiem.

— To ja łaskawemu panu powiem, że to są pieniądze, że to są tysiące, a czasami i krocie. Podpiszesz — kasa wypłaci, a jeżeli się nie należało, to ty panie dyrektorze płac, a sobie szukaj wiatra w polu. Oj, płaciłem i nieraz grubo płaciłem. Uważam ja tedy na owego Krucikowskiego, nazywał się Krucikowski, a taki fanfaron, kołnierzyki tak, krawaty tak, czupryna tak, a zawsze pachnie jak ogród kwiatowy... Przyjdzie z papierami do podpisu, to ja szukam jego referatu i czytam... On powiada: panie dyrektorze, na co się pan dy-

rektor ma trudzić, to jest to i to — ale ja taki przeglądam — i wystaw sobie... raz przyłapałem — podłożył na pięć tysięcy.

— Rany Boskie! — przerywa ekonom, załamując ręce.

— Napisał asygnację dla Berka Joselesa, bo pamiętam nazwisko — za dostawę, kiedy on właśnie nie dopełnił warunków licytacyjnych i mieliśmy do niego pretensye. Ja tedy panie łaskawy hap za papier i mówię: „A co to mości panie?”

W tem miejscu pan dyrektor prostuje się jak struna przed ekonomem i wyobraziwszy sobie, że to on jest tym Krucikowskim, wytrzeszcza nań siwe, wypłowiałe oczy, odyma spodnią wargę i woła podniesionym głosem:

— Łotrze jak śmiesz!

— Panie dyrektorze tego... — mówi znów innym głosem — to się należy... pytałem się pana naczelnika... I mówię panu łże, ale jak łże, ot co mu ślina do ust przyniesie. Ja nic, tylko słucham, słucham, patrzę się na niego i głową kiwam. No, skończyłeś swoje kłamstwa, a ja ci teraz powiem bratku, że pójdziesz pod sąd. Ho! ho! rano ten wstać musi, kto mię oszuka, i dzwonię na woźnego... A mój Krucikowski plackiem do nóg: „Nie gub jaśnie wielmożny dyrektorze, ja biedny człowiek, mam żonę i pięcioro dzieci“. Ha, teraz się włóczysz u nóg — mówię — i przypomniałeś sobie

o żonie i dzieciach. A po śniadankach kto chodzi? A po nocach kto grywa w karty? ze szwaczkami kto się wdaje? i kto z żydami prowadzi kouszachty? Tu, tu, w proch przedemną! Zgniotę cię jak tego robaka, przebrzydły oszuście!

Jakoż pan dyrektor tak się w tej chwili rozpalił, że tupał nogą z całej siły o ziemię i raz po raz bił parasolem o sypki piasek, przed którym rejterował wciąż przestraszony ekonom, a stary czerwony jak upiór szedł za nim, trzęsąc się z irytacji.

— No i jakże się skończyło?

— Mój dyrektorze — przerywa nadchodząca babcia, biorąc bez ceremonii starego pod rękę i odciągając go ku dworowi. — Pójdźże już raz na tę kawę, kożuszek opadł...

Dziadzio jednak tak się zaindyczył na owego Krucikowskiego, że dość opryskliwie i z siłą wyrywa się z pod ręki babuni:

— Pozwólże mi pani, niech skończę...

— Ale już trzeci raz odgrzewają...

— Mój Krucikowski tedy zdechł pies! — prawi dalej, nie zważając na babcię. — Ha! widzisz ptaszku, jak to pokornie teraz śpiewasz, he? A nie przestrzegałem, co? nie prosiłem, pilnuj się, pracuj!...

— Poszedł do więzienia, prawda? — pyta powtórnie ekonom, któremu również pilno było iść do stodoły.

— Gdzietam! Jak zaczął błagać, skomleć — płakać, daliśmy pokój. Prezes powiada: won go ze służby, ale ja wyprosiłem, że go przenieśli do innej sekcji. O tego fanfarona mi nie szło, ale uważasz, pięcioro dzieci, szóste w drodze i to jedno mniejsze od drugiego...

— Niechno pan dyrektor idzie na tę kawę — mówi ekonom — bo pani starsza widać się obraziła i poszła.

— Aha, prawda! Tak to panie, miałem i ja swoje, miałem... Mój drogi łaskawco, pamiętaj też, żeby tę wannę porządnie pobili, bo uważasz chciałbym jutro zacząć kąpiele... Starość nie radość, a ja człowiek spracowany...

Ekonom przyrzekł, że jako żywo dopilnuje wszystkiego, a starowina czerwony jeszcze z irytacyi na tego Krucikowskiego, biegnie za babcią, żeby ją dogonić i przeprosić. Ale babcia miała także swój ambit i czując, że dyrektor pędzi za nią, nie obejrzała się ani razu, tylko umyślnie przyspieszyła kroku, aby wprzód wejść do pokoju.

— Babuniu szanowna, daruj! — mówi, siadając przy stole i wachlując się serwetą — opowiadałem ekonomowi bardzo ciekawe zdarzenie z czasów mego urzędowania.

— Pan dyrektor — rzeknie na to zachmurzona babcia, nalewając kawę — ze wszystkimi ma czas do rozmowy, byle nie ze mną!

— Chcesz, to ci opowiem, jak było z Kruczkowskim?

— Eh, co mnie tam bajki takie obchodzą...

— Przepraszam panią dobrodziejkę, to nie były bajki. Mam honor pani oświadczyć, że to pachło pięciu tysiącami złotych.

— Wielka rzecz...

— Tak, u pani to nie wielka! Fi, fi, u was pięć tysięcy to nic... Jakie mi panie!... Niechno by tak kazał kto podpisać pani na pięć tysięcy, dopierobys skakała...

— A zkadże to dyrektor wie, że jabym skakała?

— O skakałabyś i jakbyś skakała! — powtarza zły już, pochłaniając wielkimi haustami kawę.

— Przepraszam, bobym nie skakała...

— Ale mów mi tam, nie skakałabym...

Dyrektor jak się zaperzy, zapomina w tej chwili o wszystkich tytułach i grzecznościach, ale mówi każdemu ty, choćby to był sam minister, a czasem jeszcze gorzej.

Babcia zrobiwszy wielkie oczy — umilkła, a dyrektor nie obtarłszy nawet ust po wypiciu kawy, nie ukłoniwszy się staruszcze, pobiegł do swego pokoju, szepcząc przez drogę:

— Jaka mi pani, pięć tysięcy dla niej to nic!

Ze swej strony babcia, zabrawszy z hałasem cukiernicę z cukrem i resztę bułki z talerzem, poszła do siebie i pierwsze słowo, jakie powiedziała do siedzącej nad krosnami Matyldy, było:

— Że też ten stary dziad co roku staje się więcej impertynenckim.

Z tej jednej już sceny czytelnicy mogą mieć wyobrażenie, jak dziadzio i babcia uprzyjemniali sobie pobyt na wsi, choć w przystępach dobrego humoru, a zwłaszcza przy rozpoczęciu każdej rozmowy, szło bardzo czule i z całą przyjaźnią. Babcia pamiętała o wszystkich wygodach pana dyrektora i karmiła go bez litości; on znowu za każdą grzeczność całował ją z uszanowaniem w rękę i regularnie rano i wieczór oddawał z atencją zwyczajne dzień dobry i dobra noc pani sędzinie dobrodziejce. Tylko jak szło o pogawędkę, to najdłużej pięć minut mogli wytrzymać spokojnie. Dyrektor mówił i myślał tylko o swoich sprawach, babcia również o swoich; słuchali się też z początku przez grzeczność, ale gdy przyszło odpowiadać, to każde mówiło:

— Co tam takie rzeczy, ja tu coś lepszego opowiem!

Dyrektor miał kilka bardzo ważnych spraw do załatwienia na wsi, które go zupełnie absorbo-

wały. Najprzód jak wiemy owe kąpiele, dalej przygotowanie na cały rok siemienia konopnego dla szczygłów, następnie przyrządzanie słomek do wykłuwania zębów, a wreszcie skupywanie od kobiet wiejskich masła na zapas zimowy, które jako tańsze co roku gospodyni swej do Warszawy przywoził. Wśród takich zajęć — przeplatanych rozmowami z ekonomem, z arendarzem, z chłopami młócającymi w stodołach, wreszcie z sadoownikami pilnującymi owoców — odbywał z wnukami dłuższe wycieczki do lasu na grzyby, lub na orzechy, a resztę wolnego czasu chorował.

Otóż choroba ta i potrzeba szukania pomocy u babci, będącej generalną lekarką na wszelkie dolegliwości, oddawała dyrektora na jej łaskę i niełaskę. Z pokorną i bolejącą miną szedł on do starszej pani, a podając jej łaskę trzymaną w ręku, mówił:

— Bij sędzina starego łakomca, bij!

— Znowu pan dyrektor chory?

— Boli, szanowna babuniu, jak honor kocham, boli. Zmiłuj się, każ tam ugotować mięty z rumiankiem.

Babcia gotowała sama, dodając jeszcze jakichś kropli, pilnowała żeby pił, czasem jakie okłady gorące kazała robić, a stary słuchał jak dziecko, jęczał głośno — ale wyzdrowiał.

Tymczasem kąpiele z kulami żelazistemi regularnie szły codzien, przyrządzaniem których z termometrem w rękę zajmował się sam pisarz Hipolit, który niewiadomo z jakiego powodu tak nadskakiwał staremu, że to aż panię starszą oburzało. Wiadomo, ile to na wsi przyrządzanie kąpieli sprawia kłopotu, że nim zagrzeją wodę, nim ją przyniosą z kuchni, albo już niepotrzebną z wanny wyleją, to narobią takiego rozgardyaszu, krzyku i nieporządku z podłogą, że każda gospodyni strzeże się tej kąpieli jak ognia. Tak było i teraz, zwłaszcza, że do pokoju dziadzia trzeba było przenosić wodę jeszcze przez dwa inne pokoje; więc też pan Hipolit, człowiek bardzo sprytny, wpadł na dobry pomysł wyprowadzenia wody z wanny przez okno, za pomocą kauczukowej rurki czyli kieszki, używanej jako lewar do wytaczania spirytusu z beczki do beczki. Zanurzywszy jeden jej koniec w wannie, napełnionej czarną od żelaza wodą, drugi przeprowadził przez otwarte okno na dziedziniec, który był niżej poziomu wody, a po wyciągnięciu powietrza z rurki — woda już sama wylewała się wciąż na podwórze. Dyrektor, nie bardzo tęgi w fizyce, zachwycony był tym wynalazkiem pisarza, z czego ten korzystając, wystąpił z prośbą o protekcję do pani starszej, ażeby mu pozwoliła ożenić się z Matyldą.

— Albo ona nie chce?

— Nie chce. proszę jaśnie wielmożnego pana. Wielmożna starsza pani ma do mnie jakąś anse i to, niech mię Bóg święty skarże, jeżeli wiem nawet o co. Niech tylko wspomnę o tem, to wszystkie ognie na nią biją i zaraz trzepie ręką... nie, nie, nie i nie!

— No, a Matylda chce?

— Chciałaby, proszę jaśnie wielmożnego pana dyrektora, ale się boi słoweczka pisnąć. Bo i tak już co ona nie nasłucha się za mnie, to niech ręka Boska broni i zachowa.

— .Czekajże ty, ja ci to wszystko zrobię — mówi dziadunio, polewając sobie ramiona i piersi żelazistą wodą, gdy uszczęśliwiony pisarz gwałtem wydobywa mu rękę i obcałowuje ogniście.

— Jaśnie wielmożny panie, tak mię coś obcesem ciągnie do onej Matyldy, że sobie rady dać nie mogę. Ani to spać, ani to jeść... Niechno jaśnie wielmożny pan zobaczy, jak to ja schudłem — dodaje, odsuwając do góry rękaw surduta i koszuli i pokazując dziadzi chudą ale żylastą rękę. — I tu jaśnie wielmożny panie wszędzie nic a nic nie mam ciała, tylko sama skóra, a to wszystko według tej Matyldy.

— Wiesz, żebyś ty się spróbował wykapać kilka razy w żelazie...

— Ale gdzie jaśnie panie, już Bóg wie co nie robiłem i nawet radziłem się jednej znającej się

kobiety, która mi urok zdejmowała — a nie... Powiada mi dokumentnie, pan musisz sobie mieć coś zadane...

Pan dyrektor bardzo gorąco wziął do serca sprawę pisarza i skoro tylko ukończył kąpanie, ubrał się w czarny surdut, białą chustkę na szyję zawiązał, złotą tabakierkę z szuflady wydobył i poszedł do ogrodu, gdzie od samego rana babcia smażyła powidła. Muszę tu przyznać, że nieszcze-gólną wybrał sobie porę do swatania swojego fa-woryta, bo trzeba wiedzieć, że smażenie powideł na wsi jest dla gospodyni, kto wie, czy nie ważniejszą czynnością od pieczenia ciast wielkanocnych i pierwsze zajmuje miejsce po biciu wieprzy i urządzaniu wędliny.

W oddalonem miejscu od dworu, zwykle w ogrodzie, ustawiało się na tymczasowem podmurowaniu wielki miedziany kocioł z uszami i już o czwartej godzinie z rana rozpoczynała się kampania. Kilka dziewczek folwarcznych, Matylda, troje wnucząt i sama babcia w bardzo negliżowym kostiumie krzątało się koło owego kotła. Jeden z parobków siedział przy ognisku przykładając nieustannie polana, drugi nieopodal przerebywał na mniejsze kawałki sążniowe suche szczapy; ogień buchał czerwonym płomieniem dokoła, masa sliwkowa tylko parkotała kłębiąc się i dymiąc bez przerwy, a stary Józef karbowy, okopcony, zasmó-

lony i rozczochrany, jakby adjutant samego Lucypera, stojąc na podwyższeniu, mieszał wiosłem w tym kotle. Noc, ogień, dym, kocioł i ta gromada wypływających na powierzchnię a zapłakanych śliwek, sprawiały taki efekt, jakby tam smażyono dusze grzeszników na wieczne potępienie skazanych.

Gdy nadszedł dyrektor, a było już koło południa, powidła były w drugim stadium smażenia, bo właśnie na wielkich baliach kończono przecieranie przez sita rozgotowanych śliwek dla oddzielenia pestek. Babcia, jak generał podczas bitwy, z pomalowanemi na czerwono rękami, dyrygowała tu i tam, wydając krzykliwe rozkazy i odpędzała nieustannie Ignasia, który trzymając za plecami drewnianą łyżkę, skradał się do kotła, aby ztamtąd gorącej masy dla spróbowania zaczerpnąć. Jeden tylko Józef zachował bohaterski spokój, bo przekładając wiosło z ręki do ręki, mieszał jednostajnie w kotle, a nawet nie przestawał wtedy, kiedy mu babcia od czasu do czasu podawała kieliszek wódki dla pokrzepienia sił wy-czerpanych monotonnem ruszaniem.

Dziadzio, mimo że kiedyś piastował wysoki urząd i posiadał krzyż na czerwonej wstążce, nie miał w sobie za grosz dyplomacyi, skoro zbliżywszy się do Matyldy, zajętej tłoczeniem śliwek przez sito, szepnął jej do ucha:

— A chcesz ty moje dziecko pójść za Hipolita?

Dziewczynę jakby kto w serce ukłół. Obróciła się nagle ku dyrektorowi, spojrzała mu w oczy, a choć i tak była już czerwoną od gorąca, przemieniła się w żywy ogień i upuściła trzymane sito z pestkami do balji.

— No, powiedz, czy chcesz czy nie? bo ja właśnie mam pogadać z sędziną.

Nim zapłoniona dziewczyna zebrała się na odpowiedź, już babcia spostrzegłszy upadek sita, przybiegła do niej z hałasem.

— A to niezgrabiasz, wszystko jej z rąk leci!... Patrz, zmieszałaś pestki... Ej, niechno jej pan dyrektor da spokój... Kto to widział, taki stary jegomość dziewczętom szeptać coś do ucha... komu to, komu...

— Mam honor pani sędzinie dobrodziejce oświadczyć — odzywa się, prostując pan dyrektor — że przychodzę tu z ważną misją.

— No, cóż takiego? — spytała babcia, obcieraając fartuchem zawalane ręce.

— Pan Hipolit, pisarz prowentowy, oświadczył mi się o rękę Matyldy.

— Co? kto? komu się oświadczył?

— No, Hipolit, mnie — odpowiada dobitnie dyrektor, pukając laską w ziemię.

— A cóż pan ma do Matyldy?

— No tak, uważa pani sędzina dobrodziejka, niby... ale, że to jest bardzo porządny człowiek, uważałem za obowiązek.

— A ja panu dyrektorowi powiadam, że to hultaj pierwszej klasy, utracyusz, głupiec... — mówi prędko babcia, mrugając oczami, jak to ma zwyczaj, kiedy jest rozgniewana.

— Diruje pani dobrodziejka — przerywa już trochę obrażony dyrektor — ale i ja się na tem znam i mówię pani, że to jest zdolny i bardzo porządny młodzieniec. Niechno pani zobaczy, jak on mi wodę kiską wyprowadził przez okno?

— Żeby on złoto wyprowadził a nie wodę, to ja mu nie dam Matyldy, nie dam, i nie... Wie pan dyrektor, co on robi? to ja panu powiem.

I przysunąwszy się do ucha dziadzi, coś mu tam szeptała, gestykulując ręką za jego plecami.

— Ej, głupstwo — odpowiada stary — każdy młody toż samo...

— Tak, jeszcze go pan dyrektor uniewinniaj... może go pochwalić... ładny przykład... niech robi tak dalej... Co to jest, że każdy mężczyzna tylko za mężczyznę...

— Ej, co tam... niech pani się zgodzi, on tak zmizerniał, tak się biedak gryzie!

— Prędzej mi tu włosy wyrosną — mówi już babcia z pasyą, pokazując palcem na dłoni — niż on będzie widział Matyldę. Dziwię się, że pan dyrektor śmie...

— Co to ja mam nie śmieć! Mam honor pani powiedzieć, że ja nie z takimi śmiałem — mówi już czerwieniąc się dziadzio. — Ho, ho! cóż to Matylda hrabianka jaka?

— Niech sobie będzie i nie hrabianka, ale nie pójdzie za niego.

— Otóż ja znowu mam zaszczyt pani dobrodziejce powiedzieć — rzecze, prostując się dyrektor i laską uderzając w ziemię — że pójdzie, ja w tem będę, że musi pójść, ja!...

— Otóż nie pójdzie...

— Pójdzie...

— Zobaczymy, mój wielki panie...

— Zobaczymy, moja zawzięta babuniu. Ja mu każę i weźmie ją z mocy prawa!

Szcześciem w tej chwili Józef zasłuchany w sprzeczkę staruszków, tak niezręcznie machnął wiośłem, że kocieł się nieco przechylił, co spostrzegłszy babcia, odbiegła dyrektora, inaczej bowiem mogłoby przyjść do awantury. Zirytowany dziadzio, zawrócił zwolna ku domowi i wywijając wciąż laską, coś rozmawiał z sobą i nogą przytupał, gdy pani starsza również nie folgowała

swemu gniewowi. Najprzód powypędzała dzieci do pokoju, zwymyślała Matyldę, że wszystko jej z rąk leci, jakby nieżywą była, popchnęła parę razy dziewczkę i tylko zacisnąwszy usta, mrugała oczami nie mogąc się uspokoić.

Fakt ten, jakkolwiek drażliwszej natury od innych codziennych sprzeczek staruszków, jednak nie spowodowałby innych skutków, prócz zachmurzenia obydwojga, gdyby nie przypalenie się powideł. Tak jest niestety, mimo wszelkich perswazyj całej służby, której babcia dawała owe powidła do próbowania — czuła, że mają smak gorzkawy, i że jak przyjedzie synowa, śmiać się będzie z gospodarowania babci. Wyszukując w swej głowie różne przyczyny tej katastrofy, doszła babcia, że nikt inny tylko dyrektor temu winien, bo właśnie wtenczas musiały się przypalić, kiedy on wystąpił z temi niedorzecznemi swatami pisarza i odwrócił jej uwagę od kotła. Zmartwiła się tedy staruszka jak nigdy, a z wielkiego żalu do dziadzia, postanowiła zerwać z nim wszelkie dyplomatyczne stosunki i oddać mu skarby, które miała na przechowaniu. Wydobywszy obie paczki z ukrycia, już późnym wieczorem odniosła je do pokoju dyrektora i położyła mu na stole mówiąc, że obawia się takie wielkie sumy trzymać u siebie.

Łatwo sobie wyobrazić, jak się nasz dziadzio przestraszył, kiedy mu wypadło nocować sam na

sam z pieniędzmi, których nie miał gdzie schować. Wszędzie nie było bezpiecznie: i w kufrze, i w szafie i w komodzie, a nawet pod poduszką; więc przywiązawszy sobie jedną torebkę do jednej nogi, a drugą do drugiej, całą noc przeleżał w łóżku dość niespokojnie i budził się co kilka minut, bo mu się zdawało, że ktoś dobija się do okna lub drzwi wyważa.

Ze swej strony i babcia oka nie zmrużyła, martwiąc się owemi powidłami i dopiero gdy poradziła Matylda, aby usmażyć drugą taką porcję nowych powideł i stare z nowymi zmieszać, uspokoiła się cokolwiek i nad ranem zasnęła.

Nazajutrz dyrektor wstał jak z krzyża zdjęty, a odszukawszy jakąś skrytkę za szufladą komody, tam gwoździkiem przybił torebkę z papierami, szufladę na klucz zamknął, klucz do sakiewki schował i wziął się do rozdzielania drobnej zdawkowej monety na kilka mniejszych paczek. Rachuje ruloniki — jest tylko osiem, kiedy powinno być dziewięć. Co to jest? — myśli zaafierowany i wydobywa notatki z pugilaręsu, przelicza wydatki, przypomina wszystkie sprawunki i koszty podróży — jak raz brakuje mu trzech rubli, to jest tyle, ile jeden rulonik ma w sobie dziesiątek.

Drażliwa to sprawa powiedzieć o tem pani starszej, a choć dziadzio mocno był zmartwiony ową stratą, jednak postanowił zgryźć to w sobie

i nikomu nie mówić. Ba, ale to nie tak łatwo dotrzymać sobie słowa, gdy coś boli, więc też przy pierwszym spotkaniu z babunią, choć byli z sobą na zimno, tak niechcący wygadał się, że mu trzech rubli brakuje i w bardzo delikatny sposób upraszał, aby ona poszukała, czy gdzie się jeden rulonik nie zawieruszył.

Babcie jakby kto żarem posypał: wybuchła strasznym gniewem, wszelako żeby sobie nie mieć nic do wyrzucenia, splądrowała cały kufer, zrowidowała szafę Matyldy, przeliczyła swoją kasę i naturalnie pokazało się, że nie ma. Pan dyrektor znowu markotny, że się niepotrzebnie wygadał, jak zaczął po raz dziesiąty rachować, przypominać, dodawać, odejmować, przyszedł do przekonania, że naprawdę omylił się, i że mu nic nie brakuje. Więc idzie z tem do babci, przeprasza zapewniając uroczyście, że niepotrzebnie trudził panią sędzinę, bo zguba się znalazła. Mimo to, babcia nie mogła odzyskać dawniejszej swobody umysłu, chodziła wciąż zachmurzona i żeby już raz skończyć z tą Matyldą, która jej tyle zmartwienia sprowadzała, postanowiła pojechać do księdza proboszcza i ułożyć to małżeństwo z organistą. A trafiła się do tego dobra okazyja, bo właśnie przed kilkudniami pisał do niej jegomość o protekcyą za bratem tegoż organisty, żeby mu jakie miejsce we dworze wyrobić.

List ten przynosił sam interesant, bardzo przystojny chłopak, lat może dwudziestu, którego babcia grzecznie przyjęła, prosiła siedzieć, a wychodząc na podwieczorek, kazała przysłać filiżankę kawy.

Otóż tak stały rzeczy, gdy na drugi dzień po przeprosinach pana dyrektora, wpada do pokoju pani starszej znajomy nam pisarz Hipolit.

— Co pan masz za interes? — zapytuje go babcia suchym głosem, stojąc przy drzwiach.

— Wielmożna pani, znalazły się pieniądze.

— Jakie pieniądze?

— No te, co panu starszemu zginęły...

— Mój panie, to nie prawda! Panu dyrektorowi nic nie zginęło... Jakie niedorzeczne koncepta, żeby się tutaj dostać... lepiej pilnowałbyś pan swojej roboty.

— Ale jak Boga kocham, proszę wielmożnej pani, znalazły się. W tej chwili wracam od wójta, robiliśmy rewizję u organisty i znaleźliśmy paczkę nowiuteńkich dziesiątek.

— Proszę nie kłamać! — ofuknie staruszka, mrużąc oczami — bo dajmy na to, że zginęły, to zkadże organista, który tu wcale nie był.

— To też nie on ukradł, ale brat jego, ten co tu był z listem. Tak jest, proszę wielmożnej pani, sam się przyznał, że wyjął z kuferka i już siedzi w areszcie...

Przestraszona babcia załamała ręce i zawołała tylko:

— I to wszystko jest prawdą?

— Jakże nie ma być prawdą, skoro ztamtąd jadę. Niechże wielmożna pani pozwoli, to ja to opowiem, jak było. Pojechałem dziś do świętej spowiedzi, bo choć wielmożna pani powiada, że ja heretyk, to ja z przeproszeniem postanowiłem sobie już fort zerwać ze wszystkimi głupstwami i zacząć inaczej...

— Bardzo się cieszę mój panie Hipolicie... może pan usiądzie trochę... No, prędzejbym się śmierci spodziewała, aniżeli złodziejstwa w moim domu. Poczciwy dyrektor nawet się wyparł, że mu nie nie brakuje i jeszcze mię przeprosił.

— Więc po świętej komunii, wstąpiłem do arendarza, aby coś przetrącić, bo przyznam się wielmożnej pani z głodu robiło mi się ckliwo, aż tu patrzę, Herszkowa wydaje mi z rubla samemi nowymi dziesiątkami. Uderzyło mię to zaraz, bo słyszałem jak pan starszy mówił, że mu takie pieniądze zginęły. Pytam się tedy Herszkowej: zkad macie takie nowe dziesiątki? A ona powiada, że Ludwik, brat organisty już prawie dwa wieczory pije tu i hula z bratem i takimi pieniędzmi płaci.

— No i patrzajże pan, jak tu komu wierzyć! Powiedziała, że pili z organistą?

— Przecież jestem po świętej spowiedzi, tobym nie kłamał, a zresztą Herszkowa poświadczy.

— Wierzę... ale cóż dalej...

— Kalkuluje ja sobie, lichu nie spi... A choć wielmożna pani powiada, że ja głupi jako...

— No, tak nie mówiłam znowu...

— To ja idę do wójta i powiadam mu tak a tak, że panu dyrektorowi zginęły pieniądze, że ten Ludwik akurat był wtedy z listem, że taki nie-honor spadł na nasz dwór, bo proszę wielmożnej pani honor dworu jest dla każdego oficjalisty, jest jakoby najczystsza iza, albo jako perła ormiańska... Wójt powiada: zrobmy rewizję u organisty. Ja mówię zrobiemy... I co tu długo gadać, w kieszeni u owego Ludwika znalazło się rubel z czemś, temi samemi dziesiątkami, w tym oto papierku, który pan dyrektor zapewne pozna. Wójt krzyknie: chłopcy postronków i na niego zkad masz, gadaj... A on wyśpiewał wszystko od razu, że jak wielmożna pani wyszła na podwieczorek i przysłała mu kawę, to on, zobaczywszy że kufer niezamknięty, sięgnął ręką i złapał taką jedną paczkę...

— Miłosierdzie Boże! — zawoła babcia — jak ja też mogła nie zamknąć kufra! A toż tam były tysiące... A to dopiero zbrodniarz! i taki młody... A mój panie Hipolicie, jakążes ty mi łaskę wyrządził... Coby sobie dyrektor myślał... Boże drogi,

jaki to świat teraz!... A wydawał mi się taki potulny chłopczyzna i organista sam taki nabożny...

— To tak wielmożna pani: modli się pod figurą, a diabła ma za skórą...

Kiedy babunia z pisarzem lamentują nad zepsuciem rodu ludzkiego, Hipolit przekonywa ją, że zawsze lepszy ten człowiek, co jest *durch* otwarty jako kryształ przejrzysty — niżeli marmurek ze łbem do ziemi — pan dyrektor w swoim pokoju niecierpliwi się, że tu czas na przyrządzenie kąpieli, a pisarza nie widać. Dziewka z kuchni dwa razy już była dowiadywać się, czy może nosić wodę, bo się okrutnie gotuje — a jak tu nosić, kiedy wczorajsza jeszcze z wanny niewylana. Stary, w szlafroku i pantoflach, drecze po pokoju i oknem wygląda i na ganek wychodzi i pyta przechodzących o pisarza — a jego nie ma i nie ma.

Wiemy już jak dziadzi wszystko jest pilno; więc przypomniawszy sobie, jak to pisarz ową rurką wyprowadzał wodę za okno, próbuje, czy jemuby się to nie udało. Jeden koniec tej kauczukowej kieszki był przyczepiony do dna wanny, a drugi zawieszony wysoko na gwoździu tuż nad wanną. Pan dyrektor zdjął ze ściany ów koniec i spuszczać go ostrożnie na dół, próbował czy też

woda pójdzie. Nie — jakoś nie idzie. Zaczyna więc majstrować koło otworu tej rurki, bierze do ust, jak brał zawsze Hipolit, dmucha wewnątrz — i tak nie idzie. Przysiadłszy zatem na podłodze, próbuje pompować powietrze i kiedy się dobrze wyteżył — nagle bucha woda i opryskuje go całego... Zrywa się tedy stary gwałtownie, a tymczasem woda dostawszy się raz tą drogą, pryska jak fontanna na wszystkie strony. Właśnie na to wchodzi z uśmiechniętą twarzą babunia...

— Okno, okno, otwieraj okno! — krzyczy dyrektor, biegając po pokoju i ściskając palcami elastyczne boki kauczukowej rurki, gdy babcia zobaczywszy niezwykłą czerwoność jego twarzy i dziwaczne skoki, prędko cofa się, drzwi na klucz zamyka w przekonaniu, że dziadzio zwaryował.

Można sobie wyobrazić przestrach, gniew i tarapaty dyrektora, jak nie mogąc zatamować cisnącej się otworem wody, biega po całym pokoju, wskakuje na stół, próbuje otworzyć okno — i polewa książki, papiery, ubranie tą czarną jak smoła wodą. Szczęściem, że drugimi drzwiami wpadł zadyszany pisarz i pochwyciwszy z rąk jego rurkę, ścisnął ją mocno i tem wyprowadził starego z kłopotu.

— A to ci jakaś diabelska sztuka! — syczy, spluwając jeszcze i ocierając pot z czoła ręcznikiem. — Patrzajże, co ja tu porobiłem... A niechże

cię, moja żakieta na nic, i do tabaki mi się na-
lało... Dałem sobie też dałem...

Dopiero teraz, gdy babcia usłyszała przez
drzwi głos Hipolita, odważyła się wejść do pokoju.
Dyrektor był zły i rozdrażniony na wszystko i
wszystkich, więc zobaczywszy ją na progu, od
razu wybuchnął:

— To tak pani dobrodziejka, tak — zamiast
ratować w nieszczęściu, to pani drzwi na klucz i
w nogi.

— Myślałam, panie dyrektorze...

— O ja wiem, wy tylko myślicie... Znam ja was
wszystkie, znam... Niech go tam zaleje woda...
Fe!... egoistki...

— A któż tu wysłał do pana Hipolita, kto? —
dogaduje trochę obrażona babcia. — Zresztą szłam
tu zupełnie z czem innem do pana dyrektora, o te
pieniądze, które panu zginęły...

— Jeszcze pani nie możesz o nich zapomnieć!
— woła stary, wycierając wodę chustką z ubra-
nia... — Powiedziałem raz, że nie zginęły, to nie
zginęły! Pani to jak sobie coś upatrzy, to już
nie sposób wybić jej tego z głowy. Nie zginęły
i basta!...

— Ale mój dyrektorze uspokój się — mówi
z uśmiechem babunia — bo zginęły.

— A ja raz jeszcze mówię, że nie zginęły...

— Boże miłosierny, co to za gorączka! Musiały zginać, skoro się znalazły. Ma oto pan dyrektor resztę nowych dziesiątek z takim samym papierem — dodaje babcia, składając rulonik na stole.

Stary emeryt popatrzył na pieniądze, popatrzył na uśmiechniętą twarz staruszki i zobaczywszy, że to są jego pieniądze, zapytał:

— A to jak się stało?

— Wyjął mi z kufra brat organisty, który przychodził z listem od księdza proboszcza i Hipolit to wykrył.

— A co? a co? kto miał rację? Gniewałaś się pani, chmurzyłaś się, obrażałaś.. Oooo, jak ja schowam, to Duch święty nie znajdzie... Widzi pani, czego to się przechwalać i robić z siebie wielkie rzeczy, kiedy... tego...

— A czegoż to pan dyrektor przepraszał i powiedział: nic nie brakuje, kiedy brakowało? Jeżeli ja się zestarzałam, to cóż dyrektor?

— Daruj babuniu, taki ja już i stary...

— I nie gniewa się pan dyrektor?

— Nie, daję słowo honoru...

— Skoro tak, to i ja też panu dyrektorowi ustąpię i dziś wyprawimy zaręczyny Matyldy z pisarzem... Był u spowiedzi i obiecał zupełną poprawę.

— A co nie powiedziałem, że ją weźmie? Ot masz pani dowód, że ja nie strzelam słowami na

wiatr... Pójdźno tu Hipolicie i słuchaj mnie starego: trzymaj Matyldę w rękach, o, trzymaj, bo one wszystkie dziś tak, jutro tak — od kaprysu... za trzy grosze nie mają zastanowienia... A teraz pozwoli mi szanowna pani sędzina pozostać samemu, a jak będę miał czas, to opowiem pani historyjkę o żonie Wąsikiewicza, mojego urzędnika... Włosy pani staną na głowie, co to była za kobieta!

K O N I E C.

BIBLIOTKA
LUBLIN
LUBLIN



Biblioteka Uniwersyteku
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

B 59428/1

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000174913